Ptastwo piękne, karmione perłowemi krupy.
Niebaczny Saku, jakiż zapał cię unosi!
Nigdy już odtąd gniewnéj nie przebłagasz Zosi.

Gerwazy przypomina starodawne czasy,
Każe sobie podawać od kontuszów pasy,
I niemi s Soplicowskiéj piwnicy dobywa
Beczki staréj siwuchy, dębniaku i piwa.
Jedne wnet odgwożdzono, a drugie ochoczo
Szlachta gęsta jak mrowie, porywają, toczą
Do zamku; tam na nocleg cały tłum się zbiera
Tam założona główna Hrabiego kwatera.

Nakładają sto ognisk, warzą, skwarzą, pieką,
Gną się stoły pod mięsem, trunek płynie rzeką;
Chce szlachta noc tę przepić, przejeść i prześpiewać.—
Lecz powoli zaczęli drzémać i poziewać,
Oko gaśnie za okiem, i cała gromada
Kiwa głowami, każdy gdzie siedział tam pada,
Ten z misą, ten nad kuflem, ten przy wołu ćwierci.
Tak Zwycięzców, zwyciężył w końcu sen, brat śmierci.

Księga dziewiąta.

Nie pożycza się
do domu

Druk bardzo rzadki!
Posiada go tylko
Biblioteka Rapperswilska.

W 1959 Prof. Wieczorek z Torunia
Pamiętnik egz. Pana Tadeusza
drukowany w Toruniu 1859, ale wy-
danie drugie, sfingowane
przez Lambecka

PAN TADEUSZ.

Dosłowne wydanie **Paryzkiej** edycyi
z roku 1834.

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. dr. Witolda Bełzy w Bydgoszczy

Pan TADEUSZ

czyli

OSTATNI ZAJAZD NA LITWIE.

Historja szlachecka

z r. 1811 i 1812,

WE DWUNASTU KSIĘGACH, WIERSZEM,

przez

ADAMA MICKIEWICZA.

TOM DRUGI.

TORUŃ, 1859.

Nakładem i drukiem Ernesta Lambecka.

:: BIBLIOTEKA W BYDGOSZCZY

ad 466. 1932

II

Księga szósta.

ZAŚCIANEK.

TREŚĆ.

Piérwsze ruchy wojenne zajazdu — Wyprawa Protazego — Robak s Panem Sędzią radzą o rzeczy publicznéj Dalszy ciąg wyprawy Protazego bezskutecznéj — Ustęp o konopiach — Zaścianek szlachecki Dobrzyń — Opisanie domostwa i osoby Maćka Dobrzyńskiego.

Nieznacznie z wilgotnego wykradał się mroku
Świt bez rumieńca; wiodąc dzień bez światła w oku.
Dawno wszedł dzień, a jeszcze ledwie jest widomy.
Mgła wisiała nad ziemią, jak strzecha ze słomy
Nad ubogą Litwina chatką: w stronie wschodu
Widać z bielszego nieco na niebie obwodu,
Że słońce wstało, tędy ma sstąpić na ziemię,
Lecz idzie nie wesoło i po drodze drzemie.

Za przykładem niebieskim, wszystko się spóźniło
Na ziemi; bydło późno na paszę ruszyło,
I zdybało zające przy późném śniadaniu;
One zwykły do gajów wracać o świtaniu,
Dziś okryte tumanem, te mokrzycę chrupią,
Te jamki w roli kopiąc, parami się kupią,
I na wolném powietrzu myślą użyć wczasu;
Ale przed bydłem muszą powracać do lasu.

I w lasach cisza. Ptaszek zbudzony nie śpiewa,
Otrząsnął piérze z rosy, tuli się do drzewa,
Głowę wciska w ramiona, oczy znowu mruży
I czeka słońca. Kędyś u brzegów kałuży
Klekce bocian; na kopach siedzą wrony zmokłe,
Rozdziawiwszy się ciągną gawędy rozwlokłe,
Obrzydłe gospodarzom jako wróżby słoty.
Gospodarze już dawno wyszli do roboty.

Już zaczęły żniwiarki swą piosnkę zwyczajną,
Jak dzień słotny ponurą, tęskną, jednostajną,
Tém smutniejszą że dźwięk jéj w mgłę bez echa wsiąka;
Chrząsnęły sierpy w zbożu, ozwała się łąka,
Rząd kosiarzy otawę siekących wciąż brząka,
Pogwizdując piosenkę; s końcem każdéj zwrotki
Stają, ostrzą żelezca i w takt kują w młotki.

Ludzi we mgle nie widać, tylko sierpy, kosy,
I pieśni brzmią, jak muzyk niewidzialnych głosy.

W środku na snopie zboża Ekonom usiadłszy
Nudzi się, kręci głową, roboty nie patrzy,
Pogląda na gościniec, na drogi rosstajne,
Kędy działy się jakieś rzeczy nadzwyczajne.

Na gościńcu i drogach od samego ranka
Panuje ruch niezwykły; stąd chłopska furmanka
Skrzypi, lecąc jak poczta, stąd szlachecka bryka
Czwałem tarkocze; drugą i trzecią spotyka:
Z lewéj drogi posłaniec jak kuryer goni,
S prawéj przebiegło w zawód kilkanaście koni,
Wszyscy spieszą, ku różnym kierują się stronom:
Co to ma znaczyć? Powstał ze snopa Ekonom.
Chciał przypatrzyć się, spytać; długo stał nad drogą,
Daremnie wołał, nie mógł zatrzymać nikogo,
Ni poznać we mgle. Jezdni migają jak duchy,
Tylko słychać raz po raz tentent kopyt głuchy,
I co dziwniejsza jeszcze, szczękanie pałaszy:
Bardzo to Ekonoma i cieszy i straszy.
Bo choć na Litwie było naonczas spokojnie,
Dawno już wieści głuche biegały o wojnie,
O Francuzach, Dąbrowskim, o Napoleonie.

Miałyżby wojnę wróżyć ci jezdzcy? te bronie?
Ekonom pobiegł wszystko Sędziemu powiedzieć,
Spodziéwając się i sam czegoś się dowiedzieć.

W Soplicowie domowi i goście po kłótni
Wczorajszéj, wstali s siebie nieradzi i smutni.
Próżno Wojszczanka damy na kabałę sprasza,
Mężczyznom próżno karty dają do marjasza,
Nie chcą bawić się ni grać, siedzą cicho w kątkach,
Mężczyzni palą lulki, kobiéty przy prątkach;
Nawet spią muchy.

Wojski, rzuciwszy łopatkę,
Znudzony ciszą, idzie pomiędzy czeladkę.
Woli w kuchennéj słuchać ochmistrzyni krzyków,
Gróźb i razów kucharza, hałasu kuchcików;
Aż go powoli wprawił w przyjemne marzenie,
Ruch jednostajny rożnów kręcących pieczenie.

Sędzia od rana pisał zamknąwszy się w izbie,
Woźny od rana czekał pod oknem na przyzbie;
Sędzia skończywszy pozew, Protazego wzywa,
Skargę przeciw Hrabiemu głośno odczytywa:
O skrzywdzenie honoru, zelżywe wyrazy,
Zaś przeciw Gerwazemu o gwałty i razy;

Obudwu o przechwałki, o koszta s powodu
Processu, ciągnie w rejestr taktowy do grodu,
Pozew dziś trzeba wręczyć ustnie, oczywisto,
Nim zajdzie słońce. Woźny z miną uroczystą
Wyciągnął słuch i rękę, skoro pozew zoczył;
Stał poważnie, a radby z radości podskoczył.
Na samą myśl processu czuł że się odmłodził:
Wspomniał na dawne lata, gdy s pozwami chodził
Po guzy ale razem po zapłaty hojne.
Tak żołnierz, który strawił życie tocząc wojnę,
A na starość w szpitalach spoczywa kaleki:
Skoro usłyszy trąbę lub bęben daleki,
Chwyta się z łoża, krzyczy przez sen: bij moskala!
I na drewnianéj nodze skacze ze szpitala
Tak prędko, że go ledwie może złowić młodzież.

Protazy śpieszył włożyć swą woźnieńską odzież:
Przecież żupana ani kontusza nie kładzie,
One służą ku wielkiéj sądowéj paradzie;
Na podróż ma strój inny: szerokie rajtuzy
I kurtę, któréj poły podpięte na guzy
Można zakasać albo spuścić na kolana;
Czapka z uszami, sznurkiem u wierzchu związana,
Wznosi się na pogodę, spuszcza się przed słotą.
Tak ubrany wziął pałkę i ruszył piechotą,

Bo woźni przed processem, jak szpiegi przed bojem,
Muszą kryć się pod różną postacią i strojem.

Dobrze zrobił Protazy że w drogę pospieszył,
Bo niedługoby swoim pozwem się nacieszył.
W Soplicowie zmieniano kampanii plany,
Do Sędziego wpadł nagle Robak zadumany,
I rzekł: Sędzio, to biéda nam s tą panią ciotką,
S tą panią Telimeną kokietką i trzpiotką.
Kiedy Zosia została dzieckiem w biédnym stanie,
Jacek ją Telimenie dał na wychowanie,
Słysząc że jest osoba dobra, świat znająca,
A postrzegam że ona coś tu nam zamąca,
Intryguje i pono Tadeuszka wabi;
Śledzę ją; albo może bierze się do Hrabi,
Może do obu razem: obmyślmy więc środki
Jak się jéj pozbyć, bo stąd mogą urość plotki,
Zły przykład i pomiędzy młokosami zwady,
Które mogą pomieszać twe prawne układy. —
— Układy? krzyknął Sędzia z niezwykłym zapałem,
Z układów kwita, już je skończyłem, zerwałem.
— A to co? przerwał Robak, gdzie rozum, gdzie głowa,
Co tu mi Wasze bajesz, jaka burda nowa? —
— Nie z méj winy, rzekł Sędzia, process to wyjaśni:
Hrabia pyszałek, głupiec, był przyczyną waśni,

I Gerwazy łotr; lecz to do Sądu należy.
Szkoda żeś niebył, Księże, w zamku na wieczerzy,
Poświadczyłbyś jak Hrabia srodze mnie obraził. —
— Po coś Waść, krzyknął Robak, do tych ruin łaził,
Wiesz jak zamku nie cierpię; odtąd moja noga
Tam nie postanie. Znowu kłótnia! kara Boga!
Jakże tam było? powiedz; trzeba tę rzecz zatrzeć,
Już mię znudziło wreszcie na tyle głupstw patrzéć,
Ważniejsze ja mam sprawy niż godzić pieniaczy,
Ale jeszcze raz zgodzę — Zgodzić? Cóż to znaczy!
A idźże mi Waść wreszcie s tą zgodą do licha!
Przerwał Sędzia tupnąwszy nogą, patrzcie mnicha!
Że go przyjmuję grzecznie, chce mnie za nos wodzić.
Wiedź Wasze że Soplice nie zwykli się godzić;
Gdy pozwą, muszą wygrać: nieraz w ich imieniu
Trwał process aż wygrali w szóstém pokoleniu.
Dosyć zrobiłem głupstwa s porady Waszeci
Zwołując podkomorskie sądy po raz trzeci.
Od dzisiaj niéma zgody, niema, niema, niema.
(I krzycząc chodził, tupał nogami obiema,)
Prócz tego za wczorajszy niegrzeczny uczynek
Musi mnie deprekować, albo pojedynek! —
— Ale Sędzio, cóż będzie jak się Jacek dowie?
Wszak on umrze z rospaczy! Czyliż Soplicowie
Nie narobili jeszcze w tym zamku dość złego!

Bracie! wspominać nie chcę wypadku strasznego.
Wiesz także że część gruntów od zamku dziedzica
Zabrała i Soplicom dała Targowica.
Jacek za grzech żałując, musiał był ślubować
Pod absoluciją, dobra te restytuować.
Wziął więc Zosię, Horeszków dziedziczkę ubogą,
Hodować, wychowanie jéj opłacał drogo.
Chciał ją Tadeuszkowi swojemu wyswatać,
I tak dwa poróżnione domy znowu zbratać,
I dziedziczce bez wstydu ustąpić grabierzy.
— Lecz cóż to? krzyknął Sędzia, co do mnie należy?
Ja się nie znałem, nawet nie widziałem z Jackiem;
Ledwiem słyszał o jego życiu hajdamackiem,
Siedząc wtenczas retorem w jezuickiéj szkole,
Potém u wojewody służąc za pocholę.
Dano mi dobra, wziąłem; kazał przyjąć Zosię,
Przyjąłem, hodowałem, myślę o jéj losie:
Dość mnie nudzi ta cała historya babia!
A potém czegoż jeszcze wlazł mi tu ten Hrabia?
Z jakiém prawem do zamku? Wszak wiész przyjacielu,
On Horeszkom dziesiąta woda na kisielu!
I ma mnie łżyć? a ja go zapraszać do zgody! —
— Bracie! rzekł Ksiądz, ważne są do tego powody.
Pamiętasz że Jacek chciał do wojska słać syna,
Potem w Litwie zostawił: cóż w tém za przyczyna?

Oto w domu Ojczyznie potrzebniejszy będzie.
Słyszałeś pewnie o czém już gadają wszędzie,
O czém ja wiadomostki przynosiłem nieraz:
Teraz czas już powiedzieć wszystko, czas już teraz!
Ważne rzecy, mój bracie! Wojna tuż nad nami!
Wojna o Polskę! bracie! Będziem Polakami!
Wojna niechybna. Kiedy s poselstwem tajemném
Tu biegłem, wojsk forpoczty już stały nad Niemnem;
Napoleon już zbiéra armiję ogromną,
Jakiéj człowiek nie widział i dzieje nie pomną;
Obok Francuzów ciągnie polskie wojsko całe,
Nasz Józef, nasz Dąbrowski, nasze orły białe!
Już są w drodze, na piérwszy znak Napoleona
Przejdą Niemen, i bracie! Ojczyzna wskrzeszona! —

Sędzia słuchając, zwolna okulary składał,
I wpatrując się mocno w Księdza, nic nie gadał,
Westchnął głęboko, w oczach łzy się zakręciły....
Wreszcie porwał za szyję Księdza s całéj siły,
— Mój Robaku! wołając, czy to tylko prawda?
Mój Robaku! powtarzał, czy to tylko prawda?
Ileż razy zwodzono! Pamiętasz? gadali:
Napoleon już idzie! i my już czekali!
Gadano: już w Koronie, już Prusaka pobił,
Wkracza do nas! A on! co? Pokój w Tylży zrobił!

Czy tylko prawda? Czy ty nie zwodzisz sam siebie? —
— Prawda, zawołał Robak, jak Pan Bóg na niebie! —
— Błogosławioneż niechaj będą usta, które
To zwiastują, rzekł Sędzia, wznosząc ręce w górę.
Nie pożałujesz twego poselstwa Robaku,
Nie pożałuje klasztor; dwieście owiec z braku
Daję na klasztor. Księże, tyś się wczoraj palił
Do mojego kasztanka i gniadosza chwalił,
Dziś, zaraz w twym kwestarskim wozie pójdą oba;
Dziś proś mnie o co zechcesz, co ci się podoba,
Nie odmówię! Lecz o tym interesie całym
Z Hrabią, daj pokój; skrzywdził mnie, już zapozwałem,
Czyż wypada? —

Załamał ręce Ksiądz zdziwiony.
Wlepiwszy oczy w Sędzię, ruszywszy ramiony,
Rzekł: To gdy Napoleon wolność Litwie niesie,
Gdy świat drży cały, to ty myślisz o processie?
I jeszczeż po tém wszystkiém com tobie powiedział,
Będziesz spokojnie, ręce założywszy, siedział,
Gdy działać trzeba! — Działać? Cóż? Sędzia zapytał.
— Jeszcześ, rzekł Robak, z oczu moich nie wyczytał?
Jeszcze serce nic tobie nie gada? Ach bracie,
Jeźli Soplicowskiéj krwi kroplę w żyłach macie,

Uważ tylko; Francuzi uderzają s przodu?
A gdyby s tyłu zrobić powstanie narodu?
Co myślisz? Niechno Pogoń zarży, niech na Żmudzi
Niedźwiedź ryknie! Ach gdyby jakie tysiąc ludzi,
Gdyby choć pięćset s tyłu na Moskwę natarło,
Powstanie jako pożar wkoło rozpostarło,
Gdybyśmy my, nabrawszy Moskwie harmat, znaków,
Zwycięscy szli powitać wybawców rodaków?
Ciągniemy! Nepoleon widząc nasze lance,
Pyta co to za wojsko, my krzyczym: Powstańce
Najjaśniejszy Cesarzu! Litwa ochotnicy!
Pyta: pod czyją wodzą? — Sędziego Soplicy!
Ach któżby potém pisnąć śmiał o Targowicy?
Bracie, póki Ponarom stać, Niemnowi płynąć,
Póty w Litwie Sopliców imieniowi słynąć,
Wnuków, prawnuków będzie Jagiełłów stolica
Wskazywać palcem, mówiąc: oto jest Soplica,
S tych Sopliców co piérwsi zrobili powstanie! —

A na to Sędzia: Mniejsza o ludzkie gadanie,
Nigdy nie dbałem bardzo o pochwały świata,
Bóg świadkiem żem niewinien grzechów mego brata,
W politykę jam nigdy bardzo się niewdawał,
Urzędując i orząc mojéj ziemi kawał:
Lecz jestem szlachcic, radbym plamę domu zmazać;

Jestem Polak, dla kraju radbym coś dokazać,
Choć duszę oddać. W szable nie byłem zbyt tęgi,
Wszakże biérali ludzie i odemnie cięgi,
Wié świat że w czasie polskich ostatnich sejmików
Wyzwałem i zraniłem dwóch braci Buzwików,
Którzy... Ale to mniejsza. Jakże Wasze myśli?
Czy potrzeba żebyśmy zaraz w pole wyszli?
Strzelców zebrać, rzecz łatwa; prochu mam dostatek,
W plebanii u księdza jest kilka armatek,
Przypominam iż Jankiel mówił iż u siebie
Ma groty do lanc, że je mogę wziąć w potrzebie,
Te groty przywiózł w pakach gotowych s Królewca
Pod sekretem; weźmiem je, zaraz zrobim drzewca,
Szabel nam nie zabraknie, szlachta na koń wsiędzie,
Ja s synowcem na czele, i? — jakoś to będzie! —

— O polska krwi! zawołał Bernardyn wzruszony,
Z otwartemi skoczywszy na Sędzię ramiony,
Prawe dziécię Sopliców! Tobie Bóg przeznacza,
Oczyścić grzechy brata twojego tułacza;
Zawszem ciebie szanował, ale od téj chwili
Kocham cię jak gdybyśmy bracią sobie byli.
Przygotujemy wszystko, lecz wyjść nie czas jeszcze,
Ja sam wyznaczę miejsce i czas wam obwieszczę.
Wiém że car wysłał gońców do Napoleona

Prosić o pokój; wojna nie jest ogłoszona;
Lecz książe Józef słyszał od pana Biniona,
Francuza co należy do cesarskiéj rady,
Że się na niczém skończą wszystkie te układy,
Że będzie wojna. Książe wysłał mnie na zwiady,
Z roskazem żeby byli Litwini gotowi
Dowieść przychodzącemu Napoleonowi,
Że chcą złączyć się znowu s siostrą swą, Koroną,
I żądają ażeby Polskę przywrócono.
Tymczasem bracie s Hrabią trzeba przyść do zgody;
Jestto dziwak, fantastyk trochę, ale młody,
Poczciwy, dobry Polak; potrzebny nam taki,
W rewolucyach bardzo potrzebne dziwaki,
Wiém z doświadczenia; nawet głupi się przydadzą
Byle tylko poczciwi i pod mądrych władzą.
Hrabia pan, ma u szlachty wielkie zachowanie,
Cały powiat ruszy się jeźli on powstanie;
Znając jego majątek każdy szlachcic powie,
Musi to być rzecz pewna gdy z nią są panowie.
Biegę do niego zaraz. — Niech się piérwszy zgłosi,
Rzekł Sędzia, niech przyjedzie tu, niech mnie przeprosi,
Wszak jestem starszy wiekiem, jestem na urzędzie!
Co się tyczé processu sąd arbitrów będzie...
Bernardyn trzasnął drzwiami. — No, szczęśliwa droga,
Rzekł Sędzia.

Ksiądz wpadł w powóz stojący u proga,
Tnie biczem konie, łechce lejcami po bokach;
Furknęła kałamaszka, ginie w mgły obłokach,
Tylko kiedy niekiedy kaptur mnicha bury
Wznosi się nad tumany, jako sęp nad chmury.

Woźny już dawniéj wyszedł ku domowi Hrabi.
Jak lis bywalec, gdy go woń słoniny wabi,
Bieży ku niéj a strzelców zna fortele skryte,
Bieży, staje, przysiada coraz, wznosi kitę
I wiatr nią jak wachlarzem ku swym nozdrzom tuli,
Pyta wiatru czy strzelcy jadła nie zatruli:
Protazy zeszedł z drogi, i wzdłuż sianożęci
Krąży około domu; pałkę w ręku kręci,
Udaje że obaczył kędyś bydło w szkodzie,
Tak zręcznie lawirując stanął przy ogrodzie;
Schylił się, bieży, rzekłbyś iż derkacza tropi,
Aż nagle skoczył przez płot i wpadł do konopi.

W téj zielonéj, pachnącéj, i gęstéj krzewinie,
Koło domu, jest pewny przytułek zwierzynie
I ludziom. Nieraz zając zdybany w kapuście,
Skacze skryć się w konopiach bespieczniéj niż w chruście,
Bo go dla gęstwi ziela ani chart nie zgoni,

Ani ogar wywietrzy dla zbyt tęgiéj woni.
W konopiach człowiek dworski, uchodząc kańczuka
Lub pięści, siedzi cicho aż się pan wyfuka.
I nawet często zbiegli od rekruta chłopi
Gdy ich rząd śledzi w lasach, siedzą śród konopi.
I stądto w czasie bitew, zajazdów, tradowań,
Obie strony nie szczędzą wielkich usiłowań,
Ażeby stanowisko zająć konopiane,
Które s przodu ciągnie się aż pod dworską ścianę,
A s tyłu pospolicie stykając się s chmielem,
Kryie attak i odwrót przed nieprzyjacielem.

Protazy, choć człek śmiały, uczuł nieco strachu:
Bo przypomniał s samego rośliny zapachu
Różne swoje dawniejsze woźnieńskie przypadki,
Jedne po drugich, biorąc konopie na świadki:
Jako raz zapozwany szlachcic s Telsz Dzindolet,
Roskazał mu, oparłszy o piersi pistolet,
Wleść pod stół i ów pozew psim głosem odszczekać,
Że Woźny musiał co tchu w konopie uciekać.
Jak późniéj Wołodkowicz, pan dumny, zuchwały,
Co rospędzał sejmiki, gwałcił trybunały,
Przyjąwszy urzędowy pozew, zdarł na sztuki,
I postawiwszy przy drzwiach s kijami hajduki,
Sam nad Woźnego głową trzymał goły rapiér,

Krzycząc: albo cię zetnę, albo zjédz twój papiér:
Woźny niby jeść zaczął jak człowiek rostropny,
Aż skradłszy się do okna wpadł w ogród konopny.

Wprawdzie już wtenczas w Litwie nie było zwyczajem
Opędzać się od pozwów szablą lub nahajem,
I ledwie Woźny czasem usłyszał łajanie:
Ale Protazy o téj obyczajów zmianie
Wiedzieć nie mógł, bo dawno już pozwów nie naszał.
Choć zawsze gotów, choć się Sędziemu sam wpraszał,
Sędzia dotąd przez winny wzgląd na lata stare,
Odmawiał jego prośbom; dziś przyjął ofiarę
Dla naglącéj potrzeby.

Woźny patrzy, czuwa —
Cicho wszędzie — w konopie zwolna ręce wsuwa,
I roschylając gęstwę badylów, w jarzynie
Jako rybak pod wodą nurkujący płynie:
W zniósł głowę — cicho wszędzie — do okien się skrada —
Cicho wszędzie — przez okna głąb' pałacu bada —
Pusto wszędzie — Na ganek wchodzi nie bez strachu,
Odmyka klamkę — pusto jak w zaklętym gmachu;
Dobywa pozew, czyta głośno oświadczenie.

A wtém usłyszał turkot, uczuł serca drżenie,
Chciał uciec; gdy ode drzwi zaszła mu osoba —
Szczęściem znajoma! Robak! Zdziwili się oba.

Widno że Hrabia kędyś ruszył s całym dworem,
I bardzo spieszył, bo drzwi zostawił otworem.
Widać że się uzbrajał; leżały dwórurki
I sztucce na podłodze, daléj sztenfle, kurki,
I narzędzia ślósarskie któremi rynsztunki
Poprawiano: proch, papiér; robiono ładunki.
Czy Hrabia s całym dworem wyjechał na łowy?
Ale po coż broń ręczna? Tu szabla bez głowy
Zardzewiała, tam leży szpada bez temlaku:
Zapewne wybiérano oręż s tego braku,
I poruszono nawet stare broni składy.
Robak obejrzał pilnie rusznice i szpady,
A potém do folwarku wybrał się na zwiady,
Szukając sług żeby się rospytał o Hrabię;
W pustym folwarku ledwie wynalazł dwie babie,
Od których słyszy że pan i dworska drużyna
Ruszyli tłumnie, zbrojnie, drogą do Dobrzyna.

Słynie szeroko w Litwie Dobrzyński Zaścianek
Męstwem swoich szlachciców, pięknością szlachcianek.
Niegdyś możny i ludny; bo gdy król Jan trzeci

Obwołał pospolite ruszenie przez wici,
Chorąży wojewodztwa, s samego Dobrzyna
Przywiódł mu sześćset zbrojnéj szlachty. Dziś rodzina
Zmniejszona, zubożała; dawniéj w pańskich dworach,
Lub wojsku, na zajazdach, sejmikowych zborach
Zwykli byli Dobrzyńscy żyć o łatwym chlebie.
Teraz zmuszeni sami pracować na siebie
Jako zaciężne chłopstwo! tylko że siermięgi
Nie noszą, lecz kapoty białe w czarne pręgi,
A w niedzielę kontusze. Strój także szlachcianek
Najuboższych różni się od chłopskich katanek:
Zwykle chodzą w drylichach albo perkaliczkach,
Bydło pasą nie w łapciach s kory, lecz w trzewiczkach,
I żną zboże a nawet przędą w rękawiczkach.

Różnili się Dobrzyńscy między Litwą bracią
Językiem swoim, tudzież wzrostem i postacią.
Czysta krew Lacka, wszyscy mieli czarne włosy,
Wysokie czoła, czarne oczy, orle nosy;
Z Dobrzyńskiéj ziemi ród swój starożytny wiedli.
A choć od lat czterystu na Litwie osiedli,
Zachowali mazurską mowę i zwyczaje.
Jeźli który z nich dziecku imie na chrzcie daje,
Zawsze zwykł za patrona brać Koronijasza,
Swiętego Bartłomieja albo Matyasza.

Tak syn Macieja zawzdy zwał się Bartłomiejem,
A znowu Bartłomieja syn zwał się Maciejem;
Kobiéty wszystkie chrzczono Kachny lub Maryny.
By rozeznać się wpośród takiéj mieszaniny,
Brali różne przydomki od jakiéj zalety
Lub wady, tak mężczyzni jako i kobiety.
Mężczyznom czasem kilka dawano przydomków,
Na znak pogardy albo szacunku spółziomków;
Czasem jedenże szlachcic inaczéj w Dobrzynie,
A pod inném nazwiskiem u sąsiadów słynie.
Dobrzyńskich naśladując inna szlachta bliska
Brała również przydomki, zwane imioniska.
Teraz ich każda prawie używa rodzina,
A rzadki wié iż mają początek z Dobrzyna,
I były tam potrzebne; kiedy w reszcie kraju
Głupiém naśladownictwem weszły do zwyczaju.

Więc Matyasz Dobrzyński, który stał na czele
Całéj rodziny, zwan był **Kurkiem na kościele.**
Potém s siedemset dziewięć-dziesiąt czwartym rokiem,
Odmieniwszy przydomek ochrzciłsię **Zabokiem;**
Toż **Królikiem** Dobrzyńscy mianują go sami,
A Litwini nazwali **Maćkiem nad Maćkami.**

Jak on nad Dobrzyńskimi, dom jego nad siołem

Panował, stojąc między karczmą i kościołem.
Widać rzadko zwiędzany, mieszka w nim hołota,
Bo brama sterczy bez wrot, ogrody bez płota,
Nie zasiane, na grzędach już porosły brzozki;
Przecież ten folwark zdał się być stolicą wioski,
Iż kształtniejszy od innych chat, bardziéj rozległy,
I prawą stronę gdzie jest świetlica miał s cegły.
Obok lamus, spichrz, gumno obora i stajnie,
Wszystko w kupie, jak bywa u szlachty zwyczajnie;
Wszystko nadzwyczaj stare, zgniłe; domu dachy
Swiéciły się jak gdyby od zielonéj blachy
Od mchu i trawy, która buja jak na łące.
Po strzechach gumien, niby ogrody wiszące,
Różnych roslin, pokrzywa i krokos czerwony,
Żółta dziewanna, szczyru barwiste ogony,
Gniazda ptastwa różnego, w strychach gołębniki,
W oknach gniazda jaskółcze, u progu króliki
Białe skaczą i ryją w niedeptanéj darni.
Słowem dwór nakształt kłatki albo królikarni.

A dawniéj był obronny! Pełno wszędzie śladów,
Że wielkich i że częstych doznawał napadów.
Pod bramą dotąd w trawie, jak dziecięca głowa,
Wielka, leżała kula żalazna działowa
Od czasów szwedzkich: niegdyś skrzydło wrót otwarte

Bywało o tę kulę jak o głaz oparte.
Na dziedzińcu spomiędzy piołunu i chwastu
Wznoszą się stare szczęty krzyżow kilkunastu,
Na ziemi nieświęconéj; znak że tu chowano
Poległych śmiercią nagłą i niespodziéwaną.
Ktoby uważał z bliska lamus, spichrz i chatę,
Ujrzy ściany od ziemi do szczytu pstrokate
Niby rojem owadów czarnych; w każdéj plamie
Siedzi we środku kula jak czmiel w ziemnéj jamie.

U drzwi domostwa wszystkie klamki, ćwieki, haki,
Albo ucięte, albo noszą szabel znaki:
Pewnie tu probowano hartu Zygmuntówek,
Któremi można śmiało ćwieki obciąć z główek,
Lub hak przerżnąć, w brzeszczocie nie zrobiwszy
szczerby.
Nade drzwiami, Dobrzyńskich widne były herby;
Lecz armaturę, sérów zasłoniły pułki,
I zasklepiły gęsto gniazdami jaskółki.

Wewnątrz samego domu, w stajni i wozowni,
Pełno znajdziesz rynsztunków jak w staréj zbrojowni.
Pod dachem wiszą cztéry ogromne szyszaki,
Ozdoby czół marsowych: dziś Wenery ptaki
Gołębie w nich gruchając karmią swe pisklęta.

W stajni kolczuga wielka nad żłobem rospięta
I pierścieniasty pancerz służą za drabinę,
W którą chłopiec zarzuca źrebcom dzięcielinę.
W kuchni kilka rapiérów kucharka bezbożna
Odhartowała, kładąc je w piec zamiast rożna;
Buńczukiem, łupem z Wiednia, otrzepywa żarna:
Słowem wygnała Marsa Ceres gospodarna,
I panuje s Pomoną, Florą, i Wertumnem
Nad Dobrzyńskiego domem, stodołą i gumnem.
Ale dziś muszą znowu ustąpić Boginie:
Mars powraca.

O świcie zjawił się w Dobrzynie
Konny posłaniec; biega od chaty do chaty,
Budzi jak na pańszczyznę; wstają szlachta braty,
Napełniają się ciżbą zaścianku ulice,
Słychać krzyk w karczmie, widać w plebanji świce;
Biegą; jeden drugiego pyta co to znaczy,
Starzy składają radę, młódź konie kulbaczy,
Kobiety zatrzymują, chłopcy się szamocą,
Rwą się biédz, bić się, ale nie widzą s kim, o co!
Muszą chcąc niechcąc zostać. W mieszkaniu plebana
Trwa rada długa, tłumna, strasznie zamieszana,
Aż nie mogąc zdań zgodzić, nakoniec stanowi
Przełożyć całą sprawę Ojcu Maciejowi.

Siedmdziesiąt dwa lat liczył Maciéj, starzec dziarski,
Niskiego wzrostu, dawny Konfederat Barski.
Pamiętają i swoi i nieprzyjaciele
Jego damaskowaną krzywą karabelę,
Którą piki i sztyki rzezał nakształt sieczki,
I któréj żartem skromne dał imie **rózeczki.**
S konfederata stał się stronnikiem królewskim,
I trzymał s Tyzenhauzem Podskarbim litewskim;
Lecz gdy król w Targowicy przyjął uczestnictwo,
Maciéj opuścił znowu królewskie stronnictwo.
I stądto że przechodził partyj tak wiele,
Nazywany był dawniéj **Kurkiem na kościele,**
Że jak kurek za wiatrem chorągiewkę zwracał.
Przyczynę zmian tak częstych napróżnobyś macał:
Może Maciéj zbyt wojnę lubił, zwyciężony
W jednéj stronie, znów bitwy szukał z drugiéj strony?
Może bystry polityk duch czasu zbadywał,
I tam szedł gdzie Ojczyzny dobro upatrywał?
Kto wié! to pewna że go nigdy nie uwiodły
Ani chęć osobistéj chwały, ni zysk podły,
I że nigdy z moskiewską partyą nie trzymał;
Na sam widok Moskala pienił się i zżymał.
By nie spotkać Moskala po kraju zaborze,
Siedział w domu jak niedźwiedź gdy ssie łapę w borze.

Ostatni raz wojował poszedłszy z Ogińskim
Do Wilna, gdzie służyli oba pod Jasińskim,
I tam z różeczką cudów dokazał odwagi.
Wiadomo że sam jeden skoczył z wałów Pragi
Bronić pana Pocieja, który odbieżany
Na placu boju, dostał dwadzieścia trzy rany.
Myślano długo w Litwie że obu zabito,
Wrócili oba, każdy pokłóty jak sito.
Pan Pociej, zacny człowiek, chciał zaraz po wojnie
Obrońcę Dobrzyńskiego wynagrodzić hojnie,
Dawał mu folwark pięciu dymów w dożywocie,
I wyznaczył mu rocznie tysiąc złotych w złocie.
Lecz Dobrzyński odpisał: niech Pociej Macieja
A nie Maciéj Pocieja ma za dobrodzieja.
Odmówił więc folwarku i nieprzyjął płacy;
Sam wróciwszy do domu, żył z własnéj rąk pracy,
Sprawując ule dla pszczół, lekarstwa dla bydła,
Szląc na targ kuropatwy które łowił w sidła,
I polując na zwierza.

Było dość w Dobrzynie
Starych ludzi rostropnych, którzy po łacinie
Umieli, i w Palestrze ćwiczyli się z młodu;
Było dość majętniejszych; a s całego rodu
Maciek prostak ubogi był najwięcéj czczony,

Nie tylko jako rębacz rózeczką wsławiony,
Lecz jako człek mądrego i pewnego zdania,
Znający dzieje kraju, rodziny podania,
Zarówno świadom prawa jak i gospodarstwa.
Wiedział także sekreta strzelców i lekarstwa,
Przyznawano mu nawet (czemu pleban przeczy)
Wiadomość nadzwyczajnych i nadludzkich rzeczy.
To pewna że powietrza zmiany zna dokładnie,
I częściéj niż kalendarz gospodarski zgadnie.
Nie dziw tedy że czy to siejbę rozpoczynać,
Czy wiciny wyprawiać, czy zboże zażynać,
Czy processować, czyli zawierać układy,
Nie działo się w Dobrzynie nic bez Maćka rady.
Wpływu takiego starzec bynajmniéj nie szukał,
Owszem chciał się go pozbyć, klientów swych fukał,
I najczęściéj wypychał milczkiem za drzwi domu,
Rady rzadko udzielał i nielada komu,
Ledwie w niezmiernie ważnych sporach lub umowach
Pytany wyrzekł zdanie i w niewielu słowach.
Myślano że dzisiejszéj podejmie się sprawy
I stanie swą osobą na czele wyprawy;
Bo bijatykę lubił niezmiernie za młodu,
I był nieprzyjacielem moskiewskiego rodu.

Właśnie staruszek chodził po samotnym dworze

Nucąc piosenkę **Kiedy ranne wstają zorze,**
Rad że się wypogadza; mgła nie szła do góry,
Jak się dziać zwykło kiedy zbierają się chmury,
Ale coraz spadała; wiatr rozwinął dłonie
I mgłę muskał, wygładzał, rozscielał na błonie,
Tymczasem słonko z góry tysiącem promieni
Tło przetyka, posrébrza, wyzłaca, rumieni.
Jak para mistrzów w Słucku lity pas wyrabia,
Dziewica siedząc w dole krośny ujedwabia
I tło ręką wygładza, tymczasem tkacz z góry
Zrzuca jéj nitki srébra, złota i purpury,
Tworząc barwy i kwiaty: tak dziś ziemię całą
Wiatr tumanami osnuł a słońce dzierżgało.

Maciéj ogrzał się słońcem, zakończył pacierze,
I już się do swojego gospodarstwa bierze.
Wyniósł traw, liścia; usiadł przed domem i świsnął:
Na ten świst rój królików s pod ziemi wztrysnął.
Jako narcyzy nagle wykwitłe nad trawę,
Bielą się długie słuchy; pod niemi jaskrawe
Przeświecają się oczki, jak krwawe rubiny
Gęsto wszyte w aksamit zielonéj darniny.
Już króliki na łapkach stają, każdy słucha,
Patrzy, nakoniec cała trzódka białopucha
Bieży do starca liśćmi kapusty znęcona,

Do nóg mu, na kolana skacze, na ramiona;
On sam biały jak królik lubi ich gromadzić
W koło siebie i ręką ciepły ich puch gładzić,
A drugą ręką s czapki proso w trawę miota
Dla wróblów, spada z dachów krzykliwa chołota.

Gdy się staruszek bawił widokiem biesiady,
Nagle króliki znikły w ziemi, a gromady
Wróblów na dach uciekły przed gośćmi nowymi
Którzy szli do folwarku krokami prędkiemi.
Bylito s plebanii przez szlachty gromadę
Posłowie wyprawieni do Maćka po radę.
Zdala witając starca niskiemi ukłony
Rzekli „Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony“ —
— „Na wieki wieków, amen“ starzec odpowiedział,
A gdy się o ważności poselstwa dowiedział,
Prosi do chaty; weszli, zasiadają ławę.
Pierwszy s posłów stał w środku i jął zdawać
sprawę.

Tymczasem szlachty coraz gęściéj przybywało.
Dobrzyńscy prawie wszyscy; sąsiadów nie mało
Z okolicznych zaścianków, zbrojni i bezbronni,
W kałamaszkach i bryczkach, i piesi i konni,
Stawią wozy, podjezdki do brzezinek wiążą,

Ciekawi skutku narad koło domu krążą:
Już izbę napełnili, kupią się do sieni;
Inni słuchają, w okna głowami wciśnieni.

Księga siódma.

RADA.

TREŚĆ.

Zbawienne rady Bartka zwanego Prusak — Głos żołnierski Maćka Chrzciciela — Głos polityczny Pana Buchmana — Jankiel radzi ku zgodzie, którą Scyzoryk roscina — Rzecz Gerwazego, z której okazują się wielkie skutki wymowy sejmowéj. — Protestacya starego Maćka — Nagłe przybycie posiłków wojennych zrywa naradę — Hejże na Soplice!

Skolei, Bartek poseł rzecz swą wyprowadzał;
Ten, że często na strugach do Królewca chadzał,
Nazwany był Prusakiem od swych spółrodaków
Przez żart, bo nienawidził okropnie Prusaków,
Choć lubił o nich gadać; człek podeszły w lata,
W podróżach swych dalekich, wiele zwiedził świata;
Gazet pilny czytelnik, polityki świadom,
Mógł więc nie mało światła udzielić obradom.
Ten tak rzecz kończył: —

Nie jest to Panie Macieju,
Bracie mój, a nas wszystkich ojcze Dobrodzieju,
Nie jest to marna pomoc. Ja bym na Francuzów
Spuścił się w czasie wojny, jak na czterech tuzów:
Lud bitny, a od czasów Pana Tadeusza
Kościuszki, świat takiego nie miał geniusza
Wojennego, jak wielki Cesarz Bonaparte.
Pamiętam kiedy przeszli Francuzi przez Wartę,
Bawiłem za granicą wtenczas, w roku pańskim
Tysiącznym osimsetnym szóstym; właśnie z Gdańskiem
Handlowałem, a krewnych mam wiele w Poznańskiém.
Jeździłem ich odwiedzić; więc s Panem Józefem
Grabowskim, który teraz jest reimentu szefem,
A pod ów czas żył na wsi blisko Obiezierza,
Polowaliśmy sobie na małego źwierza.
Był pokój w Wielko-Polszcze jak teraz na Litwie;
Wtém nagle rozeszła się wieść o strasznéj bitwie;
Przybiegł do nas posłaniec od Pana Todwena,
Grabowski list przeczytał, krzyknął, Jena! Jena!
Zbito Prusaków na łeb, na szyję, wygrana!
Ja s konia ssiadłszy, zaraz padłem na kolana,
Dziękując Panu Bogu — Do miasta jedziemy
Niby dla interessu, niby nic nie wiemy;
Aż tu widzimy, wszystkie Landraty, Hofraty,

Komissarze, i wszystkie podobne psu-braty
Kłaniają się nam nisko; każdy drży, blednieje,
Jako owad prusaczy gdy wrzątkiem kto zleje.
My śmiejąc się, trąc ręce, prosim uniżenie
O nowinki? pytamy, co słychać o Jenie?
Tu ich strach zdjął, dziwią się że o klęsce owéj
Już wiemy; krzyczą Niemcy achary Got! o wej!
Spuściwszy nos, do domów, z domów daléj w nogi —
O to był rwetes! Wszystkie wielko-polskie drogi
Pełne uciekających; niemczyska jak mrowie
Pełzną, ciągną pojazdy, które lud tam zowie
Wageny i fornalki; męszczyzni, kobiety,
S fajkami, z imbryczkami, wleką pudła, bety;
Drapią jak mogą; a my milczkiem wchodzim w radę,
Hejże na koń, pomieszać Niemcom rejteradę;
Nuż Landratom tłuc w karki, z Hofratów drzéć schaby,
A Herow oficerów łowić za harcaby —
A Jenerał Dąbrowski wpada do Poznania
I Cessarski przynosi roskaz: do powstania!
W tydzień jeden, tak lud nasz Prusaków wychłostał
I wygnał, na lekarstwo Niemca byś nie dostał!
Gdyby się tak obrócić i gracko i raźnie,
I u nas w Litwie sprawić Moskwie taką łaźnię?
He? co myślisz Macieju? jeśli z Bonapartem
Moskwa drze koty, to on wojuje nie żartem:

Bohater pierwszy w świecie, a wojsk ma bez liku!
He, cóż myślisz Macieju, nasz ojcze Króliku?

Skończył. Czekają wszyscy Macieja wyroku.
Maciej głowy nie ruszył ani podniosł wzroku,
Tylko ręką kilkakroć uderzył po boku,
Jak gdyby szabli szukał; (od zaboru kraju
Szabli nie nosił; przecież z dawnego zwyczaju,
Na wspomnienie Moskala, zawsze rękę zwracał
Na lewy bok; zapewne rózeczki swéj macał,
I stąd był nazywany powszechnie Zabokiem)
Już wzniosł głowę, słuchają w milczeniu głębokiém.
Maciej oczekiwanie powszechne omylił,
Nachmurzył brwi i znowu głowę na pierś schylił.
Nakoniec odezwał się, zwolna każde słowo
Wymawiając s przyciskiem, a w takt kiwał głową.

— Cicho! skądże ta cała nowina pochodzi?
Jak daleko Francuzi? kto nimi dowodzi?
Czy już wojnę zaczęli z Moskwą? gdzie i o co?
Którędy mają ciągnąć? z jaką idą mocą?
Wiele piechoty, jazdy? Kto wié, niechaj gada!

Milczała patrząc na się kolejno gromada.
Radziłbym, rzecze Prusak, czekać Bernardyna

Robaka, bo od niego pochodzi nowina;
Tymczasem posłać pewnych szpiegów nad granicę
I po cichu uzbrajać całą okolicę;
A tymczasem ostrożnie całą rzecz prowadzić,
Aby Moskalom naszych zamiarów nie zdradzić.

He! czekać? szczekać? zwlekać? przerwał Maciej drugi,
Ochrzcony Kropicielem, od wielkiéj maczugi
Którą zwał Kropidełkiem; miał ją dziś przy sobie.
Stanął za nią, na gałce zwiesił ręce obie,
Na ręku oparł brodę, krzycząc: czekać! zwlekać!
Sejmikować! Hem, trem brem, a potem uciekać.
Ja w Prusach niebywałem; rozum królewiecki
Dobry dla Prus, a u mnie jest rozum szlachecki.
To wiem, że kto chce bić się, niech kropidło chwyta,
Kto umierać, ten księdza niech woła, i kwita!
Ja chcę żyć, bić! Bernardyn po co? czy my żaki?
Co mi tam Robak, otoż my będziem robaki,
I daléj Moskwę toczyć! trem, bdrem, szpiegi, w zwiady;
Wiecie wy co to znaczy? — Oto że wy dziady
Niedołęgi? He, Bracia! to wyżła rzecz tropić,
Bernardyńska kwestować, a moja rzecz, kropić,
Kropić, kropić i kwita! — Tu maczugę głasnął,
Za nim cały tłum szlachty, kropić, kropić! wrzasnął.

Poparł stronę Chrzciciela, Bartek zwan Brzytewka
Od szabli cienkiéj, tudzież Maciej zwan Konewka
Od sztućca który naszał, z gardłem tak szerokiém,
Że zeń jak s konwi, tuzin kulek lał potokiem;
Oba krzyczeli: wiwat Chrzciciel s kropidełkiem.
Prusak chciał mówić, ale zgłuszono go zgiełkiem
I śmiechem; precz, wołano, precz Prusaki tchórze,
Kto tchórz niech w bernardyńskim chowa się kapturze.

Wtém znowu głowę zwolna podniosł Maciej stary,
I zaczęły cokolwiek uciszać się gwary.
— Niedrwijcie, rzekł, z Robaka; znam go, to ćwiek klecha,
Ten robaczek większego od was zgryzł orzecha;
Raz go tylko widziałem, ledwiem okiem rzucił,
Poznałem co za ptaszek; ksiądz oczy odwrócił,
Lękając się żebym go nie zaczął spowiadać;
Ale to rzecz nie moja, wiele o tém gadać!
On tu nie przyjdzie, próżno wzywać Bernardyna;
Jeśli od niego wyszła ta cała nowina,
To kto wié w jakim celu: bo to bies księżyna!
Jeśli prócz téj nowiny nic więcej nie wiecie,
Więc po coście tu przyszli? czego wy chcecie?

Wojny! krzyknęli — Jakiéj? spytał — zawołali:
Wojny z Moskalem! bić się! Hajże na Moskali.

Prusak wciąż wołał a głos co raz wyżéj wznosił,
Aż posłuchanie, częścią ukłonem wyprosił,
Częścią zdobył swą mową krzykliwą i cienką.

I ja chcę bić się, wołał tłukąc się w pierś ręką;
Choć kropidła nie noszę, drągiem od wiciny
Sprawiłem raz Prusakom czterem dobre chrzciny,
Którzy mię po pijanemu chcieli w Preglu topić.
— Toś zuch Bartku, rzekł Chrzciciel, dobrze! kropić!
kropić!
— Ależ najsłodszy Jezu! trzeba pierwéj wiedzieć
S kim wojna? o co? trzeba to światu powiedzieć,
Wołał Prusak, bo jakże lud ruszy za nami?
Gdzie pójdzie, kiedy, gdzie iść, my nie wiemy sami?
Bracia Szlachta! Panowie! potrzeba rozsądku!
Dobrodzieje! potrzeba ładu i porządku!
Chcecie wojny, więc zróbmy konfederacyą,
Obmyślmy gdzie zawiązać i pod laską czyją?
Tak było w Wielko-Polszcze; — widzim rejteradę
Niemiecką, cóż my robim? wchodzim tajnie w radę,
Uzbrajamy szlachtę i włościan gromadę,
Gotowi, Dąbrowskiego czekamy rozkazu,
Nakoniec, hajże na koń! powstajem od razu!

— Proszę o głos, zawołał Pan Komissarz s Klecka.
Człowiek młody, przystojny, ubrany z niemiecka;

Zwał się Buchman, lecz Polak był, w Polszcze się rodził;
Nie wiedzieć pewnie czyli ze szlachty pochodził,
Lecz o to nie pytano; i wszyscy Buchmana
Szacowali, iż służył u wielkiego Pana,
Był dobry patriota, i pełen nauki,
S ksiąg obcych wyuczył się gospodarstwa sztuki,
I dóbr administracyą prowadził porządnie;
O polityce także wnioskował rozsądnie,
Pięknie pisać i gładko umiał się wysławiać,
Zatém umilkli wszyscy, kiedy jął rosprawiać.
— Proszę o głos, powtórzył, podwakroć odchrząknął,
Ukłonił się i usty dźwięcznemi tak brząknął.

Preopinanci moi w swych głosach wymownych,
Dotknęli wszystkich punktów stanowczych i głownych,
Dyskussyą na wyższe wznieśli stanowisko;
Mnie tylko pozostaje, w jedno zjąć ognisko,
Rzucone trafne myśli i rozumowania:
Mam nadzieję w ten sposób sprzeczne zgodzić zdania.
Dwie części w dyskussyi całéj uważałem,
Podział już jest zrobiony, idę tym podziałem.
Naprzód: dla czego mamy przedsiebrać powstanie?
W jakim duchu? to pierwsze żywotne pytanie;
Drugie, rewolucyjnéj władzy się dotycze;

Podział jest trafny, tylko przewrócić go życzę.
Naprzód zacząć od władzy; skoro pojmiem władzę,
Z niéj powstania istotę, duch, cel, wyprowadzę.
Co do władzy więc — kiedy oczyma przebiegam
Dzieje całéj ludzkości i cóż w nich spostrzegam?
Oto ród ludzki dziki, w lasach rospierzchniony,
Skupia się, zbiera, łączy dla wspólnéj obrony,
Obmyśla ją; i to jest najpierwsza obrada.
Potém każdy wolności własnéj cząstkę składa
Dla dobra powszechnego: to pierwsza ustawa,
S któréj jako ze źródła płyną wszystkie prawa.
Widzimy tedy, że rząd umową się tworzy,
Niepochodząc, jak mylnie sądzą, z woli Bożéj.
Owoż rząd na kontrakcie oparłszy społécznym,
Podział władzy już tylko jest skutkiem koniecznym...

— Otoż są i kontrakty! Kijowskie czy Mińskie?
Rzekł stary Maciej, owoż i rządy Babińskie!
Panie Buchman, czy Bóg nam chciał Cara narzucić,
Czy djabeł, ja z Waszecią nie będę się kłócić;
Panie Buchman, gadaj Waść jakby Cara zrucić.
— Tu sęk, krzyknął Kropiciel; gdybym mógł podskoczyć
Do tronu, i kropidłem, plusk, raz Cara zmoczyć,
To jużby on niewrócił, ni Kijowskim traktem,

Ni Mińskim, ni za żadnym Buchmana kontraktem;
Aniby go wskrzesili z mocy Bożéj popi,
Ni z mocy belzebuba — ten mi zuch kto kropi.
Panie Buchman, Waścina rzecz bardzo wymowna,
Ale wymowa szum, drum: kropić, to rzecz główna.

— To, to, to, pisnął ręce trąc Bartek Brzytewka,
Od Chrzciciela do Maćka biegając, jak cewka
Od jednéj strony krosien przerzucana w drugą:
Tylko ty Maćku z rózgą, ty Maćku z maczugą,
Tylko zgodźcie się, dalbóg pobijem na druzgi
Moskala; Brzytew idzie pod komendę Rózgi.

Komenda, przerwał Chrzciciel, dobra ku paradzie;
U nas była komenda w Kowieńskiej brygadzie
Krótka a węzłowata: strasz, sam się nie strachaj, —
Bij, nie daj się, — postępuj często, gęsto machaj:
Szach, mach! — To, pisnął Brzytwa, to mi regulament
Po co tu pisać akta, po co psuć atrament?
Konfederacyi trzeba? oto cała sprzeczka?
Jest Marszałek nasz Maciej, a laska rózeczka.
— Niech żyje, krzyknął Chrzciciel, Kurek na kościele!
Szlachta odpowiedziała: Wiwant Kropiciele!

Ale w kątach szmer powstał, choć w środku tłumiony;
Widać że się rozdziela rada na dwie strony.

Buchman krzyknął: ja zgody nigdy niepochwalam!
To mój system! Ktoś drugi wrzasnął: niepozwalam!
Inni s kątów wtórują. Nareście głos gruby
Ozwał się, przybyłego szlachcica Skołuby:

— Cóż to Państwo Dobrzyńscy! a to co się święci?
A my, czy to będziemy spod prawa wyjęci?
Kiedy nas zapraszano z naszego zaścianku,
A zapraszał nas klucznik Rembajło Mopanku,
Mówiono nam że wielkie rzeczy dziać się miały,
Że tu nie o Dobrzyńskich, lecz o powiat cały,
O całą szlachtę idzie; toż i Robak bąkał,
Choć nigdy niedokończył i zawsze się jąkał,
I ciemno się tłumaczył; — wreście koniec końców,
My zjechali, sąsiadów wezwali przez gońców.
Nie sami tu Panowie Dobrzyńscy jesteście,
Z różnych innych zaścianków jest tu nas ze dwieście,
Wszyscy więc radźmy. Jeśli potrzeba Marszałka,
Głosujmy wszyscy, równa u każdego gałka.
Niech żyje równość!

Zatém dwaj Terajewicze
I czterej Stupyłkowscy i trzej Mickiewicze
Krzyknęli: Wiwat równość! — stojąc za Skołubą.
Tymczasem Buchman wołał: zgoda będzie zgubą!

Kropiciel krzyczał: bez was obejdziem się sami;
Niech żyje nasz Marszałek, Maciek nad Maćkami!
Hej do laski! — Dobrzyńscy krzyczą: zapraszamy!
A obca Szlachta woła w głos: niepozwalamy!
Rostrycha się tłum na dwie kupy rozdzielony,
I kiwając głowami w dwie przeciwne strony,
Tamci, niepozwalamy — ci krzyczą, prosiemy.

Maciek stary w pośrodku, jeden siedział niemy,
I jedna głowa jego była nieruchoma.
Przeciw niemu stał Chrzciciel, zwieszony rękoma
Na maczudze, a głową na końcu maczugi
Wspartą kręcił, jak tykwą wbitą na kij długi,
I na przemiany, to w tył, to się na przód kiwał,
I ustawicznie, kropić, kropić! wykrzykiwał.
Wzdłuż izby zaś przebiegał Brzytewka ruchawy,
Ciągle od Kropiciela do Macieja ławy.
Konewka zaś powoli wszerz izbę przechodził
Od Dobrzyńskich do szlachty, niby to ich godził;
Jeden wciąż wołał, golić, — a drugi zalewać!
Maciek milczał, lecz widno że się zaczął gniewać.

Ćwierć godziny wrzał hałas, gdy nad tłum wrzeszczący,
Ze środka głów, wyskoczył w górę słup błyszczący:

Był to rapier sążnistéj długości, szeroki
Na całą piędź, a sieczny na obadwa boki.
Widocznie miecz Teutoński z Norymberskiéj stali
Ukuty: wszyscy milcząc, na broń poglądali.
Kto ją podniosł? niewidać, lecz zaraz zgadniono,
To Scyzoryk, niech, żyje Scyzoryk! krzykniono,
Wiwat Scyzoryk klejnot Rębajłów zaścianku,
Wiwat Rębajło, Szczerbiec, Półkozic, Mopanku!

Wnet Gerwazy (to on był) przez tłum się przecisnął
Na środek izby, w koło scyzorykiem błysnął,
Potém, w dół chyląc ostrze na znak powitania
Przed Maćkiem, rzekł: Rózeczce Scyzoryk się kłania.
Bracia, szlachta Dobrzyńscy: ja nie będę radził
Nic a nic, powiem tylko po com was zgromadził,
A co robić, jak robić, decydujcie sami.
Wiecie, słuch dawno chodzi między zaściankami,
Że się na wielkie rzeczy zanosi na świecie;
Ksiądz Robak o tém gadał, wszakże wszyscy wiecie?
—Wiemy! krzyknęli— Dobrze, owoż mądréj głowie,
Ciągnął mówca spojrzawszy bystro, dość dwie słowie.
Nie prawdaż? — prawda, rzekli — Gdy Cesarz Francuski,
Rzekł Klucznik, stąd przyciąga, a stamtąd Car Ruski,
Więc wojna, car s cesarzem, królowie s królami

Pójdą za łby jak zwykle między monarchami;
A nam czy siedzieć cicho? Gdy wielki wielkiego
Będzie dusić, my duśmy mniejszych, każdy swego.
Z góry i z dołu, wielcy wielkich, małych mali,
Jak zaczniem ciąć, tak całe szelmostwo się zwali,
I tak zakwitnie szczęście i Rzeczpospolita.
Nie prawdaż? — prawda! rzekli, jakby s książki czyta
Prawda! powtórzył Chrzciciel, krop a krop i kwita.
— Ja zawsze gotów golić ozwał się Brzytewka;
— Tylko zgodźcie się, prosił uprzejmie Konewka,
Chrzcicielu i Macieju, pod czyją iść wodzą; —
Ale mu przerwał Buchman: niech się głupi godzą,
Dyskussye publicznéj sprawie nie zaszkodzą.
Proszę milczeć, słuchamy, sprawa na tém zyska,
Pan Klucznik ją z nowego zważa stanowiska.

— Owszem, zawołał Klucznik, u mnie po staremu,
O wielkich rzeczach myśleć należy wielkiemu;
Jest na to Cesarz, będzie król, senat, posłowie.
Takie rzeczy Mopanku, robią się w Krakowie
Lub w Warszawie, nie u nas, w zaścianku w Dobrzynie;
Aktów konfederackich nie piszą w kominie
Kredą, nie na wicinie, lecz na pargaminie:
Nie nam to pisać akta, ma Polska pisarzy

Koronnych i Litewskich, tak robili starzy;
Moja rzecz scyzorykiem wyrzynać — Kropidłem
Pluskać, dodał Kropiciel — i wykalać szydłem,
Krzyknął Bartek Szydełko, dobywszy swéj szpadki.

Wszystkich was, kończył Klucznik, biorę tu na świadki,
Czy Robak nie powiadał, że wprzód nim przyjmiecie
W dom wasz Napoleona, trzeba wymieść śmiecie?
Słyszeliście to wszyscy, a czy rozumiecie?
Ktoż jest śmieciem powiatu? kto zdradziecko zabił
Najlepszego s Polaków, kto go okradł, zgrabił?
Któż to? mamże wam gadać? — A już ci Soplica,
Przerwał Konewka; to łotr — Oj to ciemiężyciel,
Pisnął Brzytewka — Więc go kropić! dodał Chrzciciel.
— Jeśli zdrajca, rzekł Buchman, więc na szubienicę.
Hejże, krzyknęli wszyscy, hajże na Soplicę!

Lecz Prusak śmiał podjąć się Sędziego obrony,
I wołał z wzniesionemi ku szlachcie ramiony:
Panowie Bracia! aj! aj! a na boskie rany!
Co znowu? Panie Klucznik, czy Waść opętany?
Czy o tém była mowa? że ktoś miał wariata,
Banita bratem, to co? karać go za brata!
To mi po chrześcijańsku! są tu w tym konszachty
Hrabiego — żeby Sędzia był ciężki dla szlachty,

Nie prawda! dalibógże! to wy tylko sami
Pozywacie go, a on zgody szuka z wami,
Ustępuje ze swego, jeszcze grzywny płaci.
Ma process z Hrabią, cóż stąd? obadwa bogaci;
Niechaj pan drze się s panem, cóż to do nas braci?
Pan Sędzia ciemiężyciel! on pierwszy zabraniał
Ażeby się chłop przed nim do ziemi nie kłaniał,
Mówiąc że to grzech. Nie raz u niego gromada
Chłopska, ja sam widziałem, do stołu z nim siada;
Płacił za włość podatki, a nie tak jest w Klecku,
Choć tam Waść Panie Buchman, rządzisz po niemiecku.
Sędzia zdrajca! my się z nim od infimy znamy:
Poczciwe było dziecko, i dziś taki samy;
Polskę kocha nad wszystko, polskie obyczaje
Chowa, modom moskiewskim przystępu nie daje.
Ilekroć s Prus powracam, chcąc zmyć się z niemczyzny,
Wpadam do Soplicowa, jak w centrum polszczyzny;
Tam się człowiek napije, nadysze Ojczyzny!
Dalibóg Dobrzyńscy! ja wasz brat, ale Sędziego
Niepozwolę pokrzywdzić, nie będzie nic s tego.
Nie tak Panowie Bracia w Wielko-Polszcze było:
Co za duch! co za zgoda! aż przypomnieć miło!
Nikt tam podobną fraszką nieśmiał rady mieszać.
— To nie fraszka zawołał Klucznik, łotrów wieszać!

Szmer wzmagał się; wtém Jankiel posłuchania prosił,
Na ławę wskoczył, stanął, i nad głowy wznosił
Brodę jak wiechę, co mu aż do pasa wisi;
Prawą ręką zdjął zwolna z głowy kołpak lisi,
Lewą ręką jarmułkę zruszoną poprawił,
Potém lewicę za pas zatknął i tak prawił,
Kołpakiem lisim w koléj kłaniając się nisko.

Nu Panowie Dobrzyńscy, ja sobie żydzisko;
Mnie Sędzia ni brat, ni swat; szanuję Sopliców
Jak Panów bardzo dobrych i moich dziedziców;
Szanuję też Dobrzyńskich Bartków i Maciejów,
Jako dobrych Sąsiadów, Panów Dobrodziejów;
A mówię tak: jeżeli Państwo chcą gwałt zrobić
Sędziemu, to bardzo źle, możecie się pobić,
Zabić — assessory? a sprawnik? a turma?
Bo w wiosce u Soplicy jest żołnierzy hurma,
Wszystko jegry! Assessor w domu; tylko świśnie,
Tak wraz przymarszerują, stoją jak umyślnie.
A co będzie? a jeśli czekacie Francuza,
To Francuz jest daleko jeszcze, droga duża.
Ja żyd, o wojnach nie wiem, a byłem w Bielicy,
I widziałem tam żydków od saméj granicy;
Słychać że Francuz stoi nad rzeką Łososną,
A wojna jeśli będzie, to chyba aż wiosną.

Nu, mówię tak, czekajcie; wszak dwór Soplicowa
Nie budka kramna, co się rozbierze, w wóz schowa
I pojedzie: dwór jak stał, do wiosny stać będzie;
A Pan Sędzia, to nie jest żydek na arędzie,
Nie uciecze, to jego można znaleść wiosną;
A teraz rozejdźcie się, a niegadać głośno
O tém co było, bo to gadać, to daremno!
A czyja łaska Panów Szlachty, proszę ze mną.
Moja Siora powiła małego Jankielka,
Ja dziś traktuję wszystkich, a muzyka wielka!
Każę przynieść kozicę, basetle, dwie skrzypiec,
A Pan Maciek Dobrodziéj lubi stary lipiec
I nowego mazurka; mam nowe mazurki.
A wyuczyłem śpiewać fein moje bachurki.

Wymowa lubionego powszechnie Jankiela
Trafiała do serc; powstał krzyk, oklask wesela,
Szmer przyzwolenia nawet za domem się szerzył,
Gdy Gerwazy w Jankiela scyzorykiem zmierzył.
Żyd skoczył, wpadł w tłum; Klucznik wołał: precz stąd żydzie,
Nie tkaj palców między drzwi, nie o ciebie idzie!
Panie Prusak! że Waszeć Sędziowską handlujesz
Parą wicin mizernych, to już zań gardłujesz?
Zapomniałeś Mopanku, że ojciec Waszécin

Spławiał do Prus dwadzieścia Horeszkowskich wicin?
Stąd się zbogacił i on i jego rodzina;
Ba nawet wszyscy, ilu was tu jest z Dobrzyna.
Bo pamiętacie starzy, słyszeliście młodzi,
Że Stolnik był was wszystkich ojciec i Dobrodziéj:
Kogoż on komissarzem słał do swych dobr Pińskich?
Dobrzyńskiego! rachmistrzów kogo miał? Dobrzyńskich!
Marszałkostwa, kredensu nie zwierzał nikomu,
Tylko Dobrzyńskim: pełno Dobrzyńskich miał w domu!
On forytował wasze w trybunałach sprawy,
On wyrabiał u króla dla was chleb łaskawy,
Dzieci wasze kopami pomieszczał w konwikcie
Pijarskim, na swym koszcie, odzieży i wikcie;
Dorosłych promowował także swym nakładem:
A dla czego to robił? że wam był sąsiadem!
Dziś Soplica kopcami tyka waszych granic,
Cóż kiedy wam dobrego zrobił on?

— Nic a nic!
Przerwał Konewka: bo to wyrosło s szlachciury,
A jak dmie się, phu, phu, phu, jak nos drze do góry!
Pamiętacie, prosiłem na córki wesele;
Poję, nie chce pić, mówi: nie piję tak wiele,
Jak wy szlachta; wy szlachta ciągniecie jak bąki:

Ot magnat! delikacik z marymonckiéj mąki!
Nie pił, leliśmy w gardło, krzyczał: gwałt się dzieje?
Czekajno, niech no ja mu s Konewki naleję.

— Filut, zawołał Chrzciciel: oj i ja go kropnę
Za swoje. Mój syn było to dziecko rostropne;
Teraz tak zgłupiał, że go nazywają Sakiem,
A s przyczyny Sędziego został głupcem takim.
Mówiłem, po co tobie leść do Soplicowa:
Jeżeli cię tam złowię! niech cię Bóg uchowa.
On znowu smyk do Zosi, dybie przez konopie,
Złowiłem go, a zatém za uszy i kropię;
A on beczy i beczy jak maleńkie chłopie:
Ojcze, choć zabij, muszę tam iść; a wciąż szlocha —
Co tobie? a on mówi, że tę Zosię kocha!
Chciałby popatrzyć na nią, żal mi nieboraka,
Mówię Sędziemu: Sędzio, daj Zosię dla Saka;
On mówi: jeszcze mała, czekaj ze trzy lata,
Jak sama zechce; łotr! łze, już ją komuś swata.
Słyszałem; już ja się tam na wesele w kręcę,
Ja im łoże małżeńskie kropidłem poświęcę.

— I taki łotr, zawołał Klucznik, ma panować?
I dawnych panów, lepszych od siebie ruinować?
A Horeszków i pamięć i imie zaginie!

Gdzież jest wdzięczność na świecie? — nie ma jéj
w Dobrzynie.
Bracia! chcecie bój z ruskim wieść imperatorem,
A boicie się wojny s Soplicowskim dworem?
Strach wam turmy! czyż to ja wzywam na rozboje?
Broń Boże! Szlachta Bracia! ja przy prawie stoję.
Wszak Hrabia wygrał, zyskał dekretów nie mało;
Tylko je exekwować! tak dawniéj bywało:
Trybunał pisał dekret, szlachta wypełniała,
A szczególniéj Dobrzyńscy, i stąd wasza chwała
Urosła w Litwie! Wszakże to Dobrzyńscy sami
Bili się na zajazdzie Myskim z Moskalami,
Których przywiodł Jenerał ruski Wojniłowicz,
I łotr, przyjaciel jego Pan Wołk z Łogomowicz;
Pamiętacie jak Wołka wzięliśmy w niewolę,
Jak chcieliśmy go wieszać na belce w stodole,
Jż był tyran dla chłopstwa a sługa Moskali;
Ale się chłopi głupi nad nim zlitowali!
(Upiec go muszę kiedyś na tym scyzoryku.)
Nie wspomnę innych wielkich zajazdów bez liku,
S których wyszliśmy zawsze jak szlachcie przystało,
I z zyskiem i aplauzem powszechnym i s chwałą!
Po cóż o tém wspominać! dziś darmo Pan Hrabia
Sąsiad wasz, sprawę toczy, dekrety wyrabia,
Już nikt z was pomóc nie chce biednemu sierocie!

Dziedzic Stolnika tego, który żywił krocie,
Dziś nie ma przyjaciela, oprócz mnie Klucznika,
I ot tego wiernego mego scyzoryka!

— I kropidła, rzekł Chrzciciel, gdzie ty Gerwazeńku
Tam i ja; póki ręka, puki plusk plask w ręku.
Co dwaj to dwaj! Dalibóg mój Gerwazy! ty miecz,
Ja mam kropidło; Dał Bóg! ja kropię a ty siecz,
I tak szach mach, plusk plask; oni niech gawędzą!

— Toć i Bartka, rzekł Brzytwa, Bracia nie odpędzą,
Już co wy namydlicie, to ja wszystko zgolę
— I ja przydał Konewka z wami ruszyć wolę,
Gdy ich nie można zgodzić na obior marszałka;
Co mi tam głosy, gałki, u mnie insza gałka:
(Tu wydobył s kięszeni garść kul, dzwonił niemi)
Ot gałki! krzyknął, w Sędzię gałkami wszystkiemi!
— Do was wołał Skołuba, do was się łączymy!
— Gdzie wy, krzyknęła szlachta, gdzie wy, to tam
i my!
Niech żyją Horeszkowie, wiwant Półkozice!
Wiwat Klucznik Rębajło! Hajże na Soplice!

I tak, wszystkich pociągnął wymowny Gerwazy:
Bo wszyscy ku Sędziemu mieli swe urazy,

Jak zwyczajnie w sąsiędztwie, to o szkodę skargi,
To o wyręby, to o granice zatargi:
Jednych gniew, drugich tylko poburzała zawiść
Bogactw Sędziego — wszystkich zgodziła nienawiść.
Cisną się do Klucznika, podnoszą do góry
Szable, pałki —

Aż Maciek dotychczas ponury,
Nieruchomy, wstał z ławy i wolnemi kroki
Wyszedł na środek izby, i podparł się w boki,
I spojrzawszy przed siebie i kiwając głową,
Zabrał głos, wymawiając zwolna każde słowo,
S przestankiem i przyciskiem: A głupi! a głupi!
A głupi wy! na kim się mleło, na was skrupi.
To, póki o wskrzeszeniu Polski była rada,
O dobru pospolitém, głupi, u was zwada?
Nie można było, głupi, ani się rozmówić,
Głupi, ani porządku, ani postanowić
Wodza nad wami, głupi! a niech no kto podda
Osobiste urazy, głupi, u was zgoda!
Precz stąd! bo jakiem Maciek, was, do milionów
Krocset kroci tysięcy fur beczek furgonów
Djabłów!!!! —

Ucichli wszyscy jak rażeni gromem!
Ale razem straszliwy powstał krzyk za domem:

„Wiwat Hrabia!“ On wjeżdżał na folwark Maciejów,
Sam zbrojny, za nim zbrojnych dziesięciu dżokejów.
Hrabia siedział na dzielnym koniu, w czarnym stroju,
Na sukni orzechowy płaszcz włoskiego kroju,
Szeroki, bez rękawów, jak wielka opona,
Spięty klamrą u szyi, spadał przez ramiona;
Kapelusz miał okrągły z piórem, w ręku szpadę,
Okręcił się i szpadą powitał gromadę.

Wiwat Hrabia! krzyknęli, z nim żyć i umierać!
Szlachta zaczęła s chaty przez okna wyzierać
I za Klucznikiem co raz ku drzwiom się napierać;
Klucznik wyszedł, a za nim tłum przeze drzwi runął,
Maciek resztę wypędził, drzwi zamknął, zasunął,
I przez okno wyjrzawszy, raz jeszcze rzekł: głupi!

A tym czasem się szlachta do Hrabiego kupi;
Idą w karczmę, Gerwazy wspomniał dawne czasy,
Kazał sobie trzy podać od kuntuszów pasy,
Na nich ze sklepu karczmy beczki wydobywa
Trzy: jedną miodu, drugą wódki, trzecią piwa.
Wyjął gożdzie, wnet s szumem trysnęły trzy strugi,
Jeden biały jak srebro, krwawnikowy drugi,
Trzeci żółty; troistą grają w górze tęczą,
A spadając w sto kubków, we sto szklanek brzęczą.

Wre szlachta, tamci piją, ci Hrabiemu życzą
Lat setnych, wszyscy, Hajże na Soplice, krzyczą.

Jankiel wymknął się milczkiem, oklep; Prusak równie,
Niesłuchany, choć jeszcze rozprawiał wymownie,
Chciał zmykać, szlachta w pogoń, wołając że zdradził.
Mickiewicz stał zdaleka, ni krzyczał, ni radził,
Ale z miny poznano, że coś złego knuje,
Więc do kordów, i Hajże! on się rejteruje,
Odcina się, już ranny, przyparty do płotów,
Gdy mu skoczył na odsiecz Zan i trzech Czeczotów.
Zaczém rozjęto szlachtę, ale w tym rozruchu,
Dwóch było ciętych w ręce, ktoś dostał po uchu.
Reszta wsiadała na koń. —

Hrabia i Gerwazy
Porządkują, rozdają oręże, roskazy.
W końcu, wszyscy przez długą zaścianku ulicę
Puścili się w cwał krzycząc: Hajże na Soplice.

Księga ósma.

ZAJAZD.

TREŚĆ.

Astronomia Wojskiego — Uwaga Podkomorzego nad kometami — Tajemnicza scena w pokoju Sędziego — Tadeusz chcąc zręcznie wyplątać się wpada w wielkie kłopoty — Nowa Dydo — Zajazd — Ostatnia woźnieńska protestacya — Hrabia zdobywa Soplicowo — Szturm i rzeź — Gerwazy piwniczym — Uczta Zajazdowa.

Przed burzą bywa chwila cicha i ponura;
Kiedy nad głowy ludzi przyleciawszy chmura,
Stanie i grożąc twarzą, dech wiatrów zatrzyma,
Milczy, obiega ziemię błyskawic oczyma,
Znacząc te miejsca, gdzie wnet ciśnie grom po gromie:
Téj ciszy chwila była w Soplicowskim domie.
Myślibyś, że przeczucie nadzwyczajnych zdarzeń,
Ścięło usta, i wzniosło duchy w kraje marzeń.

Po wieczerzy, i Sędzia i goście ze dworu
Wychodzą na dziedziniec, używać wieczoru;
Zasiadają na przyzbach wysłanych murawą;
Całe grono s posępną i cichą postawą,
Pogląda w niebo, które zdawało się zniżać,
Ścieśniać, i coraz bardziéj ku ziemi przybliżać;
Aż oboje skrywszy się pod zasłonę ciemną
Jak kochankowie, wszczęli rozmowę tajemną,
Tłómacząc swe uczucia w westchnieniach tłumionych,
Szeptach, szmerach i słowach na wpół wymówionych,
S których składa się dziwna muzyka wieczoru.

Zaczął ją puszczyk, jęcząc na poddaszu dworu;
Szepnęły wiotkiém skrzydłem niedoperze, lecą
Pod dom, gdzie szyby okien, twarze ludzi świecą;
Bliżéj zaś, niedoperzów siostrzyczki, ćmy, rojem
Wiją się, przywabione białym kobiet strojem,
Mianowicie przykrzą się Zosi, bijąc w lice,
I w jasne oczki, które biorą za dwie świéce.
Na powietrzu owadów wielki krąg się zbiera,
Kręci się grając jako harmoniki sfera;
Ucho Zosi rozróżnia wśród tysiąca gwarów
Akord muszek i półton fałszywy komarów.

W polu koncert wieczorny ledwie jest zaczęty;
Właśnie muzycy kończą stroić instrumenty,

Już trzykroć wrzasnął derkacz, piérwszy skrzypak łąki,
Już mu zdala wtórują z bagien basem bąki,
Już bekasy do góry porwawszy się wiją,
I bekając raz poraz jak w bębenki biją.

Na finał szmerów muszych i ptaszęcéj wrzawy,
Odezwały się chórem podwójnym dwa stawy,
Jako zaklęte w górach kaukazkich jeziora
Milczące przez dzień cały, grające z wieczora.
Jeden staw co toń jasną i brzeg miał piaszczysty,
Modrą piersią jęk wydał cichy, uroczysty;
Drugi staw z dnem błotnistém i gardzielem mętnym,
Odpowiedział mu krzykiem żałośnie namiętnym;
W obu stawach piały żab niezliczone hordy,
Oba chory zgodzone w dwa wielkie akordy.
Ten fortissimo zabrzmiał, tamten nóci s cicha;
Ten zdaje się wyrzekać, tamten tylko wzdycha;
Tak dwa stawy gadały do siebie przez pola,
Jak grające na przemian dwie arfy Eola.

Mrok gęstniał; tylko w gaju i około rzeczki
W łozach, błyskały wilcze oczy jako świeczki,
A daléj u ścieśnionych widnokręgu brzegów,
Tu i ówdzie ogniska pastuszych noclegów.

Nareszcie księżyc srebrną pochodnię zaniecił,
Wyszedł z boru i niebo i ziemię oświecił.
One teraz s pomroku odkryte w połowie,
Drzemały obok siebie, jako małżonkowie
Szczęśliwi: niebo w czyste objęło ramiona
Ziemi pierś, co księżycem świeci posrebrzona.

Już na przeciw księżyca, gwiazda jedna, druga
Błysnęła; już ich tysiąc, już milion mruga.
Kastor z bratem Poluxem jaśnieli na czele,
Zwani niegdyś u Sławian Lele i Polele,
Teraz ich w zodiaku gminnym znów przechrzczono,
Jeden zowie się Litwą, a drugi Koroną.

Daléj niebieskiéj **Wagi** dwie szale błyskają;
Na nich Bóg w dniu stworzenia (starzy powiadają)
Ważył s kolei wszystkie planety i ziemię,
Nim w przepaściach powietrza osadził ich brzemię;
Potem wagi złociste zawiesił na niebie:
Z nich to ludzie wag i szal wzór wzięli dla siebie.

Na północ, świeci okrąg gwiaździstego **Sita**,
Przez które Bóg (jak mówią) przesiał ziarnka żyta,
Kiedy je z nieba zrucał dla Adama ojca,
Wygnanego za grzechy z roskoszy ogrojca.

Nieco wyżéj **Dawida** wóz, gotów do jazdy,
Długi dyszel kieruje do polarnej gwiazdy.
Starzy Litwini wiedzą o rydwanie owym,
Że nie słusznie pospólstwo zwie go Dawidowym,
Gdyż to jest wóz Anielski. Na nim to przed czasy,
Jechał Lucyper, Boga gdy wyzwał w zapasy,
Mlecznym gościńcem pędząc w cwał w niebieskie progi,
Aż go Michał zbił z wozu, a wóz zrucił z drogi,
Teraz popsuty między gwiazdami się wala,
Naprawiać go Archanioł Michał nie pozwala.

I to wiadomo także u starych Litwinów,
(A wiadomość tę pono wzięli od rabinów)
Że ów zodyakowy **Smok** długi i gruby
Który gwiaździste wije po niebie przeguby,
Którego mylnie wężem chrzcą Astronomowie,
Jest nie wężem lecz rybą, Lewiatan się zowie.
Przed czasy mieszkał w morzach, ale po potopie
Zdechł z niedostatku wody; więc na niebios stropie
Tak dla osobliwości, jako dla pamiątki,
Anieli zawiesili jego martwe szczątki.
Podobnie pleban Mirski zawiesił w kościele
Wykopane olbrzymów żebra i piszczele.

Takie gwiazd historye, które s książek zbadał,

Albo słyszał z podania, Wojski opowiadał;
Chociaż wieczorem słaby miał wzrok Wojski stary,
I nie mógł w niebie dojrzeć nic przez okulary,
Lecz na pamięć znał imie i kształt każdéj gwiazdy;
Wskazywał palcem miejsca i drogę ich jazdy.

Dziś mało go słuchano, nie zważano wcale
Na **Sito**, ni na **Smoka**, ani też na **Szale**;
Dziś oczy i myśl wszystkich pociąga do siebie
Nowy gość, dostrzeżony niedawno na niebie,
Był to **kometa** piérwszéj wielkości i mocy,
Zjawił się na zachodzie, leciał ku północy;
Krwawym okiem z ukosa na rydwan spoziera,
Jakby chciał zająć puste miejsce Lucypera,
Warkocz długi w tył rzucił, i część nieba trzecią
Obwinął nim, gwiazd krocie zagarnął jak siecią,
I ciągnie je za sobą, a sam wyżéj głową
Mierzy, na północ, prosto w gwiazdę biegunową.

Z niewymownem preczuciem cały lud Litewski
Poglądał każdéj nocy na ten cud niebieski,
Biorąc złą wróżbę z niego, tudzież z innych znaków:
Bo zbyt często słyszano krzyk złowieszczych ptaków,
Które na pustych polach gromadząc się w kupy,
Ostrzyły dzioby jakby czekając na trupy.

Zbyt często postrzegano, że psy ziemię ryły,
I jak gdyby śmierć wietrząc przeraźliwie wyły:
Co wróży głód lub wojnę; a strażnicy boru
Widzieli jak przez smętarz szła dziewica moru,
Która wznosi się czołem nad najwyższe drzewa,
A w lewym ręku chustką skrwawioną powiewa.

Różne stąd wnioski tworzył, stojący przy płocie
Cywón, co przyszedł zdawać sprawę o robocie,
I pisarz prowentowy w szeptach z ekonomem.

Lecz Podkomorzy siedział na przyźbie przed domem.
Przerwał rozmowę gości, znać że głos zabiera;
Błysnęła przy księżycu wielka tabakiera
(Cała s szczerego złota, z brylantów oprawa,
We środku za szkłem portret króla Stanisława)
Zadzwonił w nią palcami, zażył i rzekł: Panie
Tadeuszu, Waścine o gwiazdach gadanie,
Jest tylko echem tego co słyszałeś w szkole.
Ja o cudzie, prostaków poradzić się wolę.
I ja Astronomii słuchałem dwa lata
W Wilnie, gdzie Sapieżyna, mądra i bogata
Pani, obdała dochód z wioski dwiestu chłopów,
Na zakupienie różnych szkieł i teleskopów.
Ksiądz Poczobut człek sławny był Obserwatorem,

I całéj Akademii naonczas Rektorem,
Przecież w końcu katedrę i teleskop rzucił,
Do klasztoru, do cichéj celi swéj powrócił,
I tam umarł przykładnie. Znam się też s Sniadeckim
Który jest mądrym bardzo człekiem, chociaż świeckim
Owoż Astronomowie, planetę, kometę,
Uważają tak jako mieszczanie karetę;
Wiedzą czyli zajeżdza przed króla stolicę,
Czyli z rogatek miejskich rusza za granicę;
Lecz kto w niéj jechał? po co? co s królem rozmawiał?
Czy król posła s pokojem czy z wojną wyprawiał?
O to ani pytają. Pomnę za mych czasów
Gdy Branecki karetą swą ruszył do Jassów,
I za tą niepoczciwą pociągnął karetą
Ogon Targowiczanów, jak za tą kometą:
Lud prosty choć w publiczne nie mięszał się rady,
Zgadnął zaraz że ogon ów jest wróżbą zdrady.
Słychać że lud dał imie miotły téj komecie,
I powiada że ona milion wymiecie.

A na to rzekł z ukłonem Wojski: Prawda, Jaśnie
Wielmożny Podkomorzy: przypominam właśnie,
Co mnie mówiono niegdyś małemu dziecięciu,
Pamiętam, choć nie miałem wówczas lat dziesięciu,
Kiedy widziałem w domu naszym nieboszczyka

Sapiehę, pancernego znaku Porucznika,
Co potém był nadwornym Marszałkiem królewskim,
Nakoniec umarł wielkim Kanclerzem Litewskim,
Miawszy lat sto i dziesięć. Ten za króla Jana
Trzeciego, był pod Wiedniem w chorągwi Hetmana
Jabłonowskiego, owoż ów Kanclérz powiadał,
Że właśnie kiedy na koń król Jan trzeci siadał,
Gdy Nuncyusz Papieski żegnał go na drogę
A Poseł Austryacki całował mu nogę
Podając strzemię (Poseł zwał się Wilczek Hrabia)
Król krzyknął: Patrzcie co się na niebie wyrabia!
Spojrzą, alić nad głowy suwał się kometa,
Drogą, jaką ciągnęły wojska Mahometa,
S wschodu na zachód; potém i ksiądz Bartochowski,
Składając panegiryk na tryumf krakowski,
Pod godłem **Orientis Fulmen**, prawił wiele
O tym komecie; także czytam o nim w dziele
Pod tytułem **Janina**, gdzie jest opisana
Cała wyprawa króla nieboszczyka Jana,
I wyryta chorągiew wielka Mahometa,
I ów taki jak dziś go widzimy kometa.
— Amen — rzekł na to Sędzia, ja wróżbę Waszeci
Przyjmuję, oby z gwiazdą zjawił się Jan trzeci!
Jest na zachodzie wielki dziś bohater; może
Kometa go przywiedzie do nas; co daj Boże!

Na to rzekł Wojski, głowę pochyliwszy smutnie:
Kometa czasem wojny, czasem wróży kłótnie!
Nie dobrze iż się zjawił tuż nad Soplicowem,
Może nam grozi jakiém nieszczęściem domowém.
Mieliśmy wczoraj dosyć rostérku i zwady,
Tak w czasie polowania, jako i biesiady.
Rejent kłócił się z rana s panem Assessorem,
A Pan Tadeusz wyzwał Hrabiego wieczorem.
Pono spór ten ze skóry niedźwiedziéj pochodził;
I gdyby mnie Dobrodziéj Sędzia nie przeszkodził,
Jabym u stołu obu przeciwników zgodził.
Bo chciałem opowiedzieć wypadek ciekawy,
Podobny do zdarzenia wczorajszéj wyprawy,
Co trafił się najpierwszym strzelcom za mych czasów,
Posłowi Rejtanowi i Księciu Denassów.
Przypadek był takowy —

Jenerał Podolskich
Ziem, przejeżdzał z Wołynia do swoich dóbr Polskich,
Czy też, gdy dobrze pomnę, na sejm do Warszawy,—
Po drodze zwiedzał szlachtę, już to dla zabawy,
Już dla popularności; wstąpił więc do Pana
Tadeusza, dziś świętéj pamięci, Rejtana,
Który był potém naszym Nowogrodzkim posłem,
I w którego ja domu od dzieciństwa wzrosłem.

Owoż Rejtan, na przyjazd księcia Jenerała,
Zaprosił gości — liczna szlachta się zebrała,
Było teatrum; (Książe kochał się w teatrze)
Fajerwerk dawał Kaszyc, który mieszka w Jatrze,
Pan Tyzenhauz tancerzy przysłał, a kapele
Ogiński i Pan Sołtan co mieszka w Zdzieńciele.
Słowem dawano huczne nad spodziw zabawy
W domu, a w lasach wielkie robiono obławy.
Wiadomo zaś Waszmościom jest, że prawie wszyscy.
Ile ich zapamiętać można, Czartoryscy,
Choć idą z Jagiellonów krwi, lecz do myśliwstwa
Nie są bardzo pochopni, pewno nie z leniwstwa,
Lecz z gustów cudzoziemskich; i książe Jenerał
Częściéj do książek, niźli do psiarni zazierał,
I do alkówek damskich, częściéj niż do lasów.

W świcie Księcia, był książe Niemiecki Denassów,
O którym powiadano, że w Libijskiéj ziemi
Goszcząc, polował niegdyś s królmi murzyńskiemi,
I tam tygrysa śpisą w ręcznym boju zwalił,
S czego się bardzo książe ów Denassów chwalił.
U nas zaś polowano na dziki w tę porę;
Rejtan zabił ze sztucca ogromną maciorę,
Z wielkiém niebespieczeństwem, bo z bliska wypalił.
Każdy z nas trafność strzału wydziwiał i chwalił,

Tylko niemiec Denassów obojętnie słuchał
Pochwał takich, i chodząc pod nos sobie dmuchał:
Że trafny strzał dowodzi tylko śmiałe oko,
Biała broń śmiałą rękę; i zaczął szeroko
Znowu gadać, o swojéj Libii i śpisie,
O swych królach murzyńskich i o swym tygrysie.
Markotno to się stało panu Rejtanowi,
Był człek żywy, uderzył po szabli i mówi:
Mości książe! kto patrzy śmiele, walczy śmiele,
Warte dziki tygrysów, a spis karabele —
I zaczynali z niemcem dyskurs nazbyt żwawy.
Szczęściem książe Jenerał przerwał te rosprawy,
Godząc ich po francuzku: co tam gadał niewiem,
Ale ta zgoda był to popioł nad żarzewiem;
Bo Rejtan wziął do serca, okazyi czekał,
I dobrą sztukę spłatać niemcowi przyrzekał;
Téj sztuki ledwie własnym nieprzypłacił zdrowiem,
A spłatał ją nazajutrz, jak to wnet opowiem.

Tu Wojski umilknąwszy, prawą rękę wznosił,
I u Podkomorzego tabakiery prosił;
Długo zażywa, kończyć powieści nieraczy,
Jak gdyby chciał zaostrzyć ciekawość słuchaczy.
Zaczynał wreszcie, kiedy znowu mu przerwano
Powieść taką ciekawą, tak pilnie słuchaną!

Bo do Sędziego nagle ktoś przysłał człowieka,
Donosząc że z niezwłocznym interessem czeka.
Sędzia dając dobranoc, żegnał całe grono:
Natychmiast się po różnych stronach rozpierzchniono,
Ci spać do domu, tamci w stodole na sianie,
Sędzia, szedł podróżnemu dawać posłuchanie.

Inni już śpią — Tadeusz po sieniach się zwija,
Chodząc jako wartownik, około drzwi stryja,
Bo musi w ważnych rzeczach rady jego szukać
Dziś jeszcze nim spać pójdzie; nie śmie do drzwi stukać,
Sędzia drzwi na klucz zamknął, s kimś tajnie rozmawia;
Tadeusz końca czeka, a ucha nadstawia.

Słyszy wewnątrz szlochanie; nie trącając klamek
Ostrożnie dziurką klucza zagląda przez zamek.
Widzi rzecz dziwną! Sędzia i Robak na ziemi
Klęczeli objąwszy się, i łzami rzewnemi
Płakali, Robak ręce Sędziego całował,
Sędzia Księdza za szyję płacząc obejmował,
Wreszcie po ćwierć godzinném przerwaniu rozmowy,
Robak po cichu temi odezwał się słowy:

„Bracie! Bóg wié żem dotąd tajemnic dochował,

Którem z żalu za grzechy w spowiedzi ślubował;
Że Bogu i Ojczyźnie poświęcony cały,
Nie służąc pysze, ziemskiéj nie szukając chwały,
Żyłem dotąd, i chciałem umrzeć Bernardynem,
Nie wydając nazwiska nie tylko przed gminem,
Ale nawet przed tobą, i przed własnym synem!
Wszakże Ksiądz Prowinciał dał mi pozwolenie
In articulo mortis, zrobić objawienie.
Kto wié czy wrócę żywy! kto wié co się stanie
W Dobrzynie! Bracie! wielkie, wielkie zamieszanie!
Francuz jeszcze daleko, nim przeminie zima
Trzeba czekać, a szlachta pono nie dotrzyma.
Możem za nadto czynnie s powstaniem się krzątał!
Pono źle zrozumieli! Klucznik wszystko splątał!
Ten waryat Hrabia! słyszę, pobiegł do Dobrzyna,
Niemogłem go uprzedzić, ważna w tém przyczyna:
Stary Maciek mnie poznał, a jeśli odkryje
Potrzeba będzie oddać pod Scyzoryk szyję.
Nic Klucznika nie wstrzyma! mniejsza o mą głowę,
Lecz tém odkryciem spisku zerwałbym osnowę.

Przecież! dziś tam być muszę! widzieć co się dzieje,
Choćbym zginął: bezemnie szlachta oszaleje!
Bądź zdrów najmilszy bracie! bądź zdrów, śpieszyć
muszę.

Jeśli zginę, ty jeden westchniesz za mą duszę;
W przypadku wojny, tobie cała tajemnica
Wiadoma, kończ com zaczął, pomnij żeś Soplica.

Tu Ksiądz łzy otarł, habit zapiął, kaptur włożył,
I okienicę tylną pocichu otworzył,
Widać było że oknem do ogrodu skakał: —
Sędzia zostawszy jeden, siadł w krześle i płakał.

Chwilę czekał Tadeusz, nim w klamkę zadzwonił;
Otworzono mu, cicho wszedł, nisko się skłonił,
— Stryjaszku Dobrodzieju, rzekł, ledwie dni kilka
Przebawiłem tu, dni te minęły jak chwilka;
Nie miałem czasu s twoim domem się nacieszyć
I s tobą, a odjeżdzać muszę, muszę śpieszyć
Zaraz, dzisiaj Stryjaszku, a jutro najdaléj:
Wszak pamiętacie, żeśmy Hrabiego wyzwali.
Bić się z nim to rzecz moja, posłałem wyzwanie,
W Litwie jest zakazane pojedynkowanie,
Jadę więc na granicę Warszawskiego Księstwa;
Hrabia prawda fanfaron, lecz mu nie brak męstwa,
Na miejsce naznaczone zapewne się stawi,
Rosprawim się; a jeśli Bóg pobłogosławi,
Ukarzę go, a potém za Łososny brzegi
Przepłynę, gdzie mnie bratnie czekają szeregi.

Słyszałem że mi ojciec testamentem kazał,
Służyć w wojsku, a niewiem kto testament zmazał.

— Mój Tadeuszku, rzekł stryj, czy Waszeć kąpany
W gorącéj wodzie, czy też kręcisz jak lis szczwany,
Co indziéj kitą wije, a sam indziéj bieży?
Wyzwaliśmy, zapewne, i bić się należy.
Ale jechać dziś, skądżeś Waszéć tak się zaciął?
Przed pojedynkiem zwyczaj jest posłać przyjacioł,
Układać się, wszak Hrabia może nas przeprosić,
Deprekować; czekaj Waść, czasu jeszcze dosyć.
Chyba inny gies jaki Waści stąd wygania,
To gadaj szczerze, poco takie omawiania.
Jestem twój stryi, choć stary, znam co serce młode,
Byłem ci ojcem (mówiąc gładził go pod brodę)
Już w ucho szepnął o tém mnie mój palec mały,
Że Waszeć masz tu jakieś z damami kabały.
Za katy prędko teraz młodź do dam się bierze.
No Tadeuszku, przyznaj mi się Waść a szczerze.

Jużci, bąknął Tadeusz, prawda, są przyczyny
Inne, kochany Stryju! może z mojéj winy!
Omyłka! cóż? nieszczęście! już trudno naprawić!
Nie, drogi stryju, dłużéj niemogę tu bawić.
Błąd młodości! Stryjaszku, nie pytaj o więcéj,
Ja muszę s Soplicowa wyjeżdzać co prędzéj.

Ho! rzekł Stryj, pewnie jakieś miłośne zatargi!
Uważałem że Waszeć wczoraj gryzłeś wargi,
Poglądając spode łba na pewną dziewczynkę,
Widziałem, że i ona miała kwaśną minkę.
Znam ja te wszystkie głupstwa, kiedy dzieci para
Kocha się, to tam u nich nieszczęść co niemiara!
To cieszą się, to znowu trapią się i smucą;
To znowu Bóg wié o co do zębów się skłócą;
To stojąc w kątkach jakby mruki, niegadają
Do siebie, czasem nawet w pole uciekają.
Jeżeli na was raptus podobny napada,
Bądźcie tylko cierpliwi, iuż jest na to rada;
Biorę na siebie wkrótce przywieść was do zgody.
Znam ja te wszystkie głupstwa, wszakże byłem młody.
Powiedz mi Wasze wszystko; ja może nawzajem
Coś odkryję, i tak się oba poprzyznajem.

— Stryjaszku, rzekł Tadeusz (całując mu rękę
I rumieniąc się) powiem prawdę; tę panienkę,
Zosię, wychowanicę stryja, podobałem
Bardzo, choć tylko parę razy ją widziałem;
A mówią że stryj dla mnie za żonę przeznacza
Podkomorzankę, piękną, i córkę bogacza.
Teraz niemogłbym s Panną Różą się ożenić,
Kiedy kocham tę Zosię; trudno serce zmienić!

Nieuczciwie, żeniąc się z jedną kochać drugą,
Czas może mnie uleczy; wyjadę — na długo.

— Tadeuszku! stryj przerwał; to mi dziwny sposób
Kochania się — uciekać od kochanych osób,
Dobrze żeś szczery; widzisz, głupstwo byś wypłatał
Odjeżdzając: a co Waść powiesz, gdybym swatał
Sam Waci Zosię? He? cóż nie skoczysz z radości?

— Tadeusz rzekł po chwili: dobroć Jegomości
Dziwi mnie! lecz cóż? łaska stryja Dobrodzieja
Nie przyda się już na nic! Ach! próżna nadzieja!
Bo Pani Telimena! nieodda mi Zosi!
— Będziem prosić, rzekł Sędzia —

Nikt jéj nie uprosi,
Przerwał prędko Tadeusz — nie, czekać niemogę,
Stryjaszku, muszę prędko, jutro jechać w drogę,
Daj mi Stryjaszku tylko twe błogosławieństwo,
Wszystko przygotowałem, jadę zaraz w Księstwo.

Sędzia wąs kręcąc, z gniewem na chłopca spozierał;
— To Waść tak szczery? takeś mi serce otwierał?
Naprzód ów pojedynek! potém znowu miłość
I ten wyjazd, oj jest tu w tém jakaś zawiłość.

Już mnie gadano, jużem kroki Waści badał!
Asan bałamut i trzpiot, Asan kłamstwa gadał.
A gdzież to Asan chodził onegdaj wieczorem,
Czego Asan jak wyżeł tropił pode dworem?
O Tadeuszku! jeśli może Asan Zosię
Zbałamucił i teraz uciekasz? młokosie,
To się Waci nie uda; lubisz czy nie lubisz,
Zapowiadam Asanu że Zosię poślubisz.
A nie, to bizun — jutro staniesz na kobiercu.
I gada mnie o czuciach! o niezmiennem sercu!
Łgarz jesteś! pfe! ja z Waści Panie Tadeuszu,
Zrobię śledztwo, ja Waści jeszcze natrę uszu!
Dziś dość miałem kłopotów! aż mi głowa boli!
Ten mi jeszcze spokojnie zasnąć nie dozwoli!
Idź mi Waść spać. — To mówiąc drzwi na wściąż
otwierał
I zawołał Woźnego żeby go rozbierał.

Tadeusz cicho wyszedł opuściwszy głowę,
Rozbierał w myśli przykrą ze stryjem rozmowę,
Piérwszy raz połajany tak ostro! ocenił
Słuszność wyrzutów, sam się przed sobą rumienił.
Co począć? jeśli Zosia o wszystkiém się dowie?
Prosić o rękę? a cóż Telimena powie?
Nie — czuł że nie mógł dłużéj zostać w Soplicowie.

Tak zadumany ledwie zrobił kroków parę,
Gdy mu cóś drogę zaszło; spojrzał, widzi marę
Całą w bieliźnie, długą, wysmukłą, i cienką,
Suwała się ku niemu z wyciągniętą ręką,
Od któréj odbijał się drżący blask miesięczny,
I przystąpiwszy, cicho jęknęła: Niewdzięczny!
Szukałeś wzrokn mego, teraz go unikasz,
Szukałeś rozmów zemną dziś uszy zamykasz,
Jakby w słowach, we wzroku mym, była trucizna!
Dobrze mi tak, wiedziałam kto jesteś! — męszczyzna!
Nie znając kokieteryi niechciałam cię dręczyć,
Uszczęśliwiłam; takżeś umiał mnie zawdzięczyć!
Tryumf nad miękkiém sercem, serce twe zatwardził,
Żeś je zdobył zbyt łacno, zbyt prędkoś niém wzgardził!
Dobrze mi tak! lecz straszną nauczona probą,
Wierz mi, iż więcéj niż ty gardzę sama sobą!

— Telimeno, Tadeusz rzekł, dalbóg nietwarde
Mam serce, ani ciebie unikam przez wzgardę,
Ale uważno sama, wszak nas widzą, śledzą,
Czyż można tak otwarcie? cóż ludzie powiedzą.
Wszak to nieprzyzwoicie, to dalbóg jest grzechem.
— Grzechem! odpowiedziała mu z gorzkim uśmiechem,
Niewiniątko! baranek! Ja będąc kobiétą,

Jeśli z miłości niedbam choćby mnie odkryto,
Choćby mnie osławiono; a ty! ty męszczyzna?
Cóż szkodzi z was któremu, chociaż się i przyzna
Że ma romans, z dziesięciu razem kochankami?
Mów prawdę, chcesz mnie rzucić — Zalała się łzami.
— Telimeno, cóżby świat mówił o człowieku,
Rzekł Tadeusz, któryby teraz, w moim wieku,
Zdrów, żył na wsi, kochał się — kiedy tyle młodzi,
Tylu żonatych od żon od dzieci uchodzi
Za granicę, pod znaki narodowe bieży?
Choćbym chciał zostać, czy to odemnie zależy?
Ojciec mnie testamentem kazał, abym służył
W wojsku Polskiém, teraz stryj ten rozkaz powtórzył:
Jutro jadę, zrobiłem już postanowienie,
I dalbóg Telimeno już go nie odmienię.
— Ja, rzekła Telimena, niechcę ci zagradzać
Drogi do sławy, szczęściu twojemu przeszkadzać!
Jesteś męszczyzną, znajdziesz kochankę godniejszą
Serca twojego, znajdziesz bogatszą, piękniejszą!
Tylko dla méj pociechy, niech wiem przed rozstaniem,
Że twoja skłonność była prawdziwém kochaniem,
Że to niebył żart tylko, nie rospusta płocha,
Lecz miłość; niech wiem, że mnie mój Tadeusz kocha!
Niech słowo „kocham“ jeszcze raz z ust twych
usłyszę,

Niech je w sercu wyryję, i w myśli zapiszę;
Przebaczę łacniéj, chociaż przestaniesz mnie kochać,
Pomnąc jakeś mnie kochał! — I zaczęła szlochać. —

Tadeusz widząc że tak płacze i tak błaga
Czule, i tylko takiéj drobnostki wymaga,
Wzruszył się, przejęły go szczery żal i litość,
I jeżeliby badał serca swego skrytość,
Możeby się w téj chwili i sam niedowiedział
Czyli ją kochał, czy nie — Więc żywo powiedział:
Telimeno, bogdaj mnie jasny piorun ubił,
Jeśli nieprawda żem cię dalbóg bardzo lubił,
Czy kochał; krótkie s sobą spędziliśmy chwile,
Ale one mnie przeszły tak słodko, tak mile,
Że będą długo, zawsze myśli méj przytomne,
I dalibógże nigdy ciebie nie zapomnę.

Telimena skoczywszy padła mu na szyję,
— Tegom się spodziewała, kochasz mnie, więc żyję!
Bo dzisiaj miałam dni me własną ręką skrócić;
Gdy mnie kochasz mój drogi, czyż możesz mnie
rzucić?
Tobie oddałam serce, oddam ci majątek,
Pójdę za tobą wszędzie; każdy świata kątek
Będzie mnie s tobą miły! z najdzikszéj pustyni
Miłość, wierzaj mi, ogród roskoszy uczyni. —

Tadeusz wydarłszy się z objęcia przemocą,
Jakto? rzekł, czyś z rozumu obrana? gdzie? poco?
Jechać za mną? Ja będąc sam prostym żołnierzem,
Włóczyć, czy markietankę? — To my się pobierzem,
Rzekła mu Telimena — Nie, nigdy, zawoła
Tadeusz, ja żenić się niemam teraz zgoła
Zamiaru, ni kochać się — fraszki! dajmy pokój!
Proszę cię moja droga, rozmyśl się! uspokój!
Ja jestem tobie wdzięczen, ale nie podobna
Żenić się, kochajmy się, ale tak — z osobna.
Zostać dłużéj nie mogę, nie, nie, jechać muszę,
Bądź zdrowa Telimeno moja, jutro ruszę.

Rzekł, nasuwał kapelusz, odwracał się bokiem
Chcąc iść; lecz go wstrzymała Telimena okiem
I twarzą, jak Meduzy głową; musiał zostać
Mimowolnie; poglądał s trwogą na jéj postać,
Stała blada, bez ruchu, bez tchu i bez życia!
Aż wyciągając rękę jak miecz do przebicia,
S palcem zmierzonym prosto w Tadeusza oczy,
— Tego chciałam, krzyknęła, ha języku smoczy!
Serce jaszczurcze! to nic, żem tobą zajęta
Wzgardziła Assesora, Hrabię i Rejenta,
Żeś mnie uwiódł i teraz porzucił sierotę,
To nic! jesteś męszczyzną, znam waszą niecnotę,

Wiém że jak inni tak ty mógłbyś wiarę złamać,
Lecz nie wiedziałam, że tak podle umiesz kłamać!
Słuchałam pode drzwiami stryja! więc to dziecko?
Zosia? wpadła ci w oko? i na nią zdradziecko
Dybiesz! Zaledwieś jedną nieszczęsną oszukał,
A jużeś pod jéj okiem nowych ofiar szukał!
Uciekaj, lecz cię moje dosięgną przekleństwa —
Lub zostań, wydam światu twoje bezeceństwa,
Twe sztuki! już nie zwiodą innych jak mnie zwiodły!
Precz! gardzę tobą! jesteś kłamca, człowiek podły! —

Na obelgę śmiertelną dla uszu szlachcica,
I któréj żaden nigdy nie słyszał Soplica,
Zadrżał Tadeusz, twarz mu pobladła jak trupia,
Tupnąwszy nogą, usta przyciąwszy, rzekł: — głupia!

Odszedł; lecz wyraz „podłość“ echem się powtórzył
W sercu, wzdrygnął się młodzian, czuł że nań zasłużył,
Czuł że wyrządził wielką krzywdę Telimenie,
Że go słusznie skarżyła, mówiło sumnienie,
Lecz czuł że po tych skargach tém mocniéj ją zbrzydził;
O Zosi, ach! pomyślić nie ważył się, wstydził.
Przecież ta Zosia, taka piękna, taka miła!
Stryj swatał ją! możeby jego żoną była!

Gdyby nie szatan co go plącząc w grzech za grzechem,
W kłamstwo za kłamstwem, wreszcie odstąpił z uśmiechem.
Złajany, pogardzony od wszystkich! w dni parę
Zmarnował przyszłość! uczuł słuszną zbrodni karę.

W téj burzy uczuć jakby kotwica spoczynku
Zabłysnęła mu nagle myśl o pojedynku;
Zamordować Hrabiego! łotra! krzyknął w gniewie,
Zginąć, albo zemścić się! a za co? sam nie wie!
I ten gniew wielki, jak się zajął, w mgnieniu oka,
Tak wywietrzał; znów zdjęła go żałość głęboka.
Myślił: jeśli prawdziwe było postrzeżenie,
Że Hrabia z Zosią jakieś miał porozumienie,
I cóż stąd? może Hrabia kocha Zosię szczerze,
Może go ona kocha? za męża wybierze!
Jakiémże prawem chciałbym zerwać to zamęście,
I sam nieszczęśnik, wszystkich mam zaburzać szczęście?

Wpadł w rospacz i niewidział innego sposobu
Chyba ucieczkę prędką; gdzie? chyba do grobu!

Więc kułak przycisnąwszy na schyloném czole,
Biegł ku łąkom gdzie stawy błyszczały się w dole,

I stanął nad błonistym; w zielonawe tonie
Łakomy wzrok utopił, i błotniste wonie
Z roskoszą ciągnął piersią, i otworzył usta
Ku nim; bo samobójstwo jak każda rospusta
Jest wymyślną; on w głowy szalonym zawrocie,
Czuł niewymowny pociąg utopić się w błocie.

Lecz Telimena z dzikiéj młodzieńca postawy
Zgadując rospacz, widząc że pobiegł nad stawy,
Chociaż ku niemu takim słusznym gniewem pała.
Przelękła się; w istocie dobre serce miała.
Żal jéj było że inną śmiał Tadeusz lubić.
Chciała go skarać, ale nie myśliła zgubić;
Więc puściła się za nim, wznosząc ręce obie,
Krzycząc: stój! głupstwo! kochaj czy nie! żeń się sobie!
Czy jedź! tylko stój! — Ale on już szybkim biegiem
Wyprzedził ją daleko; już — stanął nad brzegiem!

Dziwném zrządzeniem losów, po tym samym brzegu
Jechał Hrabia, na czele dżokejów szeregu,
A zachwycony wdziękiem nocy tak pogodnéj
I harmonią cudną orkiestry podwodnéj,
Owych chorów co brzmiały jak arfy Eolskie,
(Żadne żaby nie grają tak pięknie jak Polskie)

Wstrzymał konia i o swéj zapomniał wyprawie,
Zwrócił ucho do stawu i słuchał ciekawie.
Oczy wodził po polach, po niebios obszarze:
Pewnie układał w myśli nocne peizaże.

Zaiste, okolica była malownicza!
Dwa stawy pochyliły ku sobie oblicza
Jako para kochanków; prawy staw miał wody
Gładkie i czyste jako dziewicze jagody.
Lewy ciemnieszy nieco, jako twarz młodziana
Smagława, i już męskim puchem osypana.
Prawy złocistym piaskiem połyskał się w koło
Jak gdyby włosem jasnym; a lewego czoło
Najeżone łozami, wierzbami czubate;
Oba stawy ubrane w zieloności szatę.

Z nich dwa strugi jak ręce związane pospołu
Sciskają się; strug daléj upada do dołu;
Upada lecz nie ginie, bo w rowu ciemnotę
Unosi na swych falach księżyca pozłotę;
Woda warstami spada, a na każdéj warście
Połyskają się blasku miesięcznego garście,
Swiatło w rowie na drobne drzazgi się rostrąca,
Chwyta je i w głąb niesie toń uciekająca,
A z góry znów garściami spada blask miesiąca.

Myślałbyś że u stawu siedzi Switezianka,
Jedną ręką zdrój leje z bezdennego dzbanka,
A drugą ręką w wodę dla zabawki miota
Brane s fartuszka garście zaklętego złota.

Daléj, z rowu wybiegłszy strumień, na równinie
Roskręca się ucisza, lecz widać że płynie,
Bo na jego ruchoméj drgającéj powłoce
Wzdłuż miesięczne światełko drgające migoce.
Jako piękny wąż żmudzki zwany giwojtosem
Chociaż zdaje się drzemać, leżąc między wrzosem,
Pełźnie, bo na przemiany srebrzy się i złoci,
Aż nagle zniknie z oczu we mchu lub paproci:
Tak strumień kręcący się chował się w olszynach,
Które na widnokręgu czerniały kończynach,
Wznosząc swe kształty lekkie niewyraźne oku,
Jak duchy nawpół widne, napoły w obłoku.

Między stawami w rowie młyn ukryty siedzi:
Jako stary opiekun co kochanków śledzi,
Podsłuchał ich rozmowę, gniewa się, szamoce,
Trzęsie głową, rękami, i groźby bełkoce;
Tak ów młyn nagle zatrząsł mchem obrosłe czoło,
I palczastą swą pięścią wykręcając w koło
Ledwo kleknął i szczęki zębowate ruszył,

Zaraz miłośną stawów rozmowę zagłuszył,
I zbudził Hrabię.

Hrabia widząc że tak blisko
Tadeusz naszedł jego zbrojne stanowisko,
Krzyczy: do broni! łapaj! skoczyli dżokeje;
Nim Tadeusz rozeznać mógł co się z nim dzieje,
Już go chwycili; biegą do dworu, w podwórze
Wpadają; dwór budzi się, psy w hałas, w krzyk stróże,
Wyskoczył wpół ubrany Sędzia; widzi zgraję
Zbrojną, myśli że zbójcy, aż Hrabię poznaje.
— Co to jest? pyta. Hrabia szpadą nad nim mignął,
Lecz widząc bezbronnego w zapale ostygnął,
— Soplico, rzekł, odwieczny wrogu méj rodziny,
Dziś skarzę cię za dawne i za świeże winy,
Dziś zdasz mi sprawę z mojéj fortuny zaboru,
Nim pomszczę się obelgi mojego honoru!

Lecz Sędzia żegnając się krzyknął: w Imie Ojca
I Syna! tfu! Mospanie Hrabia czy Waść zbójca?
Przebóg! czy to się zgadza s Pana urodzeniem,
Wychowaniem i s Pana na świecie znaczeniem?
Nie pozwolę skrzywdzić się! — W tém Sędziego słudzy
Biegli, jedni s kijami, ze strzelbami drudzy,
Wojski stojąc zdaleka, poglądał ciekawie
W oczy Panu Hrabiemu, a nóż miał w rękawie.

Już mieli zacząć bitwę, lecz Sędzia przeszkodził;
Próżno było bronić się, nowy wróg nadchodził;
Postrzeżono w olszynie blask, wystrzał rusznicy!
Most na rzece zahuczał tententem konnicy,
I „hajże na Soplicę!“ tysiąc głosów wrzasło:
Wzdrygnął się Sędzia, poznał Gerwazego hasło;
Nic to, zawołał Hrabia, będzie tu nas więcéj,
Poddaj się Sędzio, to są moi sprzymierzeńcy.

W tém Assesor nadbiegał krzycząc: areszt kładę
W Imie Imperatorskiéj Mości; oddaj szpadę
Panie Hrabio, bo wezwę wojskowéj pomocy,
A wiesz Pan że kto zbrojnie śmie napadać w nocy,
Zastrzeżono tysiącznym dwóchsetnym ukazem
Że jak zło... W tém go Hrabia w twarz uderzył płazem.
Padł zgłuszony Assesor i skrył się w pokrzywy,
Wszyscy myśleli że był ranny lub nieżywy.

— Widzę, rzekł Sędzia, że się na rozbój zanosi;
Jęknęli wszyscy; wszystkich zagłuszył wrzask Zosi,
Która krzyczała Sędzię objąwszy rękami,
Jako dziecko od żydów kłóte igiełkami.

Tymczasem Telimena wpadła między konie,

Wyciągnęła ku Hrabi załamane dłonie,
„Na twój honor, krzyknęła przeraźliwym głosem,
Z głową w tył wychyloną, z rospuszczonym włosem,
Przez wszystko co jest świętém, na klęczkach bła-
gamy!
Hrabio, śmieszże odmówić? proszą ciebie damy,
Okrutniku, nas pierwéj musisz zamordować!
— Padła zemdloną, — Hrabia skoczył ją ratować,
Zadziwiony i nieco zmieszany tą sceną,
— Panno Zofio, rzecze, Pani Telimeno!
Nigdy się krwią bezbronnych ta szpada nie splami;
Soplicowie! jesteście mojemi więźniami.
Tak zrobiłem we Włoszech, kiedy pod opoką
Którą Sycylianie zwą Birbante-rokką,
Zdobyłem tabor zbójców; zbrojnych mordowałem,
Rozbrojonych zabrałem i związać kazałem:
Szli za końmi i tryumf mój zdobili świetny,
Potém ich powieszono u podnóża Etny. —

Było to osobliwsze szczęście dla Sopliców
Że Hrabia, mając lepsze konie od szlachciców,
I chcąc spotkać się pierwszy zostawił ich w tyle,
I biegł przed resztą jazdy, przynajmniéj o milę,
Ze swém dżokejstwem, które posłuszne i karne
Stanowiło niejako wojsko regularne;

Gdy inna szlachta była zwyczajem powstania
Burzliwa i nieźmiernie skora do wieszania.

Hrabia miał czas ostygnąć z zapału i gniewu,
Przemyślał jakby skończyć bój kez krwi rozlewu;
Więc rodzinę Sopliców w domu zamknąć każe,
Jako więźniów wojennych; u drzwi stawi straże.

W tém „hajże na Sopliców“ wpada szlachta hurmem,
Obstępuje dwór w koło, i bierze go szturmem,
Tem łacniéj, że wódz wzięty i pierzchła załoga;
Lecz zdobywcy chcą bić się, wyszukują wroga.
Do domu niewpuszczeni, biegą do folwarku,
Do kuchni — gdy do kuchni weszli, widok garków,
Ogień ledwie zagasły, potraw zapach świeży,
Chrupanie psów gryzących ostatki wieczerzy,
Chwyta wszystkich za serca, myśl wszystkich odmienia,
Studzi gniewy, zapala potrzebę jedzenia.
Marszem i całodziennym znużeni sejmikiem,
„Jeść! jeść!“ — po trzykroć zgodnym wezwali okrzykiem,
Odpowiedziano „pić, pić“; między szlachty zgrają
Stają dwa chory, ci pić, a ci jeść wołają,
Odgłos leci echami, gdzie tylko dochodzi,

Wzbudza oskomę w ustach, głód w żołądkach rodzi.
I tak na dane s kuchni hasło, niespodzianie
Rozeszła się armiia na furażowanie.

Gerwazy od pokojów Sędziego odparty,
Ustąpić musiał przez wzgląd dla Hrabiowskiéj warty.
Więc niemogąc zemścić się na nieprzyjacielu,
Myślił o drugim wielkim téj wyprawy celu.
Jako człek doświadczony i biegły w prawnictwie,
Chce Hrabiego osadzić na nowém dziedzictwie
Legalnie i formalnie; więc za Woźnym biega,
Aż go po długich śledztwach za piecem dostrzega,
Wnet porywa za kołnierz, na dziedziniec wlecze,
I zmierzywszy mu w piersi scyzoryk, tak rzecze:
Panie Woźny, Pan Hrabia śmie Wacpana prosić,
Abyś raczył przed szlachtą bracią wnet ogłosić
Intromissyą Hrabi do zamku, do dworu
Sopliców, do wsi, gruntów zasianych, ugoru,
Słowem cum gais, boris et graniciebus,
Kmetonibus, scultetis, et omnibus rebus
Et quibusdam aliis. Jak tam wiesz tak szczekaj,
Nic nie opuszczaj. — Panie Kluczniku, zaczekaj,
Rzekł śmiało, ręce za pas włożywszy Protazy,
Gotów jestem wypełniać wszelkie stron roskazy,
Ale ostrzegam że akt nie będzie miał mocy,

Wymuszony przez gwałty, ogłoszony w nocy.
— Co za gwałty, rzekł Klucznik, tu niema napaści,
Wszak proszę Pana grzecznie; jeśli ciemno Waści,
To scyzorykiem skrzesam ognia, że Waszeci
Zaraz w ślepiach, jak w siedmiu kościołach zaświeci.

— Gerwazeńku, rzekł Woźny, po co się tak dąsać?
Jestem Woźny, nie moja rzecz sprawę rostrząsać,
Wszak wiadomo że strona Woźnego zaprasza
I dyktuje mu co chce, a Woźny ogłasza.
Woźny jest posłem prawa, a posłów niekarzą,
Niewiem tedy za co mnie trzymacie pod strażą;
Wnet akt spiszę, niech mi kto latarkę przyniesie,
A tym czasem ogłaszam: Bracia uciszcie się!

I by donośniéj mówić, wstąpił na stos wielki
Belek (pod płotem sadu suszyły się belki)
Wlazł na nie, i zarazem jakby go wiatr zdmuchnął,
Zniknął z oczu; słyszano jak w kapustę buchnął;
Widziano, po konopiach ciemnych jego biała
Konfederatka, niby gołąb przeleciała.
Konewka strzelił w czapkę, ale chybił celu,
W tém zatrzeszczały tyki, już Protazy w chmielu,
„Protestuję“ zawołał; pewny był ucieczki,
Bo za sobą miał łozę i bagniska rzeczki.

Po téj protestacyi, która się ozwała
Jak na zdobytych wałach ostatni strzał działa,
Ustał już wszelki opor w Soplicowskim dworze;
Szlachta głodna plądruje, zabiera co może.
Kropiciel stanowisko zająwszy w oborze,
Jednego wołu i dwa cielce w łby zakropił,
A Brzytewka im szable w gardzielach utopił.
Szydełko równie czynnie używał swéj szpadki,
Kabany i prosięta koląc pod łopatki.
Już rzeź zagraża ptastwu, — czujne gęsi stado
Co niegdyś ocaliło Rzym przed Gallów zdradą,
Darmo gęga o pomoc; zamiast Manliusza,
Wpada w kotuch Konewka, jedne ptaki zdusza,
A drugie żywcem wiąże do pasa kontusza.
Próżno gęsi szyjami wywijając chrypią,
Próżno gęsiory sycząc napastnika szczypią.
On bieży; osypany iskrzącym się puchem,
Unoszony jak kółmi gęstych skrzydeł ruchem,
Zdaje się być Chochlikiem, skrzydlatym złym duchem.

Ale rzeź najstraszniejsza, chociaż najmniéj krzyku,
Między kurami. Młody Sak wpadł do kurniku,
I z drabinek, stryczkami łowiąc, ciągnie z góry
Kogutki i szurpate i czubate kury,
Jedne po drugich dusi i składa do kupy,

Ptastwo piękne, karmione perłowemi krupy.
Niebaczny Saku, jakiż zapał cię unosi!
Nigdy już odtąd gniewnéj nie przebłagasz Zosi.

Gerwazy przypomina starodawne czasy,
Każe sobie podawać od kontuszów pasy,
I niemi s Soplicowskiéj piwnicy dobywa
Beczki staréj siwuchy, dębniaku i piwa.
Jedne wnet odgwożdzono, a drugie ochoczo
Szlachta gęsta jak mrowie, porywają, toczą
Do zamku; tam na nocleg cały tłum się zbiera
Tam założona główna Hrabiego kwatera.

Nakładają sto ognisk, warzą, skwarzą, pieką,
Gną się stoły pod mięsem, trunek płynie rzeką;
Chce szlachta noc tę przepić, przejeść i prześpiewać.—
Lecz powoli zaczęli drzémać i poziewać,
Oko gaśnie za okiem, i cała gromada
Kiwa głowami, każdy gdzie siedział tam pada,
Ten z misą, ten nad kuflem, ten przy wołu ćwierci.
Tak Zwycięzców, zwyciężył w końcu sen, brat śmierci.

Księga dziewiąta.

BITWA.

TREŚĆ.

O niebespieczeństwach wynikających z nieporządnego obozowania — Odsiecz niespodziana — Smutne położenie szlachty — Odwiedziny Kwestarskie są wróżbą ratunku — Major Płut zbytnią zalotnością ściąga na siebie burzę — Wystrzał s krócicy, hasło boju — Czyny Kropiciela, czyny i niebespieczeństwa Maćka — Konewka zasadzką ocala Soplicowo — Posiłki jezdne, attak na piechotę — Czyny Tadeusza — Pojedynek dowódców przerwany zdradą — Wojski stanowczym manewrem przechyla szalę boju — Czyny krwawe Gerwazego — Podkomorzy zwycięzca wspaniałomyślny.

A chrapali tak twardym snem, że ich nie budzi
Blask latarek i wniście kilkudziesiąt ludzi,
Którzy wpadli na szlachtę, jak pająki ścienne
Nazwane **kosarzami** na muchy wpółsenne;
Zaledwie która bzyknie, już długiemi nogi

Obejmuje ją w koło i dusi mistrz srogi.
Sen szlachecki był jeszcze twardszy niż sen muszy,
Żaden nie bzyka, leżą wszyscy jak bez duszy;
Chociaż byli chwytani silnemi rękoma
I przewracani jako na przewiąsłach słoma.

Tylko jeden Konewka, któremu w powiecie
Nie znajdziesz równie mocnéj głowy przy bankiecie,
Konewka co mógł wypić lipcu dwa antały,
Nim mu splątał się język i nogi zachwiały,
Ten choć długo ucztował i usnął głęboko,
Dawał przecie znak życia; przemknął jedno oko,
I widzi! istne zmory! dwie okropne twarze
Tuż nad sobą, a każda ma wąsów po parze,
Dyszą nad nim, ust jego tykają wąsami,
I czworgiem rąk w około wiją jak skrzydłami;
Zląkł się, chciał przeżegnać się, darmo rękę chwyta,
Ręka prawa jak gdyby do boku przybita;
Ruszył lewą, niestety! czuje że go duchy
Spowiły ciasno jako niemowlę w pieluchy;
Zląkł się jeszcze okropniéj, wnet oko zawiera,
Leży nie dysząc, stygnie, ledwie nie umiera.

Lecz Kropiciel zerwał się bronić się, po czasie!
Bo już był skrępowany we swym własnym pasie;

Przecież zwinął się, i tak sprężyście podskoczył,
Że padł na piersi sennych, po głowach się toczył,
Miotał się jako szczupak gdy się w piasku rzuca,
A ryczał jako niedźwiedź, bo miał silne płuca.
Ryczał: zdrada! — Wnet cała zbudzona gromada
Chorem odpowiedziała: zdrada! gwałtu! zdrada!

Krzyk dochodzi echami zwierciadlanéj sali,
Kędy Hrabia, Gerwazy i dżokeje spali;
Przebudza się Gerwazy, darmo się wydziera
Związany w kij do swego własnego rapiera:
Patrzy, widzi przy oknie ludzi uzbrojonych,
W czarnych krótkich kaszkietach, w mundurach zielonych,
Jeden z nich opasany szarfą, trzymał szpadę
I ostrzem jéj kierował swych drabów gromadę
Szepcąc: wiąż! wiąż! Do koła leżą jak barany
Dżokeje w pętach, Hrabia siedzi nie związany
Lecz bezbronny, przy nim dwaj z gołemi bagnety
Stoją drabi — poznał ich Gerwazy, niestety!
Moskale!!!

Nie raz Klucznik był w podobnych trwogach,
Nie raz miewał powrozy na ręku i nogach,
A przecież się uwalniał, wiedział o sposobie

Rwania więzów, był silny bardzo, ufał sobie.
Przemyślał ratować się milczkiem; oczy zmrużył,
Niby śpi, zwolna ręce i nogi przedłużył,
Dech wciągnął, brzuch i piersi ścisnął co najwężéj;
Aż jednym razem kurczy, wydyma się, pręży,
Jak wąż głowę i ogon gdy chowa w przeguby,
Tak Gerwazy z długiego stał się krótki gruby;
Rosciągnęły się, nawet skrzypnęły powrozy,
Ale nie pękły! Klucznik ze wstydu i zgrozy
Przewrócił się i w ziemię schowawszy twarz gniewną
Zamknąwszy oczy leżał nieczuły jak drewno.

Wtém ozwały się bębny, naprzód zrzadka, potém
Coraz gęstszym i coraz głośnieszym łoskotem;
Na ten appel, rozkazał officer Moskali,
Dżokejów z Hrabią zamknąć pod strażą na sali,
Szlachtę wieść na dwór, kędy stała druga rota.
Nadaremnie Kropiciel dąsa się i miota.

Sztab stał we dworze, a z nim zbrojnéj szlachty wiele,
Podhajscy, Birbaszowie, Hreczechy, Biergele,
Wszyscy Sędziego krewni albo przyjaciele.
Na odsiecz mu przybiegli słysząc o napadzie,
Zwłaszcza że z Dobrzyńskimi byli z dawna w zwadzie.

Kto z wiosek batalion Moskalów sprowadził?
Kto tak prędko sąsiedztwo z zaścianków zgromadził?
Assessor-li, czy Jankiel? różnie słychać o tém,
Lecz nikt pewnie niewiedział ni wtenczas ni potém.

Już też i słońce wschodzi, krwawo się czerwieni,
Brzegiem tępym jak gdyby odartym s promieni
Na wpół widne, napoły w czerni chmur się chowa,
Jak rozżarzona w węglach kowalskich podkowa.
Wiatr wzmagał się i pędził obłoki ze wschodu
Gęste i poszarpane jako bryły lodu;
Każdy obłok w przelocie deszczem zimnym pruszy,
S tyłu za nim wiatr leci i deszcz znowu suszy,
Za wiatrem znowu obłok nadbiega wilgotny:
I tak dzień naprzemiany był chłodny i słotny.

Tymczasem Major belki schnące pode dworem
Każe wlec, w każdéj belce wysiekać toporem
Półokrągłe otwory, w te otwory wtyka
Nogi więźniów, i drugą belką je zamyka.
Oba drewna goździami przebite po rogach
Scisnęły się, jako psie paszczęki, na nogach.
Zaś powrozami mocniéj sznurowano ręce
Na plecach szlachty; Major ku większéj ich męce
Kazał pierwéj poździerać z głów konfederatki,

S pleców płaszcze, kontusze, nawet taratatki,
Nawet żupany. I tak szlachta skuta w kłodzie
Siedziała rzędem; dzwoniąc zębami na chłodzie
I na deszczu, bo coraz wzmagała się słota.
Nadaremnie Kropiciel dąsa się i miota.

Darmo Sędzia za szlachtą instancyę wnosi,
I Telimena łączy prożby do łez Zosi,
Ażeby miano większy wzgląd na niewolników.
Wprawdzie officer rotny Pan Nikita Rykow,
Moskal, lecz dobry człowiek, dał się udobruchać,
Cóż kiedy sam Majora Płuta musiał słuchać.

Ten Major, Polak rodem z miasteszka Dzierowicz,
Nazywał się (jak słychać) po polsku Płutowicz,
Lecz przechrzcił się; łotr wielki, jak się zwykle dzieje
S Polakiem, który w Carskiéj służbie zmoskwicieje.
Płut stał s fajką przed frontem, w boki się podpierał,
I gdy mu kłaniano się, nos w górę zadzierał,
A za odpowiedź na znak gniewnego humoru,
Wypuścił z ust kłąb dymu i poszedł do dworu.

A tymczasem Rykowa Sędzia ułagadza,
I Assessora także na bok odprowadza;
Przemyślają jakby rzecz zakończyć bez sądu,

A co jeszcze ważniejsza bez mieszań się rządu.
Więc do Majora Płuta rzekł kapitan Ryków:

Panie Major! co nam s tych wszystkich niewolników?
Oddamy pod sąd! będzie szlachcie wielka bieda,
A Panu Majorowi nikt za to nic nieda.
Wiész co Major? ot lepiéj tę sprawę zagodzić,
Pan Sędzia Majorowi musi trud nagrodzić,
My powiemy, że my tu przyszli dla wizyty,
A tak i kozy całe i wilk będzie syty.
Przysłowie ruskie: wszystko można lecz ostrożnie,
I to przysłowie: sobie piecz na Carskim rożnie,
I to przysłowie: lepsza zgoda od niezgody;
Zaplątaj dobrze węzeł, końce wsadź do wody.
Raportu nie podamy, tak się nikt niedowie.
Bóg dał ręce żeby brać; to ruskie przysłowie.

Słysząc to Major wstaje i od gniewu parska.
„Czy ty oszalał Ryków? to służba Cesarska,
A służba nie jest drużba, stary głupi Ryków!
Czy ty oszalał? ja mam puszczać buntowników!
W takim wojennym czasie! Ha Pany Polaki
Ja was nauczę buntu! Ha szlachta łajdaki
Dobrzyńscy, oj ja znam was, niech łajdaki mokną!
(I zaśmiał się na całe gardło, patrząc w okno)

Wszakże ten sam Dobrzyński co siedzi w surducie,
Hej zdiąć mu surdut; w roku przeszłym na reducie,
Zaczął ze mną tę kłótnię, kto zaczął? on, nie ja.
On gdy tańczyłem, krzyknął, precz za drzwi złodzieja!
Że wtenczas za pułkowéj okradzenie kassy
Byłem pod śledztwem, miałem wielkie ambarasy,
A jemu co do tego? ja tańczę mazura,
On krzyczy s tyłu: złodziéj! szlachta za nim ura!
Skrzywdzili mnie — a co? wpadł w me szpony szlachiura.
Mówiłem: ej Dobrzyński! ej przyjdzie do woza
Koza — a co? Dobrzyński widzisz! będzie łoza.

Potém Sędziemu szepnął schyliwszy się w ucho;
Jeśli chcesz Sędzio żeby to uszło na sucho,
Za każdą głowę tysiąc rubelków gotówką.
Tysiąc rubelków Sędzio, to ostatnie słówko.

Sędzia chciał targować się; lecz Major nie słuchał,
Znowu biegał po izbie, dymem gęsto buchał,
Podobny do szmermelu albo do rakiety.
Chodziły za nim prosząc i płacząc kobiety.
Majorze, mówił Sędzia, choć pozwiesz do prawa,
Cóż wygrasz, tu nie zaszła żadna bitwa krwawa,
Nie było ran, że zjedli kury i pułgąski,

Za to wedle statutu zapłacą nawiąski;
Ja na Pana Hrabiego nie zanoszę skargi,
To tylko były zwykłe sąsiedzkie zatargi.

— A czy Sędzia, rzekł Major, żółtą księgę czytał?
— Co to za żółta księga, Pan Sędzia zapytał?
— Księga, rzekł Major, lepsza niż wasze statuty,
A w niéj pisze co słowo, stryczek, sybir, knuty;
Księga ustaw wojennych, teraz w Litwie całéj
Ogłoszonych; już pod stół wasze trybunały.
Podług ustaw wojennych, za takową psotę,
Pójdziecie już to najmniéj w sybirną robotę.
— Appeluję, rzekł Sędzia, do Gubernatora,
— Appeluj, rzekł Płut choćby do Imperatora.
Wiesz że gdy Imperator zatwierdza ukazy,
Z łaski swéj, często karę powiększa dwa razy.
Appelujcie, ja może wynajdę w potrzebie,
Mospanie Sędzio, dobry kruczek i na ciebie,
Wszak Jankiel szpieg którego już rząd dawno śledzi,
Jest twoim domownikiem, w karczmie twojéj siedzi.
Mogę teraz was wszystkich wziąść w areszt od razu.
— Mnie, rzekł Sędzia, brać w areszt? jak śmiesz bez roskazu?
I przychodziło coraz do żywszego sporu;
Gdy nowy gość zajechał na dziedziniec dworu.

Wjazd tłumny, dziwny. Przodem niby laufer, bieży
Ogromny czarny baran, a łeb mu się jeży
Czterma rogami, s których dwa jako kabłąki
Kręcą się koło uszu, ubrane we dzwonki;
A dwa od czoła na bok wysuwając końce,
Wstrząsają kulki krągłe, mosiężne, brzęczące.
Za baranem szły woły, trzoda owiec, kozy,
Za bydłem cztery ciężko pakowane wozy.

Wszyscy odgadli że to wjazd księdza Kwestarza.
Więc Pan Sędzia powinność znając gospodarza,
Stał w progu, witać gościa. Ksiądz na pierwszéj bryce
Jechał kapturem na wpół zasłoniwszy lice,
Ale go wnet poznano, bo gdy więźniów minął,
Zwrócił się ku nim twarzą, palcem na znak skinął.
I drugiéj bryki furman, równie był poznany,
Stary Maciek — Rózeczka, za chłopa przebrany;
Szlachta zaczęła krzyczeć skoro się pokazał,
On rzekł: głupi! — i ręką milczenie nakazał.
Na trzecim wozie Prusak w kubraku wytartym,
A Pan Zan z Mickiewiczem jechali na czwartym.

A tymczasem Podhajscy i Jsajewicze,
Birbasze, Wilbikowie, Biergele, Kotwicze,
Widząc szlachtę Dobrzyńskich w téj ciężkiéj niewoli,

Zaczęli z dawnych gniewów ostygać powoli.
Bo szlachta Polska chociaż niezmiernie kłótliwa
I porywcza do bitew, przecież nie jest mściwa.
Biegą więc do Macieja starego po radę.
On koło wozów całą ustawia gromadę,
Każe czekać.

Bernardyn wstąpił do pokoju,
Zaledwie go poznano choć nie zmienił stroju,
Tak przybrał inną postać; zwyczajnie ponury,
Zamyślony, a teraz głowę wzniosł do góry,
I z miną rozjaśnioną jak kwestarz rubacha,
Nim zaczął gadać, długo śmiał się:

— Cha, cha, cha, cha,
Kłaniam, kłaniam! cha, cha, cha, wyśmienicie, przednie!
Panowie officery, kto poluje wednie,
Wy w nocy! dobry połów, widziałem zwierzynę;
Oj skubać, skubać szlachtę, oj drzeć z nich łupinę,
Oj weźcież ich na munsztuk, bo też szlachta bryka!
Winszuję ci Majorze, żeś złowił Hrabika,
To tłuścioszek, to bogacz, panicz z Antenatów,
Nie wypuszczaj go s klatki bez trzystu dukatów;
A jak weźmiesz, na klasztor daj jakie trzy grosze,

I dla mnie, bo ja zawżdy za twą duszę proszę.
Jakem Bernardyn, bardzo myślę o twéj duszy!
Śmierć i sztabs-officerów porywa za uszy!
Dobrze napisał Baka, że śmierć dżga za katy
W szkarłaty, i po suknie nieraz dobrze stuknie,
I po płótnie tak utnie jak i po kapturze,
I po fryzurze równie jak i po mundurze.
Śmierć matula, powiada Baka, jak cybula
Łzy wyciska, gdy ściska, a równie przytula
I dziecko co się lula, i zucha co hula!
Ah! ah! Majorze, dzisiaj żyjem, jutro gnijem,
To tylko nasze, co dziś zjemy i wypijem!
Panie Sędzio wszakże to czas podobno śniadać?
Siadam za stół, i proszę wszystkich ze mną siadać;
Majorze, gdyby zrazów? Panie Poruczniku
Co myślisz? gdyby wazę dobrego ponczyku?

— To prawda Ojcze, rzekli dwaj officerowie,
Czasby już zjeść i wypić Pana Sędzi zdrowie!

Zdziwili się domowi patrząc na Robaka,
Skąd mu się wzięła mina i wesołość taka.
Sędzia wnet kucharzowi powtórzył roskazy,
Wniesiono wazę, cukier, butelki i zrazy.
Płut i Ryków tak czynnie zaczęli się zwijać,

Tak łakomie połykać i gęsto zapijać,
Że wpół godziny zjedli dwadzieścia trzy zrazy
I wychylili ponczu ogromne pół wazy.

Więc Major syt i wesół w krześle się rozwalił,
Dobył fajkę, biletem bankowym zapalił,
I otarłszy śniadanie z ust końcem serwety,
Obrócił śmiejące się oczy na kobiety
I rzekł: ja, piękne panie, lubię was jak wety!
Na me szlify Majorskie, gdy człek zjadł śniadanie,
Najlepszą jest po zrazach zakąską, gadanie
S paniami tak pięknemi jak wy piękne panie!
Wiecie co? grajmy w karty? w welba-ewelba?
w wista?
Albo pójdźmy mazurka? he! do djabłów trzysta!
Wszak ja w jegierskim pułku pierwszy mazurzysta!
Zaczém ku damom bliżéj chylił się wygięty,
I puszczał na przemiany dym i komplementy!

— Tańczyć! zawołał Robak, gdy wychylę flaszę,
To i ja choć ksiądz habit czasami podkaszę
I potańczę mazurka! Ale wiesz Majorze
My tu pijem, a jegry tam zmarzną na dworze?
Hulać to hulać! Sędzio, daj beczkę siwuchy,
Major pozwoli, niechaj piją jegry zuchy!

— Prosiłbym, rzecze Major, lecz w tém niema musu.
— Daj Sędzio, szepnął Robak, beczkę spirytusu.
I tak kiedy we dworze sztab wesoły łyka,
Za domem zaczęła się w wojsku pijatyka.

Rykow kapitan milczkiem kielichy wychylał,
Lecz Major pił i razem damom się przymilał,
A wzmagał się w nim coraz tańcowania zapał,
Rzucił fajkę, i rękę Telimeny złapał,
Chciał tańczyć, lecz uciekła, więc podszedł do Zosi,
Kłaniając się słaniając do mazurka prosi.
„Héj ty Ryków, przestańże tam trąbić na fajce,
Precz fajka, wszak ty dobrze grasz na bałabajce,
Widziszno tam gitarę, pódźno weź gitarę
I mazurka! ja Major idę w pierwszą parę“ —
Kapitan wziął gitarę i strony przykręcał,
Płut znowu Telimenę do tańca zachęcał. —

— Słowo Majorskie panno, nie rossyaninem
Jestem, jeżeli kłamię! chcę być sukinsynem,
Jeżeli kłamię, spytaj, a officerowie
Wszyscy poświadczą, cała armija to powie
Że w téj drugiéj armii, w korpusie dziewiątym,
W drugiéj pieszéj dywizyi, w pułku piędziesiątym
Jegerskim, major Płut jest pierwszy mazurzysta.

Pódźże panienko! nie bądź taka narowista!
Bo ja po officersku ukarzę panięke —

To mówiąc skoczył, chwycił Telimeny rękę
I szerokim całusem w białe ramie klasnął;
Gdy Tadeusz przypadłszy z boku w twarz mu trzasnął.
I całus i policzek ozwały się razem
Jeden za drugim, jako wyraz za wyrazem.

Major osłupiał, oczy przetarł, z gniewu blady
Zawołał: bunt! buntownik! — i dobywszy szpady
Biegł przebić; w tém ksiądz dostał z rękawa krócicę,
Pal Tadeuszku! krzyknął, pal jak w jasną świecę!
Tadeusz wnet pochwycił, wymierzył, wypalił,
Chybił, ale Majora zgłuszył i osmalił.
Porywa się z gitarą Ryków: bunt! bunt! woła,
Wpada na Tadeusza; lecz Wojski z za stoła
Machnął ręką na odlew, nóż w powietrzu świsnął
Między głowy i pierwéj uderzył niż błysnął.
Uderza w dno gitary nawylot ją wierci,
Schylił się na bok Ryków i tak uszedł śmierci,
Lecz strwożył się; krzyknąwszy Jegry! bunt! Jéj bogu!
Dobył szpady, broniąc się zbliżał się do progu.

W tém z drugiéj strony izby wpada szlachty wiele
Przez okna, z rapierami, Rózeczka na czele.

Płut w sieni, Ryków za nim, wołają żołnierzy,
Już trzech najbliższych domu na pomoc im bieży;
Już przeze drzwi włażą trzy błyszczące bagnety,
A za niemi trzy czarne schylone kaszkiety.
Maciek stał u drwi z rózgą wzniesioną do góry,
Lgnąc do ściany, czatował jako kot na szczury,
Aż ciął okropnie; może głowyby trzy zwalił,
Lecz stary czy niedojrzał, czy zbyt się zapalił,
Bo nim szyję wytknęli rąbnął po kaszkietach,
Zdarł je; rózga spadając brzękła po bagnetach —
Moskale cofają się, Maciek ich wygania
Na dziedziniec —

Tam jeszeze więcéj zamieszania.
Tam stronnicy Sopliców pracują w zawody
Nad roskuciem Dobrzyńskich, rozrywają kłody;
Widząc to jegry za broń porywają, biegą;
Szerżant wpadłszy bagnetem przebił Podhajskiego,
Dwóch drugich szlachty zranił, do trzeciego strzela,
Uciekają; było to przy kłodzie Chrzciciela.
Ten już miał ręce wolne, gotowe ku walce;
Wstał podniósł dłoń i zwinął w kłąbek długie palce,
I z góry tak uderzył w grzbiet Rossyanina,
Że twarz jego i skroń wbił w zamek karabina.
Trzasł zamek, lecz zalany krwią proch już nie spalił;

Szerżant u nóg Chrzciciela na swą broń się zwalił.
Chrzciciel schyla się, chwyta karabin za rurę
I wijąc jak kropidłem podnosi go w górę,
Robi młynka, dwóch zaraz szeregowych zwala
Po ramionach, i w głowę ugadza kaprala,
Reszta zlękła od kłody cafa się s przestrachem:
Tak Kropiciel ruchomym nakrył szlachtę dachem.

Zaczém rozbito kłodę, rozcięto powrozy,
Szlachta już wolna wpada na kwestarskie wozy,
Z nich dobywa rapiéry, pałasze, tasaki,
Kosy, strzelby; Konewka znalazł dwa szturmaki
I worek kul; wsypał je do swego szturmaka,
Drugi równie nabiwszy ustąpił dla Saka.

Jegrów więcéj przybywa, mięszają się, tłuką,
Szlachta w zgiełku nie może ciąć krzyżową sztuką,
Jegry nie mogą strzelać, już walczą wręcz, z bliska —
Już stal ząb za ząb o stal porwawszy się pryska,
Bagnet o szablę, kosa o gifes się łamie,
Pięść spotyka się s pięścią i z ramieniem ramie.

Lecz Ryków s częścią Jegrów, pobiegł gdzie stodoła
Tyka płotów; tam staje, na żołnierzy woła
Ażeby zaprzestali bitwę tak bezładną,

Gdzie nie używszy broni pod pięściami padną.
Gniewny że sam nie może dać ognia, bo w tłumie
Moskalów od Polaków rozróżnić nie umie,
Woła: stroj się! (co znaczy formuj się do szyku)
Ale komendy jego nie słychać śród krzyku.

Stary Maciek do ręcznych zapasów nie zdolny,
Rejterował się czyniąc przed sobą plac wolny
Na prawo i na lewo; tu końcem szablicy
Ociera bagnet z rury, jako knot ze świécy;
Tam machnąwszy na odlew ścina albo kole.
I tak ostróżny Maciek ustępuje w pole.

Lecz z największym na niego naciera uporem
Stary Gifreiter, co był pułku instruktorem,
Wielki mistrz na bagnety; zebrał się sam w sobie,
Skurczył się, a karabin porwał w ręce obie,
Prawą u zamka, lewą w pół rury porywa,
Kręci się, podskakuje, czasem przysiadywa,
Lewą rękę opuszcza, a broń s prawéj ręki
Suwa naprzód, jak żądło z wężowej paszczęki,
I znowu ją w tył cofa, na kolanie wspiera,
I tak kręcąc się, skacząc, na Maćka naciera.

Ocenił przeciwnika zręczność Maciek stary,
I lewą ręką włożył na nos okulary,

Prawą, rękojeść rózgi tuż przy piersiach trzyma,
Cofa się, Gefrejtera ruch śledząc oczyma,
Sam słania się na nogach, jakoby był pijany;
Gefrejter bieży prędzéj i pewny wygranéj,
Żeby uchodzącego tém łacniej dosiągnął,
Powstał i całą prawą rękę wzdłuż wyciągnął
Popychając karabin, a tak się wysilił
Pchnięciem i wagą broni, że się aż pochylił;
Maciek tam kędy bagnet wkłada się na rurę,
Podstawia swą rękojeść, podbija broń w górę,
I wnet spuszczając rózgę, tnie Moskala w rękę
Raz, i znowu na odlew przecina mu szczękę. —
Tak padł Gifrejter, fechmistrz najpierwszy z Moskalów,
Kawaler trzech krzyżyków i czterech medalów.

Tymczasem koło kłodek, lewe szlachty skrzydło
Już jest bliskie zwycięstwa; tam walczył Kropidło
Widny z dala, tam Brzytwa wił się śród Moskali,
Ten ich w pół ciała rzeza, tamten w głowy wali;
Jako machina, którą niemieccy majstrowie
Wymyślili i która młóckarnią się zowie,
A jest razem sieczkarnią, ma cepy i noże,
Razem i słomę kraje i wybija zboże.
Tak pracują Kropiciel i Brzytwa pospołu,
Mordując nieprzyjacioł, ten z góry ten z dołu.

Lecz Kropiciel już pewne porzuca zwycięstwo,
Bieży na prawe skrzydło gdzie niebezpieczeństwo
Nowe grozi Maćkowi; śmierci Gifrejtera
Mszcząc się Proporszczyk z długim szpontonem naciera
(Szpoton, jest to zarazem dzida i siekiera,
Teraz już zaniedbany i tylko na flocie
Używają go — w ów czas służył i piechocie.)
Proporszczyk człowiek młody zręcznie się uwijał,
Ilekroć mu przeciwnik broń na bok odbijał,
On cofał się, młodego nie mógł Maciek zgonić,
I tak nieraniąc musiał tylko siebie bronić.
Już mu Proporszczyk dzidą lekką ranę zadał,
Już wznosząc w górę berdysz do cięcia się składał,
Chrzciciel nie zdoła dobiedz, lecz staje wpół drogi,
Okręca broń i ciska wrogowi pod nogi,
Skruszył kość, już Proporszczyk szponton z rąk upuszcza,
Słania się, wpada Chrzciciel, za nim szlachty tłuszcza,
A za szlachtą Moskale od lewego skrzydła
Biegą zmieszani, wszczął się bój koło Kropidła.

Chrzciciel który w obronie Maćka oręż stracił,
Ledwie że téj przysługi życiem nie przypłacił,
Bo przypadło nań s tyłu dwóch silnych Moskali,
I czworo rąk zarazem we włos mu wplątali,

Upiąwszy się nogami ciągną jako liny
Sprężyste, uwiązane do masztu wiciny;
Daremnie w tył Kropiciel ciska ślepe razy,
Chwieje się — a wtém postrzegł że blisko Gerwazy
Walczy; zawołał: Jezus Marya! Scyzoryku!

Klucznik trwogę Chrzciciela poznawszy po krzyku
Odwrócił się, i spuścił ostrze płytkiéj stali
Między głowę Chrzciciela i ręce Moskali;
Cofnęli się wydawszy przeraźliwe głosy,
Lecz jedna ręka mocniéj wplątana we włosy,
Została się, wisząca i krwią buchająca.
Tak orlik jedną szponę gdy wbije w zająca,
Drugą, by wstrzymać zwierza, o drzewo uczepi,
A zając targnąwszy się orła wpół rozszczepi,
Prawa szpona u drzewa zostaje się w lesie,
A lewą zakrwawioną, źwierz na pola niesie.

Kropiciel wolny oczy obraca do koła,
Ręce wyciąga, broni szuka broni woła,
Tymczasem grzmi pięściami, stojąc mocno w kroku,
I pilnując się z bliska Gerwazego boku,
Aż Saka syna swego postrzega w natłoku.
Sak prawą ręką szturmak wymierza, a lewą
Ciągnie za sobą długie sążniowate drzewo,

Uzbrojone w krzemienie i w guzy i sęki.
(Nikt by go nie podźwignął prócz Chrzciciela ręki.)
Chrzciciel gdy miłą broń swą, swe kropidło zoczył,
Chwycił je, ucałował, z radości podskoczył,
Zakręcił je nad głową i zaraz ubroczył.

Co potém dokazywał, jakie klęski szerzył,
Daremnie śpiewać, niktby muzie nieuwierzył,
Jak nie wierzono w Wilnie ubogiéj kobiécie,
Która stojąc na świętej Ostréj bramy szczycie,
Widziała, jako Dejów Moskiewski Jenerał
Wchodząc s półkiem kozaków, już bramę otwierał,
I jak jeden mieszczanin, zwany Czarnabacki,
Zabił Dejowa, i zniósł cały pułk kozacki.

Dosyć że się tak stało, jak przewidział Ryków;
Jegry w tłumie, ulegli mocy przeciwników.
Dwudziestu trzech na ziemi wala się zabitych,
Trzydziestu kilku jęczy ranami okrytych,
Wielu pierzchło, skryło się w sad, w chmiele, nad rzekę,
Kilku wpadło do domu pod kobiét opiekę.

Zwycięska szlachta biega z okrzykiem wesela,
Ci do beczek, ci łupy rwą z nieprzyjaciela;

Jeden Robak tryumfów szlachty nie podziela.
On dotąd sam nie walczył (bo bronią kanony
Księdzu bić się), lecz jako człowiek doświadczony
Dawał rady, plac boju z różnych stron obchodził,
Wzrokiem, ręką, walczących zachęcał, przywodził.
I teraz woła, aby do niego się łączyć,
Uderzyć na Rykowa, zwycięstwo dokończyć.
Tymczasem przez posłańca wskazał do Rykowa,
Że jeżeli broń złoży, życie swe zachowa;
Jeżeli zaś oddanie broni będzie zwlekać,
Robak każe otoczyć resztę i wysiekać.

Kapitan Ryków wcale nie prosił pardonu;
Zebrawszy koło siebie pół batalionu,
Krzyknął: za broń! wnet szereg karabiny chwyta,
Chrząsnęła broń, a była już dawno nabita,
Krzyknął: cel! rury rzędem zabłysnęły długim,
Krzyknął: ognia koleją! grzmią jeden po drugim,
Ten strzela, ten nabija, ten chwyta do ręki,
Słychać świsty kul, zamków chrzęsty, sztęflów dźwięki.
Cały szereg zdaje się być ruchomym płazem,
Który tysiąc błyszczących nóg wiwija razem.

Prawda że Jegry byli mocnym trunkiem pijani,
Zle mierzą i chybiają, rzadko który rani,

Ledwie który zabije; przecież dwóch Maciejów
Już zraniono, i poległ jeden z Bartłomiejów.
Szlachta z niewiela rusznic z rzadka się odstrzela,
Chce szablami uderzyć na nieprzyjaciela,
Ale starsi wstrzymują; kule gęsto świszczą,
Rażą, spędzają, wkrótce dziedziniec oczyszczą,
Już aż po szybach dworu zaczynają dzwonić.

Tadeusz który został w domu kobiet bronić
Z rozkazu Stryja, słysząc że coraz to gorzéj
Wre bitwa, wybiegł, za nim wybiegł Podkomorzy,
Któremu Tomasz wreszcie przyniosł karabelę,
Spieszy, łączy się s szlachtą i staje na czele.
Bieży broń wzniosłszy, szlachta rusza jego śladem,
Jegry przypuściwszy ich, sypnęli kul gradem.
Legł Isajewicz, Wilbik, Brzytewka raniony;
Zaczém, wstrzymują szlachtę, Robak z jednéj strony
A z drugiéj Maciej; szlachta ostyga w zapale,
Ogląda się, cofa się; widzą to Moskale,
Kapitan Ryków myśli ostatni cios zadać,
Spędzić szlachtę z dziedzińca i dworem owładać.

— Formuj się do attaku! zawołał, na sztyki!
Na przód! Wnet szereg rury wytknąwszy jak tyki,
Schyla głowy, zrusza się i przyśpiesza kroku,

Darmo szlachta wstrzymuje s przodu, strzela z boku,
Szereg już pół dziedzińca przeszedł bez oporu;
Kapitan pokazując szpadą na drzwi dworu,
Krzyczy: Sędzio poddaj się, bo dwór spalić każę!
— Pal, woła Sędzia, ja cię w tym ogniu usmażę.

O dworze Soplicowski! jeśli dotąd całe
Swiecą się pod lipami twoje ściany białe,
Jeśli tam dotąd szlachty sąsiedzkiéj gromada
Za gościnnemi stoły Sędziego zasiada,
Pewnie tam piją często za Konewki zdrowie.
Bez niego jużby było dziś po Soplicowie!

Konewka dotąd małe dał męstwa dowody;
Choć najpierwszy ze szlachty uwolniony s kłody,
Choć zaraz znalazł w wozie swą miłą konewkę,
Swój szturmak faworytny, i z nim kul sakiewkę,
Niechciał bić się; powiadał, że sobie nieufa
Na czczo; szedł więc gdzie stała spirytusu kufa,
Ręką jak łyżką strumień do ust sobie chylił;
Dopiero gdy się dobrze rozgrzał i posilił,
Poprawił czapkę, s kolan wziął do rąk konewkę,
Zmacał sztenflem naboju, podsypał panewkę,
I spojrzał na plac boju; widzi że błyszcząca
Fala bagnetów szlachtę bije i roztrąca,

Przeciw téj fali płynie; schyla się do ziemi
I nurkuje pomiędzy trawami gęstemi,
Środkiem dziedzińca, aż tam gdzie rosła pokrzywa
Zasadza się, a Saka gestami przyzywa.

Sak broniąc dworu stanął s szturmakiem u proga,
Bo w tym dworze mieszkała jego Zosia droga,
Od któréj choć w zalotach został pogardzony,
Kochał ją zawsze, zginąć rad dla jéj obrony.

Już szereg Jegrów w marszu na pokrzywę wkracza,
Gdy Konew ruszył cyngla, i s paszczy garłacza
Tuzin kul rozsiekanych puszcza śród Moskali,
Sak puszcza drugi tuzin, Jegry się zmięszali.
Przerażony zasadzką szereg w kłąb się zwija,
Cofa się, rzuca rannych; Chrzciciel ich dobija.

Stodoła już daleko; bojąc się odwodu
Długiego, Ryków skoczył pod parkan ogrodu,
Tam pierzchającą rotę zatrzymuje w biegu,
Szykuje, lecz szyk zmienia; z jednego szeregu
Robi trójkąt, klin ostry wystawując s przodu,
A dwa boki opiera o parkan ogrodu.
Dobrze zrobił, bo jazda nań od zamku wali.

Hrabia, który był w zamku pod strażą Moskali,
Gdy pierzchła straż zlękniona, dworzan na koń wsadził,

I słysząc strzały, w ogień jazdę swą prowadził,
Sam na czele z żelazem nad głowę wzniesioném.
Wtém Ryków krzyknął: ognia pół batalionem!
Przeleciała po zamkach wzdłuż nitka ognista,
I s czarnych rur wytkniętych świsnęło kul trzysta.
Trzech jezdnych padło rannych, jeden trupem leży.
Padł koń Hrabi, spadł Hrabia; Klucznik krzycząc bieży
Na ratunek, bo widzi, Jegry na cel wzięli
Ostatniego z Horeszków, chociaż po kądzieli.
Robak był bliższy, Hrabię ciałem swym zakrywa,
Dostał za niego postrzał, spod konia dobywa,
Uprowadza; a szlachcie każe się rozstąpić,
Lepiéj mierzyć, postrzałów nadaremnych skąpić,
Kryć się za płoty, studnię, za ściany obory;
Hrabia z jazdą ma czekać sposobniejszéj pory.

Plany Robaka pojął i wykonał cudnie
Tadeusz, stał ukryty za drewnianą studnię:
A że trzeźwy i dobrze strzelał z dubeltówki
(Mógł trafić do rzuconéj w powietrze złotówki),
Okropnie razi Moskwę, starszyznę wybiera,
Za pierwszym zaraz strzałem ubił Feldfebera,
Potém z dwóch rur raz po raz dwóch szerżantów
sprząta,
Mierzy to po galonach, to w środek trójkąta

Gdzie stał sztab; zaczém Ryków gniewa się i dąsa,
Tupa nogami, szpady swéj rękojeść kąsa.
Majorze Płucie, woła, co to s tego będzie?
Wkrótce tu nie zostanie nikt z nas przy komędzie!

Więc Płut na Tadeusza krzyknął z wielkim gniewem:
Panie Polak, wstydź się Pan chować się za drzewem,
Niebądź tchórz, wyjdź na środek, bij się honorowie
Po żołniersku. — A na to Tadeusz odpowie:
Majorze! jeśli jesteś tak śmiałym rycerzem,
A czegoż ty się chowasz za Jegrów kołnierzem?
Nie tchórzę ja przed tobą, wynidźno z za płotów,
Dostałeś w twarz, jam przecie bić się s tobą gotów!
Po co krwi rozlew! między nami była zwada,
Niechajże ją rozstrzygnie pistolet lub szpada.
Daję ci broń na wybor, od działa do szpilki;
A nie, to was wystrzelam jako w jamie wilki.
I to mówiąc wystrzelił, a tak dobrze mierzył
Że Porucznika obok Rykowa uderzył.

Majorze, szepnął Ryków, wyjdź na pojedynek;
I pomścij się za jego raniejszy uczynek.
Jeśli tego szlachcica kto inny zabije,
To Major widzi, Major hańby swéj nie zmyje.
Trzeba tego szlachcica na pole wywabić,

Nie można s karabina, to choć szpadą zabić.
Co puka to nie sztuka, to wolę co kole,
Mówił stary Suworów; wyjdź Majorze w pole,
Bo on nas powystrzela, patrz, bierze do celu.
Na to rzekł Major: Ryków! miły przyjacielu,
Ty jesteś zuch na szpady, wyjdź ty bracie Ryków,
Lub wiesz co, wyszlem kogo z naszych poruczników.
Ja Major, ja nie mogę odstąpić żołnierzy,
Do mnie batalionu komęda należy. —
Słysząc to Ryków, szpadę podniosł, wyszedł śmiało,
Kazał ognia zaprzestać, machnął chustką białą.
Pyta się Tadeusza jaką broń podoba;
Po układach, na szpady zgodzili się oba.
Tadeusz broni nie miał; gdy szukano szpady,
Wyskoczył Hrabia zbrojny i zerwał układy.

— Panie Soplico! wołał, s przeproszeniem Pana,
Pan wyzwałeś Majora! ja do Kapitana
Mam dawniejszą urazę, on do zamku mego
(Mów Pan, przerwał Protazy, do zamku naszego)
On wpadł, rzekł kończąc Hrabia, na czele złodziejów,
On, poznałem Rykowa, wiązał mych dżokejów.
Skarzę go, jakom zbójców skarał pod opoką,
Którą Sycylianie zwą Birbante-rokko.

Uciszyli się wszyscy, ustało strzelanie,
Wojska ciekawe patrzą na wodzów spotkanie:
Hrabia i Ryków idą, obróceni bokiem,
Prawą ręką i prawém grożąc sobie okiem;
W tém lewemi rękami odkrywają głowy
I kłaniają się grzecznie (zwyczaj honorowy,
Nim przyjdzie do zabójstwa, naprzód się przywitać).
Już spotkały się szpady i zaczęły zgrzytać;
Rycerze wznosząc nogi, prawemi kolany
Przyklękają, w przód i w tył skacząc naprzemiany.

Ale Płut Tadeusza widząc przed swym frontem,
Naradzał się po cichu z Gifrejterem Gontem,
Który w rocie uchodził za piérwszego strzelca.
Gonto, rzekł Major, widzisz ty tego wisielca,
Jeśli mu wsadzisz kulę, tam pod piątym żebrem,
To dostaniesz odemnie cztery ruble srebrem.
Gont odwodzi karabin, do zamka się chyli,
Wierni go towarzysze płaszczami okryli,
Mierzy, nie w żebro, ale w głowę Tadeusza,
Strzelił i trafił, blisko, w środek kapelusza.
Okręcił się Tadeusz, aż Kropiciel wpada
Na Rykowa, a za nim szlachta krzycząc: zdrada!
Tadeusz go zasłania, ledwie zdołał Ryków
Zrejterować się i wpaść we środek swych szyków.

Znowu Dobrzyńscy z Litwą natarli w zawody,
I pomimo dawniejsze dwóch stronnictw niezgody
Walczą jak bracia, jeden drugiego zachęca.
Dobrzyńscy widząc jak się Podhajski wykręca
Tuż przed szeregiem Jegrów i kosą ich kraje,
Zawołali z radością: Niech żyją Podhaje!
Naprzód bracia Litwini, górą, górą Litwa!
Skołubowie zaś widząc jak waleczny Brzytwa
Choć ranny, leci s szablą wzniesioną do góry,
Krzyknęli: górą Maćki, niech żyją Mazury!
Dodawszy wzajem serca biegną na Moskali,
Nadaremnie ich Robak z Maćkiem wstrzymywali.

Gdy tak na rotę Jegrów uderzano s przodu,
Wojski rzuca plac boju, idzie do ogrodu;
Przy boku jego stąpał ostróżny Protazy,
A Wojski mu po cichu wydawał roskazy.

Stała w ogrodzie, prawie pod samym parkanem,
O który się opierał Ryków swym trójgranem,
Wielka stara sernica, budowana w kratki
Z balek na krzyż wiązanych, podobna do klatki.
W niéj świeciły się białych sérów mnogie kopy;
W koło zaś wahały się suszące się snopy
Szałwii, benedykty kardy, macierzanki,

Cała zielna domowa apteka Wojszczanki.
Sernica w górze miała wszerz sążni pół czwarta,
A u dołu na jednym wielkiem słupie wsparta,
Niby gniazdo bocianie. Stary słup dębowy
Pochylił się, bo już był wygnił do połowy,
Groził upadkiem. Nieraz Sędziemu radzono,
Aby zrucił budowę wiekiem nadwątloną;
Ale Sędzia powiadał, że woli poprawiać
Aniżeli rozrzucać, albo też przestawiać.
Odkładał budowanie do sposobnéj pory,
Tymczasem pod słup kazał wetknąć dwie podpory.
Tak pokrzepiona ale nie trwała budowa,
Wyglądała za parkan nad trójkąt Rykowa.

Ku tej sernicy Wojski z Woźnym milczkiem idą,
Każdy zbrojny ogromnym drągiem jakby dzidą;
Za nimi ochmistrzyni dąży przez konopie
I kuchcik, małe ale bardzo silne chłopie.
Przyszedłszy drągi wparli w wierzch słupa nadgniły,
Sami u końców wisząc pchają s całéj siły,
Jako flisy uwięzłą na rapach wicinę
Długiemi drągi z brzegu pędzą na głębinę.

Trzasnął słup, już sernica chwieje się, i wali
Z brzemieniem drzew i serów na trójkąt Moskali,

Gniecie, rani, zabija; gdzie stały szeregi,
Leżą drwa, trupy, séry białe jako śniegi
Krwią i mozgiem splamione. Trójkąt w sztuki pryska,
A już w środku Kropidło grzmi, już Brzytwa błyska,
Siecze Rózga, od dworu wpada szlachty tłuszcza,
A Hrabia od bram jazdę na rospierzchłych puszcza.

Już tylko ośmiu Jegrów s szerżantem na czele
Bronią się, bieży Klucznik, oni stoją śmiele,
Dziewięć rur wymierzyli prosto w łeb Klucznika,
On leci na strzał, kręcąc ostrze scyzoryka.
Widzi to Ksiądz, zabiega Klucznikowi drogę,
Sam pada i podbija Gerwazemu nogę.
Upadli, właśnie kiedy pluton ognia dawał;
Ledwie ołów prześwisnął, już Gerwazy wstawał,
Już wskoczył w dym; dwom Jegrom zaraz głowy zmiata
Uciekają strwożeni, Klucznik goni, płata;
Oni biegną dziedzińcem, Gerwazy ich torem,
Wpadają we drzwi gumna stojące otworem,
I Gerwazy do gumna na ich karkach wjechał,
Zniknął w ciemności, ale bitwy nie zaniechał,
Bo przeze drzwi jęk słychać, wrzask i gęste razy,
Wkrótce ucichło wszystko; wyszedł sam Gerwazy
Z mieczem krwawym.

Już szlachta odzierżyła pole,
Porozpędzanych Jegrów ściga, rąbie, kole;
Ryków sam został, krzyczy że broni nie złoży,
Bije się gdy ku niemu podszedł Podkomorzy
I wznosząc karabellę, rzekł poważnym tonem:
Kapitanie! nie splamisz czci twojéj pardonem,
Dałeś proby rycerzu nieszczesny lecz mężny
Twojéj odwagi, porzuć opór niedołężny,
Złóż broń nim cię naszemi szablami rozbroim,
Zachowasz życie i cześć, jesteś więźniem moim!

Ryków Podkomorzego zwalczony powagą,
Skłonił się i oddał mu swoję szpadę nagą,
Skrwawioną po rękojeść i rzekł: Lachy braty!
Oj biada mnie żem niemiał choć jednéj armaty!
Dobrze mówił Suworów: pomnij Ryków kamrat
Żebyś nigdy na Lachów niechodził bez armat!
Cóż! Jegry byli pjani, Major pić pozwolił!
Oh Major Płut, on dzisiaj bardzo poswywolił!
On odpowie przed Carem, bo on miał komędę.
Ja, Panie Podkomorzy, wasz przyjaciel będę.
Ruskie przysłowie mówi: kto się mocno lubi,
Ten Panie Podkomorzy i mocno się czubi.
Wy dobrzy do wypitki, dobrzy do wybitki,
Ale przestańcie robić nad Jegrami zbytki.

Podkomorzy słysząc to, karabellę wznasza
I przez Woźnego pardon powszechny ogłasza,
Każe rannych opatrzyć, s trupów czyścić pole,
A Jegrów rozbrojonych prowadzić w niewolę.
Długo szukano Płuta; on w krzaku pokrzywy
Zarywszy się głęboko, leżał jak nieżywy;
Wyszedł wreszcie ujrzawszy, że było po bitwie.
Taki miał koniec zajazd ostatni na Litwie.

Księga dziesiąta.

EMIGRACYA.

JACEK.

TREŚĆ.

Narada tycząca się zabespieczenia losu zwycięzców — Układy z Rykowem — Pożegnanie — Ważne odkrycie — Nadzieja.

Owe obłoki ranne z razu rospierzchnione
Jak czarne ptaki, lecąc w wyższą nieba stronę
Coraz się zgromadzały; ledwie słońce zbiegło
S południa, już ich stado pół niebios obległo
Ogromną chmurą; wiatr ją pędził coraz chyżéj,
Chmura coraz gęstniała, zwieszała się niżéj,
Aż jedną stroną na wpół od niebios oddarta,
Ku ziemi wychylona i wszerz rozpostarta,

Jak wielki żagiel, biorąc wszystkie wiatry w siebie,
Od południa na zachód leciała po niebie.

I była chwila ciszy; i powietrze stało
Głuche, milczące, jakby s trwogi oniemiało.
I łany zbóż co wprzódy kładąc się na ziemi
I znowu w górę trzęsąc kłosami złotemi
Wrzały jak fale, teraz stoją nieruchome
I poglądają w niebo najeżywszy słomę.
I zielone przy drogach wierzby i topole,
Co pierwéj, jako płaczki przy grobowym dole,
Biły czołem, długiemi kręciły ramiony,
Rospuszczając na wiatry warkocz posrebrzony;
Teraz jak martwe, z nieméj wyrazem żałoby,
Stoją nakształt posągów Sypilskiéj Nioby.
Jedna osina drżąca, wstrząsa liście siwe.

Bydło zwykle do domu powracać leniwe,
Teraz zbiega się tłumnie, pasterzy nie czeka,
I opuszczając strawę do domu ucieka.
Buhaj racicą ziemię kopie, orze rogiem,
I całą trzodę straszy ryczeniem złowrogiém.
Krowa coraz ku niebu wznosi wielkie oko,
Usta z dziwu otwiera, i wzdycha głęboko;
A wieprz marudzi w tyle, dąsa się i zgrzyta,
I snopy zboża kradnie i na zapas chwyta.

Ptastwo skryło się w lasy, pod strzechy, w głąb
trawy;
Tylko wrony stadami obstąpiwszy stawy,
Przechadzają się sobie poważnemi kroki,
Czarne oczy kierują na czarne obłoki,
Wytknąwszy język s suchéj szerokiéj gardzieli
I skrzydła rostaczając czekają kąpieli;
Lecz i te przewidując nazbyt mocną burzę
Już w las ciągną, podobne wznoszącéj się chmurze.
Ostatnia s ptaków lotem nieścigłym zuchwała
Jaskułka, czarny obłok przeszywa jak strzała,
Wreszcie spada jak kula.

Właśnie w owéj chwili
Szlachta z Moskwą okropną walkę zakończyli,
I chronią się gromadnie w domy i stodoły,
Opuszczają plac boju, gdzie wkrótce żywioły
Stoczą walkę.

Na zachód, jeszcze ziemia słońcem ozłocona,
Świeciła się ponuro, żółtawo-czerwona;
Już chmura rostaczając cienie nakształt sieci,
Wyławia resztki światła, a za słońcem leci.
Jak gdyby je pochwycić chciała przed zachodem.
Kilka wichrów raz poraz prześwisnęło spodem,

Jeden za drugim lecą miecąc krople dżdzyste,
Wielkie, jasne, okrągłe, jak grady ziarniste.

Nagle wichry zwarły się, porwały się w poły,
Borykają się, kręcą, świszczącemi koły
Krążą po stawach, mącą do dna wody w stawach,
Wpadli na łąki, świszczą po łozach i trawach,
Pryskają łóz gałęzie, lecą traw przekosy
Na wiatr, jako garściami wyrywane włosy,
Zmieszane s kędziorami snopów; wiatry wyją
Upadają na rolę, tarzają się, ryją,
Rwą skiby, robią otwor wichrowi trzeciemu
Który wydarł się z roli jak słup czarnoziemu,
Wznosi się, jak ruchoma piramida toczy,
Łbem grunt wierci, z nóg piasek sypie gwiazdom
w oczy,
Co krok wszerz wydyma się, rostwiera ku górze,
I ogromną swą trąbą otrębuje burze.
Aż s całym tym chaosem wody i kurzawy,
Słomy, liścia, gałęzi, wydartéj murawy,
Wichry w las uderzyły, i po głębiach puszczy
Ryknęły jak niedźwiedzie.

A już deszcz wciąż pluszczy,
Jak s sita, w gęstych kroplach; w tém rykły pioruny,

Krople zlały się razem; to jak prosto strony,
Długim warkoczem wiążą niebiosa do ziemi,
To jak z wiader buchają warstami całemi.
Już zakryły się całkiem niebiosa i ziemia,
Noc je z burzą od nocy czarniejszą zaciemia.
Czasem widnokrąg pęka od końca do końca,
I anioł burzy nakształt niezmiernego słońca,
Rozświéci twarz, i znowu okryty całunem
Uciekł w niebo i drzwi chmur zatrzasnął piorunem.
Znowu wzmaga się burza, ulewa nawalna,
I ciemność gruba, gęsta, prawie dotykalna.
Znowu deszcz ciszéj szumi, grom na chwilę uśnie;
Znowu wzbudzi się, ryknie, i znów wodą chluśnie.
Aż się uspokoiło wszystko; tylko drzewa
Szumią około domu i szemrze ulewa.

W takim dniu, pożądany był czas najburzliwszy,
Bo nawalnica, boju plac mrokiem okrywszy,
Zalała drogi, mosty zerwała na rzece,
S folwarku niedostępną zrobiła fortecę.
O tém więc co się działo w obozie Soplicy,
Dziś nie mogła rozejść się wieść po okolicy,
A właśnie zawisł szlachty los od tajemnicy.

W izbie Sędziego ważne toczą się narady;
Bernardyn, leżał w łóżku, zmordowany, blady

I skrwawiony, lecz całkiem zdrowy na umyśle,
Daje rozkazy, Sędzia wypełnia je ściśle.
Prosi Podkomorzego, przyzywa Klucznika,
Każe przywieść Rykowa, potem drzwi zamyka.
Godzinę całą trwały tajemne rozmowy,
Aż je przerwał kapitan Rykow temi słowy,
Rzucając na stół kiesę ciężką dukatami:
— Państwo Lachy, już jest ta gadka między wami,
Że każdy Moskal złodziéj; powiedźcież, kto spyta
Że znaliście Moskala, który zwan Nikita
Nikitycz Ryków, rotny Kapitan, miał osim
Medalów i trzy krzyże, to pamiętać prosim.
Ten medal za Oczaków, ten za Izmaiłów,
Ten za bitwę pod Nowi, ten za Preisiż — Iłów,
Tamten za Korsakowa sławną rejteradę
S pod Zurich; a miał także i za męstwo szpadę,
Także od Feldmarszałka trzy zadowolnienia,
Dwie pochwały Cesarskie i cztery wspomnienia,
Wszystko na piśmie —

— Ale, ale Kapitanie,
Przerwał Robak, i cóż się tedy z nami stanie,
Jeśli niechcesz zgodzić się; wszakże dałeś słowo
Załatwić tę rzecz —

Prawda, słowo dam na nowo,
Rzecze Ryków, ot słowo! Co po waszéj zgubie?
Ja człek poczciwy, ja was Państwo Lachy lubię,
Że wy ludzie weseli, dobrzy do wypitki,
I także ludzie śmiali, dobrzy do wybitki.
U nas Ruskie przysłowie: kto na wozie jedzie,
Bywa często pod wozem; kto dzisiaj na przedzie,
Jutro w tyle; dziś bijesz, jutro ciebie biją;
Czy o to gniew? tak u nas po żołniersku żyją.
Skądby się człowiekowi tyle złości wzięło
Gniewać się o przegranę! Oczakowskie dzieło
Było krwawe, pod Zurich zbili nam piechotę,
Pod Austerlicem całą utraciłem rotę;
A pierwéj wasz Kościuszko pod Racławicami,
Byłem serżantem, wysiekł mój pluton kosami.
I cóż stąd? to ja znowu u Maciejowiców
Zabiłem własnym sztykiem dwóch dzielnych szlachciców,
Jeden był Mokronowski, szedł s kosą przed frontem,
I kanonierowi uciął rękę z lontem.
Oj! wy Lachy! Ojczyzna! ja to wszystko czuję,
Ja Ryków; Car tak każe, a ja was żałuję,
Co nam do Lachów? Niechaj Moskwa dla Moskala,
Polska dla Lacha; ale cóż? Car niepozwala!

— Sędzia mu na to rzecze: Panie Kapitanie
Żeś człek poczciwy wiedzą to wszyscy ziemianie,
U których na kwaterach stałeś od lat wielu;
Za ten dar nie gniewaj się dobry przyjacielu,
Niechcieliśmy cię skrzywdzić; te oto dukaty,
Smieliśmy złożyć wiedząc żeś człek niebogaty.

— Ach Jegry! wołał Ryków, cała rota skłuta!
Moja rota! a wszystko z winy tego Płuta!
On komendant, on za to przed Carem odpowie,
A wy te grosze sobie zabierzcie panowie,
U mnie jest kapitański mój żołd ladajaki,
A dosyć mnie na ponczyk i lulkę tabaki.
A was lubię, że z wami sobie zjem, popiję,
Pohulam, pogawędzę, i tak sobie żyję;
Otoż ja was obronię, i jak będzie śledztwo,
Słowo uczciwe, że dam za wami świadectwo,
Powiemy że my przyszli tu z wizytą, pili
Sobie, tańczyli, trochę sobie podchmielili,
A Płut przypadkiem ognia zakomęderował,
Bitwa! i batalion tak jakoś zmarnował.
Wy Pany tylko śledztwo pomazujcie złotem,
Będzie kręcić się. Ale teraz powiem o tém
Co już mówiłem temu szlachcicu, co długi
Ma rapier, że Płut pierwszy komendant, ja drugi:

Płut został żywy, może on wam zagiąć kruczka
Takiego, że zginiecie, bo to chytra sztuczka;
Trzeba mu gębę zatkać bankowym papierem.
No i cóż Panie szlachcic, ty z długim rapierem,
Czy już byłeś u Płuta? czyś się z nim naradził?

— Gerwazy obejrzał się, łysinę pogładził,
Kiwnął niedbale ręką, jak gdyby znać dawał
Że już wszystko załatwił. — Lecz Ryków nastawał:
Cóż czy Płut będzie milczeć, czy słowem zaręczył?
— Klucznik zły że go Ryków pytaniami dręczył,
Poważnie palec wielki ku ziemi naginał,
A potém, machnął ręką jak gdyby przecinał
Dalszą rozmowę, i rzekł: klnę się scyzorykiem
Że Płut nie wyda! gadać już nie będzie z nikim! —
Potem dłonie opuścił i palcami chrząsnął,
Jak gdyby tajemnicę całą z rąk wytrząsnął.

Ten ciemny giest pojęli słuchacze, i stali,
Patrząc z dziwem na siebie, wzajem się badali,
I posępne milczenie trwało minut kilka.
Aż Ryków rzekł: nosił wilk, ponieśli i wilka!
— Requiescat in pace, dodał Podkomorzy!
— Jużci, zakończył Sędzia, był w tém palec Boży!
Lecz ja téj krwi nie winien, jam o tém nie wiedział —

Ksiądz porwał się s poduszek i posępny siedział.
Nakoniec rzekł, spojrzawszy bystro na Klucznika:
Wielki grzech bezbronnego zabić niewolnika!
Chrystus zabrania mścić się nawet i nad wrogiem!
Oj Kluczniku! odpowiesz ty ciężko przed Bogiem.
Jedna jest restrykcya, jeśli popełniono
Nie z zemsty głupiéj ale pro publico bono.
— Klucznik głową i ręką kiwał wyciągnioną,
I mrugając powtarzał: pro publico bono!

Więcéj nie było mowy o Płucie Majorze;
Nazajutrz daremnie go szukano we dworze,
Daremnie wyznaczano za trupa nagrodę,
Major zginął bez śladu jak gdyby wpadł w wodę;
Co się z nim stało różnie powiadano o tém,
Lecz nikt pewnie nie wiedział ni wtenczas ni potém.
Daremnie pytaniami Klucznika dręczono;
Nic nie wyrzekł, prócz tych słów: pro publico bono.
Wojski był w tajemnicy, lecz słowem ujęty
Honorowém, staruszek milczał jak zaklęty.

Po zawarciu układów wyszedł z izby Ryków,
A Robak kazał wezwać szlachtę wojowników,
Do których Podkomorzy s powagą tak mówi:
— Bracia! Bóg dziś naszemu szczęścił orężowi,

Ale muszę Wać Państwu wyznać bez ogródki,
Że s tych niewczesnych bojów złe wynikną skutki;
Zbłądziliśmy, i nikt tu z nas nie jest bez winy;
Ksiądz Robak że zbyt czynnie rozszerzał nowiny,
Klucznik i szlachta że je pojęła opacznie.
Wojna z Rossyą jeszcze nie prędko się zacznie,
Tymczasem kto miał udział najczynniejszy w bitwie,
Ten nie może bezpieczny zostać się na Litwie;
Musicie więc do Księstwa uciekać Panowie,
A mianowicie Maciéj co się Chrzciciel zowie,
Tadeusz, Konew, Brzytew, niech unoszą głowy
Za Niemen, gdzie ich czeka zastęp narodowy;
My na was nieobecnych całą winę zwalim,
I na Płuta, tak resztę rodzeństwa ocalim.
Żegnam was nie nadługo; są pewne nadzieje,
Że nam z wiosną swobody zorza zajaśnieje,
I Litwa co was teraz żegna jak tułaczy,
Wkrótce jako zwycięskich swych zbawców zobaczy.
Sędzia wszystko co trzeba zgotuje na drogę.
I ja pieniędzmi ile zdołam, dopomogę. —

Czuła szlachta, że mądrze Podkomorzy radził;
Wiadomo że kto z Ruskim Carem raz się zwadził,
Ten już z nim na téj ziemi nie zgodzi się szczérze,
I musi albo bić się, albo gnić w Sybirze.

Więc nic nie mówiąc, smutnie po sobie spojrzeli,
Westchnęli; na znak zgody głowami skinęli.

Polak chociaż stąd między narodami słynny,
Że bardziéj niźli życie kocha kraj rodzinny,
Gotów zawżdy rzucić go, puścić się w kraj świata,
W nędzy i poniewierce przeżyć długie lata,
Walcząc z ludźmi i z losem, póki mu śród burzy
Przyświeca ta nadzieja, że Ojczyźnie służy.

Oświadczyli, że zaraz wyjeżdżać gotowi.
Tylko się to nie zdało Panu Buchmanowi:
Buchman człowiek rozsądny w bitwę się nie wmieszał,
Ale słysząc że radzą, głosować pośpieszał,
Znajdował projekt dobrym, lecz chciał przeinaczyć,
Dokładniéj go rozwinąć, jaśniéj wytłómaczyć,
A naprzód Komissyą legalnie wyznaczyć
Któraby rozważyła Emigracji cele,
Środki, sposoby, tudzież innych względów wiele;
Nieszczęściem krótkość czasu była na zawadzie,
Że się niestało zadość Buchmanowéj radzie.
Szlachta żegna się śpiesznie i już w drogę rusza.

Ale Sędzia zatrzymał w izbie Tadeusza,
I rzekł do Księdza: Czas już żebym ci powiedział

To o czémem s pewnością wczoraj się dowiedział,
Że nasz Tadeusz szczerze zakochany w Zosi,
Niechajże przed odjazdem o rękę jéj prosi;
Mówiłem s Telimeną, już nam nieprzeszkadza,
Zosia także się z wolą opiekunów zgadza.
Jeśli dziś ślubem pary nie możem uwieczyć,
Toćby ich panie bracie, przynajmniej zaręczyć
Przed odjazdem; bo serce młode i podróżne.
Wiesz dobrze jako miewa tentacyje różne.
A wszakże, kiedy okiem rzuci na pierscionek
I przypomni młodzieniec, że już jest małżonek,
Zaraz w nim obcych pokus ostyga gorączka.
Wierzaj mi wielką siłę ma ślubna obrączka.

Ja sam przed lat trzydziestu, wielki affekt miałem
Ku Pannie Marcie, której serce pozyskałem;
Byliśmy zaręczeni, Bóg nie błogosławił
Związkowi temu, i mnie sierotą zostawił,
Wziąwszy do chwały swojéj nadobną Wojszczankę,
Przyjaciela mojego córę Hreczeszankę.
Pozostała mi tylko pamiątka jéj cnoty,
Jéj wdzięków, i ten oto ślubny pierścień złoty.
Ilekroć nań spojrzałem, zawsze ma nieboga
Stawała przed oczyma; i tak z łaski Boga,
Dotąd méj narzeczonéj dochowałem wiary,

I niebywszy małżonkiem, jestem wdowiec stary,
Chociaż Wojski ma drugą córę dość nadobną,
I do mojéj kochanéj Marty dość podobną!

To mówiąc na pierścionek s czułością spozierał,
I odwróconą ręką łzy z oczu ocierał,
— Bracie, kończył, co myślisz? zrobim zaręczyny?
On kocha, a mam słowo ciotki i dziewczyny.

Lecz Tadeusz podbiega i z żywością mówi:
Czemże zdołam odwdzięczyć dobremu stryjowi,
Który tak o me szczęście ustawnie się trudzi!
Ach dobry stryju! byłbym najszczęśliwszy z ludzi,
Gdyby mi Zosia była dzisiaj zaręczona,
Gdybym wiedział że to jest moja przyszła żona,
Przecież powiem otwarcie, dziś te zaręczyny
Do skutku przyjść nie mogą, są różne przyczyny...
Nie pytaj więcéj, jeśli Zosia czekać raczy,
Może mnie w krótce lepszym, godniejszym obaczy,
Może stałością na jéj wzajemność zarobię,
Może troszeczką sławy me imie ozdobię,
Może wkrótce w ojczyste wrócim okolice;
Wtenczas stryju wspomnę ci twoje obietnice,
Wtenczas na klęczkach drogą powitam Zosienkę,
I jeśli będzie wolna, poproszę o rękę;

Teraz porzucam Litwę może na czas długi,
Może Zosi tymczasem podobać się drugi;
Więzić jéj woli niechcę, prosić o wzajemność
Na którąm nie zasłużył, byłaby nikczemność.

Gdy te słowa z uczuciem mówił chłopiec młody,
Zaświeciły mu, jako dwie wielkie jagody
Pereł, dwie łzy na wielkich błękitnych źrenicach,
I stoczyły się szybko po rumianych licach.

Ale Zosia ciekawa z głębiny alkowy
Śledziła przez szczelinę tajemne rozmowy,
Słyszała jak Tadeusz po prostu i śmiało
Opowiedział swą miłość, serce w niéj zadrżało,
I widziała tych wielkich dwoje łez w źrenicach.
Choć dojść nie mogła wątku w jego tajemnicach,
Dla czego ją pokochał? dla czego porzuca?
Gdzie odjeżdza? przecież ją ten odjazd zasmuca.
Pierwszy raz posłyszała w życiu z ust młodziana,
Dziwną i wielką nowość, że była kochana.
Biegła więc gdzie stał mały domowy ołtarzyk,
Wzjęła zeń obrazek i relikwiarzyk,
Na obrazku tym była święta Genowefa,
A w relikwii, suknia swiętego Józefa
Oblubieńca, patrona zaręczonéj młodzi,
I s temi świętościami do pokoju wchodzi.

— Pan odjeżdzasz tak prędko? ja Panu na drogę
Dam podarunek mały i także przestrogę:
Niechaj Pan zawsze s sobą relikwie nosi
I ten obrazek, a niech pamięta o Zosi.
Niech Pana Pan Bóg w zdrowiu i szczęściu prowadzi
I niech prędko szczęśliwie do nas odprowadzi —
Umilkła, i spuściła głowę; oczki modre
Ledwie stuliła, z rzęsów pobiegły łzy szczodre,
A Zosia z zamkniętemi stojąc powiekami,
Milczała, sypiąc łzami jako brylantami.

Tadeusz biorąc dary i całując rękę
Rzekł: Pani! już ja muszę pożegnać panienkę,
Bądź zdrowa, wspomnij o mnie, i racz czasem zmówić
Pacierz za mnie! Zofio!... więcéj nie mógł mówić.

Lecz Hrabia, s Telimeną wszedłszy niespodzianie,
Uważał młodéj pary czułe pożegnanie,
Wzruszył się i rzuciwszy wzrok ku Telimenie,
Ileż! rzekł, jest piękności choć w téj prostéj scenie!
Kiedy dusza pasterki z wojownika duszą,
Jak łódź z okrętem w burzy rozłączyć się muszą!
Zaiste! nic tak uczuć w sercu nie rozpala,
Jako kiedy się serce od serca oddala.
Czas jest to wiatr, on tylko małą świecę zdmuchnie,

Wielki pożar od wiatru tém mocniéj wybuchnie.
I moje serce zdolne mocniéj kochać zdala.
Panie Soplico! miałem ciebie za rywala;
Ten błąd był jedną s przyczyn naszéj smutnéj zwady,
Która mię przymusiła dostać na was szpady.
Postrzegam błąd mój; boś ty wzdychał ku pasterce,
Ja zaś téj pięknéj Nimfie oddałem me serce.
Niech we krwi wrogów nasze utoną urazy,
Niebędziem się zbójczemi rozpierać żelazy.
Niech się inaczéj spór na nasz zalotny roztrzygnie,
Walczmy! kto kogo czuciem miłości wyścignie!
Zostawim oba drogie serc naszych przedmioty,
Pośpieszymy obadwa na miecze na groty;
Walczmy s sobą stałością, żalem i cierpieniem,
A wrogów naszych mężném ścigajmy ramieniem
— Rzekł i na Telimenę spojrzał, ale ona
Nic nieodpowiadała strasznie zadziwiona.

MójHrabio, przerwał Sędzia, po co chcesz koniecznie
Wyjeżdzać, wierzmi, w twoich dobrach siedź bezpiecznie.
Szlachtę biedną rząd mógłby odrzeć i przechłostać,
Ale ty Hrabio pewien jesteś cały zostać;
Wiesz w jakim rządzie żyjesz, jesteś dość bogaty,
Wykupisz się od więzień połową intraty.

— To nie zgodna, rzekł Hrabia, z moim charakterem,
Nie mogę być kochankiem, będę bohaterem;
W miłości troskach, sławy zwę pocieszycielki,
Gdy jestem nędzarz sercem, będę ręką wielki.

Telimena pytała: któż Panu przeszkadza
Kochać i być szczęśliwym! — Mych przeznaczeń władza,
Rzekł Hrabia; ciemność przeczuć, które ruchem tajnym
Rwą się ku stronom obcym, dziełom nadzwyczajnym.
Wyznaję, że dziś chciałem na cześć Telimenie
U ołtarzów Hymena zapalić płomienie,
Ale mi dał zbyt piękny przykład ten młodzieniec,
Sam dobrowolnie ślubny swój zrywając wieniec,
I biegąc serca swego doświadczać w przeszkodach
Zmiennych losów, i w krwawych wojennych przygodach.
Dziś otwiera się nowa i dla mnie Epoka!
Brzmiała odgłosem broni méj Birbante-roka,
Oby ten odgłos równie w Polszcze się rozszerzył!
— Skończył, i dumnie szpady rękojeść uderzył.

Jużci, rzekł Robak, trudno ganić tę ochotę;
Jedź, weź pieniądze, możesz usztyftować rotę
Jak Włodzimierz Potocki, co Francuzów zdziwił
Dając na skarb milion, jak książe Radziwił

Dominik, co zastawił dobra swe i sprzęty
I dwa uzbroił nowe konne regimenty.
Jedź, jedź, a weź pieniądze; rąk tam dosyć mamy,
Ale grosza brak w Księstwie, jedź Wasze, żegnamy.

Telimena smutnemi rzuciwszy oczyma,
Niestety, rzekła, widzę że cię nic nie wstrzyma!
Rycerzu mój, w wojenne kiedy wstąpisz szranki,
Obróć czułe spojrzenie na kolor kochanki
(Tu wstążkę oderwawszy od sukni, zrobiła
Kokardę i na piersiach Hrabi przyszpiliła)
Niech cię ten kolor wiedzie na działa ogniste,
Na kopje błyszczące i deszcze siarczyste,
A kiedy się rozsławisz walecznemi czyny,
I gdy nieśmiertelnemi przesłonisz wawrzyny
Skrwawiony szyszak i hełm twóy zwycięstwem hardy,
I wtenczas jeszcze oko zwróć do téj kokardy.
Wspomnij czyja ten kolor przyszpiliła ręka —
Tu mu podała rękę — Pan Hrabia przyklęka,
Całuje, Telimena zbliżyła do oka
Chustkę, a drugiém okiem pogląda z wysoka
Na Hrabię, który żegnał ją mocno wzruszony.
Ona wzdychała, ale ruszyła ramiony.

Lecz Sędzia rzekł: mój Hrabio, śpiesz się, bo już późno —

A ksiądz Robak — dość tego — wołał z miną groźną,
Spiesz się Wasze. — Tak roskaz Sędziego i Księdza
Rozdziela czułą parę i z izby wypędza.

Tymczasem Pan Tadeusz stryja obejmował
Ze łzami, i Robaka w rękę pocałował,
Robak ku piersiom chłopca przycisnąwszy skronie
I na głowie mu na krzyż położywszy dłonie,
Spojrzał ku niebu i rzekł: Synu! s Panem Bogiem —
I zapłakał... A już był Tadeusz za progiem.
— Jakto? zapytał Sędzia, nic mu brat nie powie?
I teraz? biedny chłopiec, jeszcze się nie dowie
O niczém! przed odjazdem? — Nie, rzekł Ksiądz, o niczém.
(Płacząc długo z zakrytém rękami obliczem)
I pocóż by miał wiedzieć biedny, że ma ojca
Który się skrył przed światem, jak łotr, jak zabojca?
Bóg widzi jak pragnąłbym, ale s téj pociechy
Zrobię Bogu ofiarę, za me dawne grzechy.

Więc, rzecze Sędzia, teraz czas myśleć o sobie,
Uważ że człowiek w twoim wieku i chorobie
Nie zdołałby z innymi razem emigrować;
Mówiłeś że wiesz domek, gdzie się masz przechować,
Powiedz gdzie? spieszmy, czeka zaprzężona bryka,
Czy nie najlepiéj w puszczę, do chaty leśnika.

Robak kiwając głową, rzekł: do jutra rana
Mam czas, teraz mój bracie poślij do Plebana
Aby tu jak najrychléj przybył z wijatykiem,
Oddal stąd wszystkich, zostań tylko sam s Klucznikiem.
Zamknij drzwi. —

Sędzia spełnił Robaka roskazy
I usiada na łóżko przy nim; a Gerwazy,
Stoi, łokieć przytwierdza na główni rapiera,
A czoło pochylone na dłoniach opiera.

Robak nim zaczął mówić, w Klucznika oblicze
Wzrok utkwił, i milczenie chował tajemnicze.
A jako Chirurg naprzód miękką rękę składa
Na ciele chorującém, nim ostrzem raz zada;
Tak Robak wyraz bystrych oczu swych złagodził,
Długo niemi po oczach Gerwazego wodził,
Nakoniec jakby ślepym chciał uderzyć ciosem,
Zasłonił oczy ręką, i rzekł mocnym głosem:

Jam jest Jacek Soplica...

Klucznik na to słowo,
Pobladnął, pochylił się, i ciała połową
Wygięty naprzód, stanął, zwisł na jednéj nodze,

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA W POZNANIU

Jak głaz lecący z góry zatrzymany w drodze.
Oczy roztwierał, usta szeroko rozszerzał
Grożąc białemi zęby, a wąsy najeżał,
Rapier z rąk upuszczony, przy ziemi zatrzymał
Kolanami, i głownię prawą ręką imał
Cisnąc ją; rapier s tyłu za nim wyciągniony,
Długim czarnym swym końcem chwiał się w różne strony.
I Klucznik był podobny rysiowi rannemu,
Który z drzewa ma skoczyć w oczy myśliwemu,
Wydyma się kłębuszkiem, mruczy, krwawe ślepie
Wyiskrza, wąsy rusza, i ogonem trzepie.

Panie Rębajło, rzekł Ksiądz, już mię nie zatrwożą
Gniewy ludzkie, bo jestem już pod ręką Bożą;
Zaklinam cię na imie Tego co świat zbawił
I na krzyżu zabójcom swoim błogosławił,
I przyjął prośbę łotra; byś się udobruchał,
I to co mam powiedzieć, cierpliwie wysłuchał;
Sam przyznałem się, muszę dla ulgi sumienia
Pozyskać, a przynajmniéj prosić przebaczenia,
Posłuchaj méj spowiedzi; potém zrobisz sobie
Ze mną, co zechcesz. — I tu złożył ręce obie
Jak do pacierza; Klucznik cofnął się zdumiony,
Uderzał ręką w czoło i ruszał ramiony.

A Ksiądz zaczął swą dawną z Horeszką zażyłość
Opowiadać i swoją z jego córką miłość,
I swe s tego powodu s Stolnikiem zatargi.
Lecz mówił nieporządnie, często mięszał skargi
I żale we swą spowiedź, często rzecz przecinał
Jak gdyby już ją kończył, i znowu zaczynał.

Klucznik dzieje Horeszków znający dokładnie,
Całą tę powieść chociaż splątaną bezładnie,
Porządkował w pamięci i dopełniać umiał;
Lecz Sędzia wielu rzeczy zgoła nierozumiał.
Oba pilnie słuchali pochyliwszy głowy,
A Jacek mówił coraz wolniejszemi słowy
I często zarywał się.

* * *

Wszak sam wiesz Gerwazeńku, jak Stolnik zapraszał
Często mnie na biesiady; zdrowie moje wnaszał,
Krzyczał nieraz do góry podniosłszy szklenicę,
Że niemiał przyjaciela nad Jacka Soplicę;
Jak on mnie ściskał! Wszyscy którzy to widzieli
Myślili, że on zemną duszą się podzieli.
On przyjaciel? on wiedział, co się wtenczas działo
W duszy mojéj!

* * *

Tymczasem już szeptała o tém okolica,
Jaki taki gadał mi: ej Panie Soplica
Daremnie konkurujesz, dygnitarskie progi
Zawysokie na Jacka Podczaszyca nogi.
Ja śmiałem się, udając że drwiłem z magnatów
I s córek ich, i niedbam o arystokratów,
Że jeśli bywam u nich, s przyjaźni to robię,
A za żonę nie pojmę tylko równą sobie.
Przecież bodły mi duszę do żywca te żarty;
Byłem młody, odważny, świat był mnie otwarty
W karju gdzie jako wiecie szlachcic urodzony
Jest za równo s Panami kandydat korony!
Wszakże Tęczyński niegdyś s królewskiego domu
Żądał córy, a król mu oddał ją bez sromu.
Sopliców czyż nierówne Tęczyńskim zaszczyty
Krwią, herbem, wierną służbą Rzeczypospolitéj!

* * *

Jak łatwo może człowiek popsuć szczęście drugim
W jednéj chwili; a życiem nie naprawi długiém!
Jedno słowo Stolnika, jakżebyśmy byli
Szczęśliwi! kto wié, może dotąd byśmy żyli,
Może i on przy swojém kochaném dziecięciu,

Przy swojéj pięknéj Ewie, przy swym wdzięcznym
zięciu
Zestarzałby spokojny! może wnuki swoje
Kołysałby! teraz co? nas zgubił oboje,
I sam — i to zabójstwo — i wszystkie następstwa
Téj zbrodni, wszystkie moje biedy i przestępstwa!
Ja skarżyć niemam prawa, ja jego morderca,
Ja skarżyć niemam prawa, przebaczam mu s serca,
Ale i on....

* * *

Żeby już raz otwarcie był mnie zrekuzował,
Bo znał nasze uczucia; gdyby nieprzyjmował
Mych odwiedzin; to kto wié? możebym odjechał,
Pogniewał się, połajał, w końcu go zaniechał;
Ale on chytrze dumny, wpadł na koncept nowy,
Udawał że mu nawet nieprzyszło do głowy
Żeby ja mógł się starać o związek takowy.
A byłem mu potrzebnym, miałem zachowanie
U szlachty, i lubili mnie wszyscy ziemianie.
Więc on niby miłości mojéj niedostrzegał,
Przyjmował mnie jak dawniéj, a nawet nalegał
Abym częściéj przyjeżdżał; a ilekroć sami
Byliśmy, widząc oczy me przyćmione łzami
I pierś zbyt pełną i już wybuchnąć gotową,

Chytry starzec, wnet wrzucił obojętne słowo
O processach, sejmikach, łowach —

* * *

Ach nie raz przy kieliszkach, gdy się tak rozrzewniał,
Gdy mię tak ściskał i o przyjaźni zapewniał
Potrzebując méj szabli, lub kreski na sejmie,
Gdy musiałem nawzajem ściskać go uprzejmie,
To tak we mnie złość wrzała, że ja obracałem
Slinę w gębie, a dłonią rękojeść ściskałem,
Chcąc plunąć na tę przyjaźń i wnet szabli dostać;
Ale Ewa zważając mój wzrok i mą postać,
Zgadywała niewiem jak, co się we mnie działo.
Patrzyła błagająca, lice jéj bledniało,
A był to taki piękny gołąbek, łagodny,
I wzrok miała uprzejmy taki! tak pogodny!
Taki anielski, że już niewiem, już niemiałem
Odwagi zagniewać ją, zatrwożyć — milczałem.
I ja zawadjaka sławny w Litwie całéj,
Co przedemną największe Pany nieraz drżały,
Com nieżył dnia bez bitki, co nie Stolnikowi
Ale bym się pokrzywdzić niedał i królowi;
Co we wściekłość najmniejsza wprawiała mnie
sprzeczka,

Ja wtenczas zły i pijany, milczał jak owieczka!
Jak gdybym sanktissimum ujrzał!

* * *

Ileż to razy chciałem serce me otworzyć,
I już się nawet przed nim do prożb upokorzyć,
Lecz spojrzawszy mu w oczy, spotkawszy wejrzenia
Zimne jak lód, wstyd mi był mojego wzruszenia;
Spieszyłem znowu jak najzimniéj dyskurować
O sprawach, o sejmikach, a nawet żartować.
Wszystko to prawda s pychy, żeby nie ubliżyć
Imieniowi Sopliców, żeby się nie zniżyć
Przed Panem prożbą próżną, nie dostać odmowy,
Bo jakieżby to były między szlachtą mowy,
Gdyby wiedziano, że Jacek.....

* * *

Soplicy Horeszkowie odmówili dziewkę!
Że mnie Jackowi czarną podano polewkę!

W końcu sam już nie wiedząc jak sobie poradzić,
Umyśliłem ze szlachty mały półk zgromadzić
I opuścić na zawsze powiat i Ojczyznę,
Wynieść się gdzie na Moskwę lub na Tatarszczyznę
I zacząć wojnę. Jadę pożegnać Stolnika,

W nadziei że gdy ujrzy wiernego stronnika,
Dawnego przyjaciela, prawie domownika,
S którym pił i wojował przez tak długie lata,
Teraz żegnającego i kędyś w kraj świata
Jadącego — że może starzec się poruszy
I pokaże mi przecież trochę ludzkiéj duszy,
Jak ślimak rogów!

Ach! kto choć na dnie serca ma dla przyjaciela
Choćby iskierkę czucia, gdy się z nim rozdziela,
Dobędzie się iskierka ta przy pożegnaniu
Jako ostatni płomyk życia przy skonaniu!
Raz ostatni dotknąwszy przyjaciela skroni,
Częstokroć najzimniejsze oko łzę uroni!

* * *

Biedna słysząc o moim odjezdzie, pobladła
Bez przytomności, ledwie że trupem niepadła,
Nie mogła nic przemówić, aż się jéj rzuciły
Strumieniem łzy — poznałem jak byłem jéj miły!

* * *

Pomnę pierwszy raz w życiu jam się łzami zalał
Z radości i z rospaczy, zapomniał się, szalał,
Już chciałem znowu upaść ojcu jéj pod nogi,

Wić się jak wąż u kolan, wołać: ojcze drogi
Weź za syna lub zabij! Wtém Stolnik posępny
Zimny jako słup soli, grzeczny, obojętny,
Wszczął dyskurs, o czém? o czém? córki weselu!
W téj chwili! o Gerwazy? uważ przyjacielu,
Masz ludzkie serce!

.....Stolnik rzekł: Panie Soplica,
Właśnie przyjechał do mnie swat Kasztelanica,
Ty jesteś mój przyjaciel, cóż ty mówisz na to?
Wiesz Wasze, że mam córkę piękną i bogatą,
A Kasztelan Witepski! wszakże to w Senacie
Niskie, drążkowe krzesło, cóż mi radzisz bracie?
Nie pamiętam już zgoła co mu na to rzekłem,
Podobno nic — na konia wsiadłem i uciekłem!

* * *

Jacku! zawołał Klucznik, mądre ty przyczyny
Wynajdujesz, cóż? one nie zmniejszą twéj winy!
Bo wszakże zdarzało się już nie raz na świecie,
Że kto pokochał pańskie lub królewskie dziecie,
Starał się gwałtem zdobyć, przemyślał wykradać,
Mścić się otwarcie — ale tak chytrze śmierć zadać!
Panu Polskiemu! w Polszcze, i w zmowie z Moskalem!

—Nie byłem w zmowie, Jacek odpowiedział z żalem.
Gwałtem porwać? wszak mógłbym, z za krat i za
klamek
Wydarłbym ją, rozbiłbym w puch ten jego zamek!
Miałem za sobą Dobrzyn i cztery Zaścianki.
Ach gdyby ona była jak nasze szlachcianki!
Silna i zdrowa! gdyby ucieczki, pogoni
Nie zlękła się, i mogła słuchać szczęku broni!
Lecz ona biédna! tak ją rodzice pieścili,
Słaba, lękliwa! był to robaczek motyli,
Wiosenna gąsienniczka! i tak ją zagrabić,
Dotknąć ją zbrojną ręką, byłoby ją zabić,
Nie mogłem. Nie.

Mścić się otwarcie, szturmem zamek zwalić w gruzy,
Wstyd, boby powiedziano żem mścił się rekuzy!
Kluczniku, twoje serce poczciwe nie umie
Uczuć, ile jest piekła w obrażonéj dumie.

Szatan dumy zaczął mi lepsze plany raić,
Zemścić się krwawo, ale powód zemsty taić,
Nie bywać w zamku, miłość s serca wykorzenić,
Puścić w niepamięć Ewę, z inną się ożenić,
A potém, potém jaką wynaleść zaczepkę,
Pomścić się.

I zdało mi się z razu żem już serce zmienił,
I rad byłem z wymysłu i — jam się ożenił,
S pierwszą którąm napotkał dziewczyną ubogą!
Zlem zrobił — jakże byłem ukarany srogo!
Nie kochałem jéj, biedna matka Tadeusza
Najprzywiązańsza do mnie, najpoczciwsza dusza —
Ale ja dawną miłość i złość w sercu dusił,
Byłem jako szalony, darmom siebie musił
Zająć się gospodarstwem albo interessem,
Wszystko na próżno, zemsty opętany biesem,
Zły, opryskliwy, znaleść niemogłem pociechy
W niczém na świecie — i tak z grzechów w nowe
grzechy,
Zacząłem pić.

I tak niedługo żona ma z żalu umarła,
Zostawiwszy to dziécie, a mnie rospacz żarła!

* * *

Jakże mocno musiałem kochać tę niebogę,
Tyle lat! gdziem ja niebył, a dotąd niemogę
Jéj zapomnieć, i zawżdy jéj postać kochana
Stoi mi przed oczyma, jakby malowana!
Piłem, nie mogłem zapić pamięci na chwilę,

Ani pozbyć się, chociaż przebiegłem ziem tyle!
Teraz oto w habicie jestem Bożym sługą,
Na łożu, we krwi — O niéj mówiłem tak długo —
W téj chwili, o tych rzeczach mówić? Bóg wybaczy!
Musicie wiedzieć, w jakim żalu i rospaczy
Popełniłem....

Było to właśnie wkrótce po jéj zaręczynach;
Wszędzie gadano tylko o jéj zaręczynach,
Powiadano, że Ewa gdy brała obrączkę
Z rąk Wojewody, mdlała, że wpadła w gorączkę,
Że ma początki suchot, że ustawnie szlocha,
Zgadywano, że kogoś potajemnie kocha —
Ale stolnik jak zawsze, spokojny, wesoły,
Dawał na zamku bale, zbierał przyjacioły,
Mnie już nie prosił — na cóż byłem mu potrzebny?
Mój bezład w domu, bieda, mój nałóg haniebny,
Podały mnie na wzgardę i na śmiech przed światem!
Mnie, com niegdyś, rzec mogę, trząsł całym powiatem!
Mnie, którego Radziwił nazywał: kochanku!
Mnie com kiedy wyjeżdżał z mojego zaścianku,
To liczniejszy dwór miałem niżeli książęcy!
Kiedym szablę dostawał, to kilka tysięcy
Szabel błyszczało w koło, strasząc zamki pańskie —
A potém ze mnie dzieci śmiały się włościańskie!

Tak zrobiłem się nagle w oczach ludzkich lichy!
Jacek Soplica! — kto zna co jest czucie pychy...

Tu Bernardyn osłabiał i upadł na łoże,
A Klucznik rzekł wzruszony: Wielkie sądy Boże!
Prawda! prawda! więc to ty? i tyżeśto Jacku!
Soplico? pod kapturem? żyłeś po żebracku!
Ty którego pamiętam, gdy zdrowy, rumiany,
Piękny szlachcic, gdy tobie pochlebiały pany,
Gdy za tobą kobiety szalały! Wąsalu!
Nie tak to dawno! takeś zestarzał się z żalu!
Jakżem ciebie nie poznał po owym wystrzale,
Kiedyś tak to niedźwiedzia trafił doskanale?
Bo nad ciebie nie miała strzelca Litwa nasza,
Byłeś także po Maćku pierwszy do pałasza!
Prawda! o tobie niegdyś śpiewały szlachcianki:
Oto Jacek wąs kręci, trzęsą się Zaścianki,
A komu na swym wąsie węzełek zawiąże,
Ten zadrży, choćby to był sam Radziwił książe.
Zawiązałeś ty węzeł i mojemu Panu!
Nieszczęśniku! i tyżeś? do takiego stanu?
Jacek Wąsal Kwestarzem! wielkie sądy Boże!
I teraz! ha! beskarnic ujść tobie nie może,
Przysiągłem, kto Horeszków krwi kroplę wysączył...

Tymczasem Ksiądz na łożu usiadł, i tak kończył:
Jeździłem koło zamku; ile biesów w głowie
I w sercu miałem, kto ich imiona wypowie!
Stolnik? zabija dziécie własne, mnie już zabił,
Zniszczył?— jadę pod bramę, szatan mnię tam wabił.
Patrz jak on hula! co dzień w zamku pijatyka,
Ile świec w oknach, jaka brzmi w salach muzyka!
I ten zamek na łysą głowę mu nie runie —
Pomyśl o zemście, to wnet szatan broń podsunie.
Ledwiem pomyślił, szatan nasyła Moskali,
Stałem patrząc; wiesz jak wasz zamek szturmowali.

* * *

Bo fałsz, żebym był w jakiéj z Moskalami zmowie.

* * *

Patrzyłem; różne myśli snuły się po głowie.
Z razu z uśmiechem głupim iak na pożar dziecko
Patrzyłem, potém radość uczułem zbojecką,
Czekając rychło zacznie palić się i walić,
Czasem myśl przychodziła skoczyć, ją ocalić,
Nawet Stolnika —

* * *

Broniliście się, ty wiesz, dzielnie i przytomnie,
Zdziwiłem się; Moskale padali w koło mnie,
Bydlęta, źle strzelają — na widok ich klęski
Złość mię znowu porwała — Ten Stolnik zwycięski!
I także mu na świecie wszystko się powodzi?
I s téj strasznéj napaści s tryumfem wychodzi?
Odjeżdżałem ze wstydem — właśnie był poranek,
W tém ujrzałem, poznałem, wystąpił na ganek,
I brylantową szpinką ku słońcu migotał,
I wąs pokręcał dumnie, i wzrok dumny miotał,
I zdało mi się że mnie szczególniéj urągał,
Że mnie poznał, i ku mnie rękę tak wyciągał,
Szydząc i grożąc — Chwytam karabin Moskala,
Ledwiem przyłożył, prawie niemierzył — wypala!
Wiesz!

Przeklęta broń ognista! kto mieczem zabija,
Musi składać się, natrzeć, odbija, wywija,
Może rozbroić wroga, miecz w pół drogi wstrzymać;
Ale ta broń ognista, dosyć zamek imać,
Chwila, jedna iskierka...

* * *

Czyż uciekałem, kiedyś mierzył do mnie z góry?
Utkwiłem oczy we dwie twojéj broni rury,

Rospacz jakaś! żal dziwny do ziemi przybił!
Czemuż? ach mój Gerwazy, czemuś wtenczas chybił?
Łaskę byś zrobił! widać za pokutę grzechu
Trzeba było... —

Tu znowu brakło mu oddechu.
—Bóg widzi, rzecze Kluczn[1]k, szczerze trafić chciałem!
Ileż ty krwi wylałeś twoim jednym strzałem,
Ileż klęsk spadło na nas i na twą rodzinę,
A wszystko to przez Waszą Panie Jacku winę.
A wszakże gdy dziś Jegry Hrabię na cel wzięli,
Ostatniego z Horeszków chociaż po kądzieli,
Tyś go zasłonił, i gdy Moskal do mnie palił,
Tyś mnie rzucił o ziemię, tak nas dwóch ocalił.
Jeśli prawda że jesteś księdzem zakonnikiém,
Jużci sukienka broni cię przed scyzorykiem.
Bądź zdrów, więcéj na waszym nie postanę progu,
Z nami kwita, — zostawmy resztę Panu Bogu.

Jacek rękę wyciągnął, — cofnął się Gerwazy,
Nie mogę, rzekł, bez mego szlachectwa obrazy
Dotykać rękę, takiém morderstwem skrwawioną
S prywatnéj zemsty, nie zaś pro publico bono.

Ale Jacek s poduszek na łoże upadłszy,

Zwrócił się ku Sędziemu, a był coraz bladszy,
I niespokojnie pytał o Księdza Plebana,
I wołał na Klucznika: zaklinam Wacpana
Abyś został, wnet skończę, ledwie mam dość mocy
Zakończyć — Panie Klucznik — — ja umrę téj nocy!

Co bracie? krzyknął Sędzia, widziałem, wszak rana
Nie wielka, co ty mówisz? po Księdza Plebana;
Może źle opatrzono — zaraz po doktora,
W apteczce jest... Ksiądz przerwał: bracie już nie pora.
Miałem tam strzał dawniejszy, dostałem pod Jena,
Źle zgojony, a teraz draśniono — gangrena
Już tu — znam się na ranach, patrz jaka krew czarna
Jak sadza, co tu doktor, ale to rzecz marna,
Raz umieramy, jutro czy dziś oddać duszę —
Panie Klucznik, przebaczysz mnie, ja skończyć muszę!

* * *

Jest w tém zasługa niechcieć zostać winowajcą
Narodowym, choć naród okrzyczy cię zdrajcą!
Zwłaszcza w kim taka jaka była we mnie duma!

* * *

Imie zdrajcy przylgnęło do mnie jako dżuma.

Odwracali odemnie twarz obywatele,
Uciekali odemnie dawni przyjaciele,
Kto był lękliwy, zdala witał się i stronił;
Nawet lada chłop, lada żyd, choć się pokłonił,
To mię z boku szyderskim przebijał uśmiechem;
Wyraz zdrajca brzmiał w uszach, odbijał się echem
W domie, w polu, ten wyraz od rana do zmroku
Wił się przedemną, jako plama w chorym oku.
Przecież niebyłem zdrajcą kraju.

Moskwa mnie uważała gwałtem za stronnika,
Dano Soplicom znaczną część dóbr nieboszczyka,
Targowiczanie potém chcieli mnie zaszczycić
Urzędem — Gdybym wtenczas chciał się przemoskwicić!
— Szatan radził — już byłem możny i bogaty,
Gdybym został Moskalem? najpierwsze magnaty
Szukałyby mych względów; nawet szlachta braty,
Nawet gmin, który swoim tak łacnie uwłacza,
Tym którzy Moskwie służą, szczęśliwszym przebacza!
Wiedziałem to, a przecież — niemogłem.

* * *

Uciekłem s kraju!
Gdziem niebył! com nie cierpiał!

* * *

Aż Bóg raczył lekarstwo jedyne objawić.
Poprawić się potrzeba było, i naprawić
Jle możności to....

* * *

Córka Stolnika ze swym mężem Wojewodą,
Gdzieś w Sybir wywieziona, tam umarła młodo,
Zostawiła tę w kraju córkę, małą Zosię,
Kazałem ją hodować.

* * *

Bardziéj niźli z miłości, może z głupiéj pychy
Zabiłem; więc pokora, wszedłem między mnichy,
Ja niegdyś dumny z rodu, ja com był junakiem,
Spuściłem głowę, kwestarz, zwałem się Robakiem
Że jako Robak w prochu...

Zły przykład dla Ojczyzny, zachętę do zdrady
Trzeba było okupić dobremi przykłady,
Krwią, poświęceniem się...

Biłem się za kraj; gdzie? jak? zmilczę; nie dla chwały
Ziemskiéj, biegłem tyle kroć ma miecze, na strzały,

Miléj sobie wspominam, nie dzieła waleczne
I głośne, ale czyny ciche, użyteczne.
I cierpienia których nikt...

Udało mi się nie raz do kraju przedzierać,
Roskazy wodzów nosić, wiadomości zbierać,
Układać zmowy — znają i Galicyanie
Ten kaptur mnisi — znają i Wielkopolanie!
Pracowałem przy taczkach rok w pruskiéj fortecy,
Trzy razy Moskwa kijmi zraniła me plecy,
Raz już wiedli na Sybir; potém Austryjacy,
W Szpilbergu zakopali mnie w lochach do pracy,
W Carcer durum, — A Pan Bóg wybawił mnie cudem
I pozwolił umierać między swoim ludem
S sakramentami.

Może i teraz, kto wie? możem znowu zgrzeszył!
Możem nad rozkaz wodzów powstanie przyśpieszył!
Ta myśl że dom Sopliców pierwszy się uzbroi,
Że pierwszą Pogoń w Litwie zatkną krewni moi!...
Ta myśl... zdaje się czysta...

Chciałeś zemsty? masz! boś ty był narzędziem kary
Bożéj! twoim Bóg mieczem rozciął me zamiary.
Tyś wątek spisku tyle lat snowany splątał!

Cel wielki, który całe życie me zaprzątał,
Ostatnie moje ziemskie uczucie na świecie,
Którem tulił, hodował, jak najmilsze dziecie,
Tyś zabił w oczach ojca, a jam ci przebaczył!
Ty!...

— Oby tylko równie Bóg przebaczyć raczył,
Przerwał Klucznik; jeżeli masz przyjąć wijatyk
Księże Jacku, toć ja nie luter, nie syzmatyk!
Kto umierającego smuci, wiem że grzeszy.
Powiem tobie coś, pewnie to ciebie pocieszy.
Kiedy nieboszczyk Pan mój upadał zraniony,
A ja klęcząc nad jego piersią pochylony,
I krew maczając w ranę, zemstę zaprzysiągnął,
Pan głowę wstrząsnął, rękę ku bramie wyciągnął
W stronę gdzie stałeś, i krzyż w powietrzu naznaczył;
Mówić nie mógł, lecz dał znak, że zbójcy przebaczył.
Ja też pojąłem, ale tak się z gniewu wściekłem,
Że o tym krzyżu nigdy i słowa nierzekłem.

Tu rozmowę przerwały chorego cierpienia,
I nastąpiła długa godzina milczenia.
Oczekują Plebana — Podkowy zagrzmiały,
Zastukał do komnaty Arędarz zdyszały,
List ma ważny, samemu Jackowi pokaże;
Jacek bratu oddaje, głośno czytać każe.

List od Fiszera, który był natenczas Szefem
Sztabu armii Polskiéj pod Księciem Józefem.
Donosi, że w Cesarskim tajnym gabinecie,
Stanęła wojna; Cesarz już po całym świecie
Ogłasza ją; Sejm walny w Warszawie zwołany,
I skonfederowane Mazowieckie Stany
Wyrzeką uroczyście przyłączenie Litwy.

Jacek słuchając, cicho odmówił modlitwy,
Przycisnąwszy do piersi święconą gromnicę
Podniosł w niebo zatlone nadzieją źrenice,
I zalał się ostatnich łez roskosznych zdrojem.
— Teraz, rzekł, Panie, sługę twego puść s pokojem!

Wszyscy uklękli; a w tém ozwał się pod progiem
Dzwonek, znak że przyjechał Pleban s Panem Bogiem.

Właśnie już noc schodziła, i przez niebo mleczne
Różowe, biegą pierwsze promyki słoneczne,
Wpadły przez szyby jako strzały brylantowe,
Odbiły się na łożu o chorego głowę,
I ubrały mu złotem oblicze i skronie,
Że błyszczał jako święty w ognistéj koronie

Księga jedenasta.

ROK 1812.

TREŚĆ.

Wróżby wiosenne — Wkroczenie wojsk — Nabożeństwo Rehabilitacya urzędowa s. p. Jacka Soplicy — Z rozmów Gerwazego i Protazego wnosić można bliski koniec processu — Umizgi ułana z dziewczyną — Rostrzyga się spor o Kusego i Sokoła — Zaczém goście zgromadzają się na biesiadę — Przedstawienie wodzom par narzeczonych.

O roku ów! kto ciebie widział w naszym kraju!
Ciebie lud zowie dotąd rokiem urodzaju,
A żołnierz rokiem wojny: dotąd lubią starzy
O tobie bajać, dotąd pieśń o tobie marzy.
Z dawna byłeś niebieskim oznajmiony cudem
I poprzedzony głuchą wieścią między ludem;
Ogarnęło Litwinów serca z wiosny słońcem

Jakieś dziwne przeczucie, jak przed świata końcem,
Jakieś oczekiwanie tęskne i radośne.

Kiedy pierwszy raz bydło wygnano na wiosnę,
Uważano, że chociaż zgłodniałe i chude,
Nie biegło na ruń co już umaiła grudę,
Lecz kładło się na rolę i schyliwszy głowy,
Ryczało, albo żuło swój pokarm zimowy.

I wieśniacy ciągnący na jarzynę pługi
Nie cieszą się jak zwykle s końca zimy długiéj,
Nie śpiewają piosenek, pracują leniwo,
Jakby nie pamiętali na zasiew i żniwo.
Co krok wstrzymują woły i podjezdki w bronie
I poglądają s trwogą ku zachodniéj stronie,
Jakby s téj strony miał się objawić cud jaki.
I uważają s trwogą wracające ptaki.
Bo już bocian przyleciał do rodzinnéj sosny
I rospiął skrzydła białe, wczesny sztandar wiosny;
A za nim krzykliwemi nadciągnąwszy pułki,
Gromadziły się po nad wodami jaskułki,
I z ziemi zmarzłéj brały błoto na swe domki.
W wieczor słychać w zaroślach szept ciągnącéj słomki;
I stada dzikich gęsi szumią po nad lasem,
I znużone na popas spadają z hałasem,

A w głębi ciemnéj nieba, wciąż jęczą żurawie.
Słysząc to nocni stróże pytają w obawie,
Skąd w królestwie skrzydlatém tyle zamieszania,
Jaka burza te ptaki tak wcześnie wygania.

Aż oto nowe stada, jakby gilów, siewek,
I szpaków, stada jasnych kit i chorągiewek
Zajaśniały na wzgórkach, spadają na błonie.
Konnica! dziwne stroje, niewidziane bronie,
Półk za półkiem, a środkiem, jak stopione śniegi,
Płyną drogami kute żelazem szeregi;
Z lasów czernią się czapki, rzęd bagnetów błyska,
Roją się nieźliczone piechoty mrowiska.

Wszyscy na północ: rzekłbyś że w on czas z wyraju
Za ptastwem i lud ruszył do naszego kraju,
Pędzony niepojętą, instynktową mocą.

Konie, ludzie, armaty, orły, dniem i nocą
Płyną; na niebie gorą tu i ówdzie łuny,
Ziemia drży, słychać biją stronami pioruny —

Wojna! wojna! Niebyło w Litwie kąta ziemi,
Gdzieby jéj huk nie doszedł; pomiędzy ciemnemi
Puszczami, chłop którego dziady i rodzice

Pomarli nie wyjrzawszy za lasu granice,
Który innych na niebie nie rozumiał krzyków
Prócz wichrów, a na ziemi prócz bestyi ryków,
Gości innych nie widział oprócz spółleśników;
Teraz widzi na niebie, dziwna łuna pała,
W puszczy łoskot, to kula od jakiegoś działa
Zbłądziwszy s pola bitwy, dróg w lesie szukała,
Rwąc pnie, siekąc gałęzie. Żubr brodacz sędziwy
Zadrżał we mchu, najeżył długie włosy grzywy,
Wstaje na wpół, na przednich nogach się opiera,
I potrząsając brodą zdziwiony spoziera,
Na błyskające nagle między łomem zgliszcze:
Był to zbłąkany granat, kręci się, wre, świszcze,
Pękł z hukiem jakby piorun; żubr pierwszy raz
w życiu
Zląkł się i uciekł w głębszém schować się ukryciu.

Bitwa! gdzie? w któréj stronie? pytają młodzieńce,
Chwytają broń, kobiety wznoszą w niebo ręce,
Wszyscy pewni zwycięstwa, wołają ze łzami:
Bóg jest z Napoleonem, Napoleon z nami!

O wiosno! kto cię widział wtenczas w naszym kraju,
Pamiętna wiosno wojny, wiosno urodzaju,
O wiosno, kto cię widział jak byłaś kwitnąca

Zbożami i trawami a ludźmi błyszcząca,
Obfita we zdarzenia, nadzieją brzemienna!
Ja ciebie dotąd widzę piękna maro senna!
Urodzony w niewoli, okuty w powiciu,
Ja tylko jedną taką wiosnę miałem w życiu.

Soplicowo leżało tuż przy wielkiéj drodze,
Którą od strony Niemna ciągnęli dwaj wodze:
Nasz Książe Józef i król Westfalski Hieronim.
Już zajęli część Litwy od Grodna po Słonim,
Gdy król roskazał wojsku dać trzy dni wytchnienia.
Ale polscy żołnierze mimo utrudzenia,
Skarżyli się, że król im marszu niedozwala,
Tak radziby co prędzéj doścignąć Moskala.

W mieście pobliskiém stanął główny sztab książęcy,
A w Soplicowie oboz czterdziestu tysięcy,
I ze sztabami swemi Jenerał Dąbrowski,
Kniaziewicz, Małachowski, Giedrojć i Grabowski.

Późno było gdy weszli; więc każdy gdzie może,
Zabierają kwatery w zamczysku, we dworze;
Skoro dano roskazy, rosstawiono czaty,
Każdy strudzony poszedł spać do swéj komnaty.
Z nocą wszystko ucichło: obóz, dwór i pole;

Widać tylko jak cienie, błądzące patrole,
I gdzie nie gdzie błyskania ognisk obozowych,
Słychać kolejne hasła stanowisk wojskowych.

Spali, gospodarz domu, wodze i żołnierze;
Oczu tylko Wojskiego sen słodki nie bierze;
Bo Wojski ma na jutro biesiadę wyprawić,
Którą chce dom Sopliców na wiek wieków wsławić:
Biesiadę godną miłych sercom polskim gości,
I odpowiedną wielkiéj dnia uroczystości,
Co jest świętem kościelném i świętem rodziny;
Jutro odbyć się mają trzech par zaręczyny.
Zaś Jenerał Dąbrowski oświadczył z wieczora,
Że chce mieć obiad polski.

Choć spóźniona pora,
Wojski zebrał co prędzéj s sąsiedztwa kucharzy;
Pięciu ich było, służą, on sam gospodarzy.
Jako kuchmistrz białym się fartuchem opasał,
Wdział szlafmycę a ręce do łokciów zakasał;
W ręku ma plackę muszą, owad ladajaki
Odpędza, wpadający chciwie na przysmaki;
Drugą ręką przetarte okulary włożył,
Dobył z zanadrza księgę, odwinął, otworzył.

Księga ta miała tytuł: **Kucharz doskonały.**
W niéj spisane dokładnie wszystkie specyały

Stołów polskich; podług niéj Hrabia na Tęczynie
Dawał owe biesiady we Włoskiéj krainie,
Którym się Ojciec święty Urban ósmy dziwił;
Podług niéj później Karól-Kochanku-Radziwił,
Gdy przyjmował w Nieświżu króla Stanisława,
Sprawił pamiętną ową ucztę, któréj sława
Dotąd żyje na Litwie we gminnéj powieści.

Co Wojski wyczytawszy pojmie i obwieści,
To natychmiast Kucharze robią umiejętni.
Wre robota, pięćdziesiąt nożów w stoły tętni,
Zwijają się kuchciki czarne jak szatany:
Ci niosą drwa, ci z mlekiem i z winem sagany,
Leją w kotły, skowrody, w rądle, dym wybucha;
Dwóch kuchcików przy piecu siedzi, w mieszki dmucha,
Wojski ażeby ogień tém łacniéj rospalać,
Roskazał stopionego masła na drwa nalać.
(Zbytek ten dozwolony jest w dostatnim domu)
Kuchciki sypią w ogień suche pęki łomu.
Inni na rożny sadzą ogromne pieczenie.
Wołowe, sarnie, cąbry dzicze i jelenie;
Ci skubią stosy ptastwa, lecą puchów chmury,
Obnażają się głuszce, cietrzewie i kury.
Lecz kur nie wiele było; od owéj wyprawy
Którą w czasie zajazdu, Dobrzyński Sak krwawy

Zrobił na kurnik, kędy Zosi gospodarstwo
Zniszczył, nie zostawiwszy sztuki na lekarstwo:
Jeszcze nie mogło ptastwem zakwitnąć na nowo,
Sławne niegdyś ze drobiu swego Soplicowo.
Z resztą zaś miąs wszelakich był wielki dostatek,
Co się zgromadzić dało i z domu i z jatek,
I z lasów i s sąsiedztwa, zbliska i z daleka:
Rzekłbyś, ptasiego tylko niedostaje mleka.
Dwie rzeczy których hojny Pan do uczty szuka,
Łączą się w Soplicowie: dostatek i sztuka.

Już wschodził uroczysty dzień **Najświętszéj Panny** Kwietniéj; pogoda była prześliczna, czas ranny,
Niebo czyste w około ziemi obciągnięte,
Jako morze wiszące, ciche, wklęsło-wgięte;
Kilka gwiazd świeci z głębi, jako perły ze dna
Przez fale; z boku chmurka biała, sama jedna,
Podlatuje i skrzydła w błękicie zanurza,
Podobne do niknących piór Anioła stróża,
Który nocną modlitwą ludzi przytrzymany
Spóźnił się, śpieszy wracać między spółniebiany.

Już ostatnie perły gwiazd zamierzchły, i na dnie
Niebios zgasły, i niebo środkiem czoła bladnie,
Prawą skronią złożone na węzgłowiu cieni

Jeszcze smagławe, lewą coraz się rumieni;
A daléj okrąg jakby powieka szeroka
Rozsuwa się, i w środku widać białek oka,
Widać tęczę, źrenicę — już promień wytrysnął,
Po okrągłych niebiosach wygięty przebłysnął,
I w białéj chmurce jako złoty grot zawisnął.
Na ten strzał, na dnia hasło, pęk ogniów wylata,
Tysiąc rac krzyżuje się po okręgu świata,
A oko słońca weszło — jeszcze nieco senne
Przymruża się, drżąc wstrząsa swe rzęsy promienne,
Siedmią barw błyszczy razem: szafirowe razem,
Razem krwawi się w rubin i żółknie topazem,
Aż rozlśniło się jako kryształ przezroczyste,
Potém jak brylant światłe, nakoniec ogniste,
Jak księżyc wielkie, jako gwiazda migające:
Tak po niezmiernėm niebie szło samotne słońce.

Dziś pospólstwo Litewskie s całéj okolicy
Zebrało się przed wschodem w około kaplicy,
Jak gdyby na nowego ogłoszenie cudu.
Zbiór ten pochodził w części s pobożności ludu,
A w części s ciekawości: bo dziś w Soplicowie
Na nabożeństwie mają być Jenerałowie,
Sławni dowódzcy owi naszych legionów,
Których lud znał imiona i czcił jak patronów,

Których wszystkie tułactwa, wyprawy i bitwy
Były ewangelią narodową Litwy.

Już przyszło officerów kilku, tłum żołnierzy;
Lud ich otacza, patrzy, ledwie oczom wierzy,
Oglądając rodaków mundury noszących,
Zbrojnych, wolnych i polskim językiem mówiących.

Wyszła msza — nieobejmie świątynia maleńka
Całego zgromadzenia; lud na trawie klęka,
Patrząc we drzwi kaplicy, odkrywają głowy:
Włos Litewskiego ludu biały albo płowy,
Pozłacał się jako łan dojrzałego żyta;
Gdzie niegdzie kraśna główka dziewicza wykwita,
Ubrana w świeże kwiaty, albo w pawie oczy,
I wstęgi rosplecione, ozdoby warkoczy,
Śród głów męskich jak w zbożu bławat i kąkole.
Klęczący różnobarwy tłum okrywa pole,
A na głos dzwonka, niby na wiatru powianie,
Chylą się wszystkie głowy jak kłosy na łanie.

Wieśniaczki dziś na ołtarz Matki Zbawiciela,
Niosą pierwszy dar wiosny, świéże snopki ziela;
Wszystko w koło ubrane w bukiety i w wianki,
Ołtarz, obraz, a nawet dzwonica i ganki.

Czasem poranny wietrzyk, gdy ze wschodu wionie,
Zrywa wianki i rzuca na klęczących skronie,
I rozlewa jak s mszalnéj kadzielnicy wonie.

A gdy w kościele było po mszy i kazaniu,
Wyszedł przewodniczący całemu zebraniu
Podkomorzy, niedawno przez Powiatu Stany
Zgodnie Konfederackiem Marszałkiem obrany.
Miał mundur Województwa, żupan złotem szyty,
Kontusz gredyturowy s frendzlą i pas lity,
Przy którym karabella z głównią jaszczurową,
Na szyi świecił wielką szpilką brylantową,
Konfederatka biała, a na niéj pęk gruby
Drogich piórek, były to białych czapel czuby.
(Na fest kładnie się tylko kitka tak bogata,
Której każde pióreczko kosztuje dukata.)
Tak ubrany, na wzgórek wstąpił przed kościołem,
Wieśniacy i żołnierstwo ścisnęło się kołem,
On rzekł:

— Bracia! ogłosił wam Ksiądz na Ambonie
Wolność, którą Cesarz-Król przywrócił Koronie,
A teraz Litewskiemu Księstwu, Polszcze całéj
Przywraca; słyszeliście rządowe uchwały
I zwołujące Walny Sejm uniwersały.

Ja tylko mam słów parę przemówić do gminy,
W rzeczy, która się tyczy Sopliców rodziny,
Tutejszych panów.

Cała pomni okolica;
Co tu zbroił nieboszczyk — Pan Jacek Soplica,
Ale kiedy o grzechach wszyscy wiecie,
Czas i zasługi jego ogłosić na świecie:
Obecni tu są naszych Wojsk Jenerałowie,
Od których usłyszałem wszystko co wam mowię.
Ten Jacek nie był umarł (jak głoszono) w Rzymie,
Tylko odmienił życie dawne, stan i imie;
A wszystkie przeciw Bogu i Ojczyznie winy
Zgładził, przez żywot święty i przez wielkie czyny.
On to pod Hohenlinden, gdy Ryszpans Jenerał
Na pół pobity już się do odwrotu zbierał
Nie wiedząc że Kniaziewicz ciągnie ku odsieczy,
On to Jacek, zwan Robak, wśród grotów i mieczy
Przeniosł od Kniaziewicza listy Ryszpansowi,
Donoszące że nasi biorą tył wrogowi.
On potém w Hiszpanii, gdy nasze ułany
Zdobyły Samosyery grzbiet oszańcowany,
Obok Kozietulskiego był ranny dwa razy!
Następnie, jak wysłaniec s tajnemi rozkazy
Biegał po różnych stronach ducha ludzi badać,

Towarzystwa tajemne wiązać i zakładać;
Nakoniec, w Soplicowie w swém ojczystém gnieździe
Gdy gotował powstanie, zginął na zajeździe.
Właśnie o jego śmierci nadeszła wiadomość
Do Warszawy w tę chwilę, gdy Cesarz Jegomość
Raczył mu dać za dawne czyny bohaterskie
Legji honorowéj znaki kawalerskie.

Owoż te wszystkie rzeczy mając na uwadze,
Ja Reprezentujący Województwa władzę,
Moją Konfederacką ogłaszam wam laską;
Że Jacek wierną służbą i Cesarską łaską
Zniosł infamii plamę, powraca do cześci,
I znowu się w rzęd prawych patryotów mieści;
Więc kto będzie śmiał Jacka zmarłego rodzinie
Wspomnieć kiedy o dawnéj zagładzonéj winie,
Ten podpadnie za karę takiego wyrzutu,
Gravis notæ maculæ; wedle słów Statutu
Karzących tak militem jak i skartabella,
Coby siał infamiją na obywatela;
A że teraz jest równość, więc artykuł trzeci
Obowiązuje równie i mieszczan i kmieci.
Ten wyrok Marszałkowski, pan Pisarz umieści
W aktach Jeneralności, a Woźny obwieści.

Co się tyczé legii honorowéj krzyża,

Że późno przyszedł, nic to sławie nieubliża;
Jeśli Jackowi nie mógł służyć ku ozdobie,
Niech służy ku pamiątce, wieszam go na grobie.
Trzy dni tu będzie wisiał, potém do kaplicy
Złoży się, jako wotum dla Boga-Rodzicy.

To powiedziawszy, order wydobył s pokrowca,
I zawiesił na skromnym krzyżyku grobowca
Uwiązaną w kokardę wstążeczkę czerwoną
I krzyż biały gwiaździsty ze złotą koroną;
Przeciw słońcu promienie gwiazdy zajaśniały,
Jako ostani odbłysk ziemskiéj Jacka chwały.
Tymczasem lud na klęczkach Anioł Pański mowi
Upraszając o wieczny pokój grzesznikowi,
Sędzia obchodzi gości i wiejską gromadę,
Wszystkich do Soplicowa wzywa na biesiadę.

Ale na przyźbie domu usiedli dwaj starce,
Mając u kolan pełne miodu dwa półgarce;
Patrzą w sad, gdzie wśród pączków barwistego maku
Stał ułan jak słonecznik, w błyszczącym kołpaku
Strojnym blachą złocistą i piórem koguta,
Przy nim dziewcze w zielonéj sukience jak ruta
Pozioma, wznosi oczki błękitne jak bratki
Ku oczom chłopca, daléj Panny rwały kwiatki

Po ogrodzie, umyślnie odwracając głowy
Od kochanków, żeby im nie mięszać rozmowy.

Ale starce miód piją, tabakierką s kory
Częstując się nawzajem, toczą rozhowory.

Tak, tak, mój Protazeńku, rzekł Klucznik Gerwazy.
Tak, tak, mój Gerwazeńku, rzekł Woźny Protazy,
Tak to, tak! powtórzyli zgodnie kilka razy
Kiwając w takt głowami; wreszcie Woźny rzecze:
Iż proces nasz skończy się dziwnie, ja nie przeczę;
Wszakże były przykłady; pamiętam processy,
W których się działy gorsze niż u nas excessy,
A intercyza cały zakończyła kłopot:
Tak z Borzdobatymi pogodził się Łopot,
Krepsztulowie s Kupściami, Putrament s Pikturną,
Z Odyńcami Mackiewicz, s Kwileckimi Turno.
Co mówię! wszak Polacy miewali zamieszki
Z Litwą, gorsze niżeli s Soplicą Horeszki,
A gdy na rozum wzięła królowa Jadwiga,
To się bez sądów owa skończyła intryga.
Dobrze gdy strony mają panny albo wdowy
Na wydaniu, to zawsze kompromis gotowy.
Najdłuższy process zwykle bywa z duchowieństwem,
Katolickiém, albo też z bliskiém pokrewieństwem.

Bo wtenczas sprawy skończyć nie można małżeństwem.
Stąd to Lachy z Russami w sporach nieskończonych,
Idąc z Lecha i Russa, dwu braci rodzonych;
Stąd się tyle processów Litewskich ciągnęło
Długo s księżmi Krzyżaki, aż wygrał Jagieło.
Stąd nakoniec pendebat długo przed aktami
Sławny ów process Rymszów z Dominikanami,
Aż wygrał wreszcie Syndyk klasztorny Ksiądz Dymsza,
Skąd jest przysłowie: większy Pan Bóg niż Pan Rymsza;
Ja zaś dołożę, lepszy miód od scyzoryka —
To mówiąc półgarcówką przepił do Klucznika.

Prawda! prawda! rzekł na to Gerwazy wzruszony!
Dziwneć to były losy téj naszéj Korony
I naszéj Litwy! wszakto jak małżonków dwoje!
Bóg złączył, a czart dzieli, Bóg swoje, czart swoje!
Ach bracie Protazeńku! że to oczy nasze
Widzą! że znowu do nas ci Koroniasze
Zawitali! służyłem ja z nimi przed laty,
Pamiętam, dzielne były z nich konfederaty!
Gdyby nieboszczyk Pan mój Stolnik dożył chwili!
O Jacku! Jacku! — lecz cóż będziemy kwilili?
Skoro dziś znowu Litwa łączy się s Koroną,
Toć tém samém już wszystko zgodzono, zgładzono.

I to dziw, rzekł Protazy, że o téj to Zosi,
O któréj rękę teraz nasz Tadeusz prosi,
Było przed rokiem, omen, jakoby znak z nieba!
— Panną Zofią, przerwał Klucznik, zwać ją trzeba,
Bo już dorosła, nie jest dziewczyną maluczką,
Przytém s krwi dygnitarskiéj, jest Stolnika wnuczką.
— Owoż, kończył Protazy, był to znak proroczy
O jéj losie, widziałem znak na własne oczy.
Przed rokiem tu siedziała w święto czeladź nasza
Pijąc miod, alić patrzym: pęc, pada s poddasza
Dwóch wróblów bijących się, oba samcy stare,
Jeden młodszy cokolwiek miał podgarle szare,
Drugi czarne; daléjże tłuc się po podwórzu,
Przewracać kulki, że aż zaryli się w kurzu;
My patrzym, a tymczasem szepcą sobie sługi
Że ten czarny niech będzie Horeszko, a drugi
Soplica; więc ilekroć szary był na górze
Krzyczą, wiwat Soplica, pfe Horeszki tchórze!
A gdy spadał wołali, popraw się Soplica,
Niedaj się magnatowi, to wstyd na szlachcica.
Tak śmiejąc się czekamy, kto kogo pokona;
Wtém Zosieńka nad ptastwem litością wzruszona
Podbiegła i nakryła rączką te rycerze,
Jeszcze się w ręku bili, aż leciało pierze,
Taka była zawziętość w tém maleńkiém lichu.

Baby patrząc na Zosię, gadały po cichu,
Że pewnie przeznaczeniem będzie téj dziewczyny
Pogodzić dwie oddawna zwaśnione rodziny.
A widzę że się dzisiaj ziścił omen babi.
Prawdać to, że naonczas myślano o Hrabi
Nie zaś o Tadeuszu —

Na to Klucznik rzecze:
Dziwne są sprawy w świecie, kto wszystko dociecze!
Ja też powiem Waszeci rzecz choć nie tak cudną
Jak ów omen, a przecież do pojęcia trudną.
Wiesz iż dawniéj radbym był Sopliców rodzinę
W łyszce wody utopić; a tego chłopczynę
Tadeusza, od dziecka nieźmiernie polubił.
Uważałem że gdy się s chłopiętami czubił,
Zawsze ich zbił; więc ilekroć do zamku biegał,
Jam go zawsze do trudnych imprezów podżegał.
Wszystko mu się udało; czy wydrzeć gołębie
Na wieży, czy jemiołę oberwać na dębie,
Czyli z najwyższéj sosny złupić wronie gniazdo,
Wszystko umiał; myśliłem: pod szczęśliwą gwiazdą
Urodził się ten chłopiec, szkoda że Soplica!
Któżby zgadł, że w nim zamku powitam dziedzica!
Męża Panny Zofii, méj Wielmożnéj Pani.

Tu skończyli rozmowę, piją zadumani,

Słychać tylko niekiedy te krótkie wyrazy:
Tak, tak, Panie Gerwazy, — tak Panie Protazy.

Przyzba tykała kuchni, któréj okna stały
Otworem i dym jako s pożaru buchały,
Aż s kłębów dymu niby biała gołębica,
Mignęła świecąca się Kuchmistrza szlafmyca.
Wojski przez okno kuchni, po nad starców głowy,
Wytknąwszy głowę, milczkiem słuchał ich rozmowy,
I podał im nareszcie filiżanki spodek,
Pełen biszkoktów, mówiąc: Zakąście wasz miodek.
A ja wam też opowiem historyą ciekawą
Sporu, który miał bitwą zakończyć się krwawą,
Gdy polujący w głębi Nalibockich lasów
Rejtan, wypłatał sztukę książęciu Denassów.
Téj sztuki omal własném nieprzypłacił zdrowiem;
Jam kłótnię Panów zgodził, jak to wam opowiem.
— Ale Wojskiego powieść przerwali kucharze,
Pytając komu serwis ustawiać rozkaże.

Wojski odszedł, a starcy zaczérpnąwszy miodu,
Zadumani zwrócili oczy w głąb ogrodu,
Gdzie ów dorodny Ułan rozmawiał s Panienką.
Właśnie Ułan ująwszy jéj dłoń lewą ręką,
(Prawą miał na temlaku, widać że był ranny)
S takiemi odezwał się słowami do Panny:

Zofio musisz to mnie koniecznie powiedzieć,
Nim zamienim pierścionki, muszę o tém wiedzieć.
I cóż że przeszłéj zimy byłaś już gotowa
Dać słowo mnie? ja wtenczas nie przyjąłem słowa:
Bo i cóż mnie po takiém wymuszoném słowie.
Wtenczas bawiłem bardzo krótko w Soplicowie,
Niebyłem taki próżny ażebym się łudził,
Żem jedném mém spojrzeniem miłość w tobie wzbudził:
Ja nie fanfaron, chciałem mą własną zasługą
Zyskać twe względy, choćby przyszło czekać długo.
Teraz jesteś łaskawa twe słowo powtórzyć:
Czémże na tyle łaski umiałem zasłyżyć?
Może mnie bierzesz Zosiu nie tak s przywiązania,
Tylko że stryj i ciotka do tego cię skłania;
Ale małżeństwo Zosiu jest rzecz wielkiéj wagi,
Radź się serca własnego, niczyjéj powagi
Tu nie słuchaj, ni stryja groźb ni namów cioci;
Jeśli nie czujesz dla mnie nic oprócz dobroci,
Możem te zaręczyny czas jakiś odwlekać,
Więzić twéj woli niechcę, będziem Zosiu czekać.
Nic nas nienagli, zwłaszcza że wczora wieczorem,
Dano mi rozkaz zostać w Litwie instruktorem
W półku tutejszym, nim się z mych ran nie wyleczę.
I cóż kochana Zosiu?

Na to Zosia rzecze,
Wznosząc głowę i patrząc w oczy mu nie śmiało:
Nie pamiętam już dobrze co się dawniéj działo,
Wiem że wszyscy mówili iż za mąż iść trzebà
Za Pana; ja się zawsze zgadzam z wolą nieba
I z wolą starszych — potem spuściwszy oczęta
Dodała: przed odjazdem jeśli Pan pamięta,
Kiedy umarł Ksiądz Robak w ową burze nocną,
Widziałam, że Pan jadąc żałował nas mocno,
Pan łzy miał w oczach, te łzy powiem Panu szczerze,
Wpadły mnie aż do serca; odtąd Panu wierzę
Że mnie lubisz; ilekroć mówiłam pacierze
Za Pana powodzenie, zawsze przed oczami
Stał Pan s temi dużemi błyszczącemi łzami.
Potem Podkomorzyna do Wilna jeździła,
Wzięła mnie tam na zimę, alem ja tęskniła
Do Soplicowa i do tego pokoiku,
Gdzie mnie Pan naprzód w wieczor spotkał przy stoliku,
Potem pożegnał; niewiem skąd pamiątka Pana,
Coś niby jak rossada w jesieni zasiana,
Przez całą zimę w mojém sercu się krzewiła,
Że jako mówię Panu — ustawniem tęskniła
Do tego pokoiku, i cóś mi szeptało,
Że tam znów Pana znajdę, i tak się też stało.
Mając to w głowie, często też miałam na ustach

Imie Pana — było to w Wilnie na zapustach;
Panny mówiły że ja jestem zakochana:
Jużci jeżeli kocham, to już chyba Pana.
— Tadeusz rad s takiego miłości dowodu,
Wziął ją pod rękę, ścisnął, i wyszli z ogrodu
Do pokoju damskiego, do owéj komnaty
Kędy Tadeusz mieszkał przed dziesięcią laty.

Teraz bawił tam Rejent cudnie wystrojony,
I usługiwał damie swojéj narzeczonéj,
Biegając i podając sygnety, łańcuszki,
Słoiki i flaszeczki i proszki i muszki,
Wesoł, na pannę młodą patrzył tryumfalnie.
Panna młoda kończyła robić gotowalnię;
Siedziała przed źwierciadłem radząc się bóstw wdzięku;
Pokojowe zaś, jedne z żelaskami w ręku
Odświeżają nadstygłe warkoczów pierścionki,
Drugie klęcząc pracują około falbonki.

Gdy się tak Rejent bawi ze swą narzeczoną,
Kuchcik stuknął doń w okno; kota postrzeżono.
Kot wykradłszy się z łozy prześmignął po łące
I wskoczył w sad pomiędzy jarzyny wschodzące,
Tam siedzi, wystraszyć go łacno z rosadniku
I uszczuć postawiwszy charty na przesmyku.

Bieży Assesor ciągnąc za obróż Sokoła,
Pośpiesza za nim Rejent i Kusego woła.
Wojski obu s chartami przy płocie ustawił,
A sam się s placką muszą do sadu wyprawił,
Depcąc, świszcząc i klaszcząc, bardzo żwierza trwoży;
Szczwacze trzymając każdy charta na obroży,
Ukazują palcami skąd zając wyruszy,
Cmokają s cicha; charty nadstawiły uszy,
Wytknęły pyski na wiatr i drżą niecierpliwie
Jak dwie strzały złożone na jednéj cięciwie.
W tém Wojski krzyknął: wycz ha! zając smyk z za płotu
Na łąkę, charty za nim, i wnet bez obrotu,
Sokoł i Kusy razem spadli na szaraka
Ze dwóch stron w jednéj chwili, jak dwa skrzydła ptaka,
I zęby mu jak szpony zatopili w grzbiecie.
Kot jęknął raz, jak nowo narodzone dziecie,
Żałośnie! biegą szczwacze: już leży bez ducha,
A charty mu sierć białą targają spod brzucha.

Szczwacze pogłaskali psy, a Wojski tym czasem
Dobył nożyk strzelecki wiszący za pasem,
Oderznął skoki i rzekł: dziś równą odprawę
Wezmą pieski, bo równą pozyskali sławę,

Równa ich była rączość, równa była praca,
Godzien jest pałac Paca, godzien Pac pałaca,
Godni są szczwacze chartów, godne szczwaczów charty;
Otoż skończony spór wasz długi i zażarty,
Ja któregoście Sędzią zakładu obrali,
Wydaję wreście wyrok: obaście wygrali,
Wracam fanty, niech każdy przy swoim zostanie,
A wy podpiszcie zgodę. — Na starca wezwanie,
Szczwacze zwrócili na się rozjaśnione lice
I długo rozdzielone złączyli prawice.

W tém rzekł Rejent: stawiłem niegdyś konia z rzędem,
Opisałem się także przed ziemskim urzędem
Iż pierścień mój Sędziemu w salarium złożę;
Fant postawiony w zakład, wracać się nie może.
Pierścień niechaj Pan Wojski na pamiątkę przymie,
I każe na nim wyryć albo swoje imie
Lub gdy zechce, herbowne Hreczechów ozdoby;
Krwawnik jest gładki, złoto jedenastéj proby.
Konia teraz Ułani pod jazdę zabrali,
Rzęd został przy mnie, każdy znawca ten rzęd chwali
Iż jest wygodny, trwały, a piękny jak cacko:
Kulbaczka wąska modą s turecka kozacką,
Kula na przodzie, w kuli są drogie kamienie,
Poduszeczka z rubrontu wyścieła siedzenie.

A kiedy na łęk wskoczysz, na tym miękkim puszku
Między kulami siedzisz wygodnie jak w łóżku;
A gdy w galop puścisz się (tu Rejent Bolesta
Który jako wiadomo, bardzo lubił gesta,
Rosstawił nogi jakby na konia wskakiwał,
Potém galop udając powoli się kiwał)
A gdy w galop puścisz się, natenczas s czapraka
Blask bije, jakby złoto kapało z rumaka,
Bo tabenki są gęsto złotem nakrapiane,
I szerokie strzemiona srebrne pozłacane;
Na rzemieniach musztuka i na uździenicy
Połyskają guziki perłowéj macicy,
U napiersnika wisi księżyc w kształt Leliwy,
To jest w kształt nowiu. Cały ten sprzęt osobliwy,
Zdobyty (jak wieść) niesie w boju Podhajeckim
Na jakimś bardzo znacznym szlachcicu tureckim,
Przyjm Assesorze w dowód mojego szacunku.

A na to rzekł Assesor wesoł s podarunku:
Ja niegdyś darowane od Księcia Sanguszki
Stawiłem w zakład moje prześliczne obróżki,
Jaszczurem wykładane s kolcami ze złota,
I utkaną z jedwabiu smycz, któréj robota
Równie droga jak kamień co się na niéj świeci.
Chciałem sprzęt ten zostawić w dziedzictwie dla dzieci;

Dzieci pewnie mieć będę, wiesz że się dziś żenię:
Ale ten sprzęt Rejencie, proszę uniżenie
Bądź łaskaw przyjąć w zamian za twój rzęd bogaty,
I na pamiątkę sporu, co długiemi laty
Toczył się, i nareszcie zakończył zaszczytnie
Dla nas obu — Niech zgoda między nami kwitnie.
Więc wracali do domu oznajmić za stołem,
Że się skończył spór między Kusym i Sokołem.

Była wieść, że zająca tego Wojski w domu
Wyhodował i w ogród puścił pokryjomu,
Ażeby szczwaczów zgodzić zbyt łatwą zdobyczą.
Staruszek tak swą sztukę zrobił tajemniczo,
Że oszukał zupełnie całe Soplicowo.
Kuchcik w lat kilka późniéj szepnął o tém słowo,
Chcąc Assesora skłócić z Rejentem na nowo;
Ale próżno krzywdzące chartów wieści szerzył,
Wojski zaprzeczył, i nikt kuchcie nieuwierzył.

Już goście zgromadzeni w wielkiéj zamku sali,
Czekając uczty w koło stołu rozmawiali,
Gdy Pan Sędzia w mundurze Wojewódzkim wchodzi,
I Pana Tadeusza z Zofią przywodzi.
Tadeusz lewą dłonią dotykając głowy,
Pozdrowił swych dowódców, przez ukłon wojskowy.

Zofia z opuszczoném ku ziemi wejrzeniem,
Zapłoniwszy się, gości witała dygnieniem;
(Od Telimeny pięknie dygać wyuczona.)
Miała wianek na głowie jako narzeczona,
Z resztą ubior ten samy w jakim dziś w kaplicy
Składała snop wiosenny dla Boga Rodzicy.
Użęła znów dla gości nowy snopek ziela;
Jedną ręką zeń kwiaty i trawy roździela,
Drugą swój sierp błyszczący poprawia na głowie;
Brali ziółka całując jéj ręce wodzowie.
Zosia znowu dygała w koléj zapłoniona.

W tém Jenerał Kniaziewicz wziął ją za ramiona,
I złożywszy ojcowski całus na jéj czole,
Podniosł w górę dziewczynę, postawił na stole:
A wszyscy klaszcząc w dłonie zawołali brawo!
Zachwyceni dziewczyny urodą, postawą,
A szczególniéj jéj strojem Litewskim, prostaczym;
Bo dla tych wodzów, którzy w swém życiu tułaczém
Tak długo błąkali się w obcych stronach świata,
Dziwne miała powaby narodowa szata,
Która im wspominała i młode ich lata
I dawne ich miłostki; więc ze łzami prawie
Skupili się do stołu, patrzyli ciekawie.
Ci proszą aby Zosia wzniosła nieco czoło

I oczy pokazała, ci ażeby w koło
Raczyła się obrócić — dziewczyna wstydliwa
Obraca się lecz oczy rękami zakrywa.
Tadeusz patrzył wesoł i zacierał ręce.

Czy ktoś Zosi poradził wyjść w takiéj sukience,
Czy instynktem wiedziała (bo dziewczyna zgadnie
Zawsze instynktem, co jéj do twarzy przypadnie)
Dosyć że Zosia piérwszy raz w życiu dziś z rana
Była od Telimeny za upor łajana,
Niechcąc modnego stroju, aż wymogła płaczem
Że ją tak zostawiono, w ubraniu prostaczém.

Spodniczkę miała długą, białą; suknię krótką
Z zielonego kamlotu z różową obwódką;
Gorset także zielony, różowemi wstęgi
Od łona aż do szyi sznurowany w pręgi;
Pod nim pierś jako pączek pod listkiem się tuli.
Od ramion świecą białe rękawy koszuli,
Jako skrzydła motyle do lotu wydęte,
U dłoni skarbowane i wstążką opięte;
Szyja także koszulką obciśniona wąską,
Kołnierzyk zadzierzgniony różową zawiąską;
Zauszniczki wyrznięte sztucznie s pestek wiszni,
Których się wyrobieniem Sak Dobrzyński pyszni

(Były tam dwa serduszka z grotem i płomykiem
Dane dla Zosi, gdy Sak był jéj zalotnikiem);
Na kołnierzyku wiszą dwa sznurki bursztynu,
Na skroniach zielonego wianek rozmarynu,
Wstążki warkoczów Zosia rzuciła na barki,
A na czoło włożyła zwyczajem żniwiarki
Sierp krzywy, świeżym żęciem traw oszlifowany,
Jasny, jak nów miesięczny nad czołem Dyany.

Wszyscy chwalą, klaskają. Jeden z officerów
Dobył s kieszeni portefeuille s plikami papierów,
Rozłożył je, ołówek przyciął, w ustach zmoczył,
Patrzy w Zosię, rysuje. Ledwie Sędzia zoczył
Papiery i ołówki, poznał rysownika,
Choć go bardzo odmienił mundur pułkownika,
Bogate szlify, mina prawdziwie ułańska,
I wąsik poczerniony i bródka hiszpańska.
Sędzia poznał: Jak się masz mój Jaśnie Wielmożny
Hrabio, i w ładownicy masz twój sprzęt podróżny
Do malarstwa! — W istocie był to Hrabia młody,
Nie dawny żołnierz, lecz że wielkie miał dochody
I swoim kosztem cały pułk jazdy wystawił
I w pierwszéj zaraz bitwie wybornie się sprawił,
Cesarz go półkownikiem dziś właśnie mianował:

Więc Sędzia witał Hrabię i rangi winszował,
Ale Hrabia nie słuchał, a pilnie rysował.

Tym czasem weszła druga para narzeczona:
Assesor niegdyś Cara, dziś Napoleona
Wierny sługa; żandarmów oddział miał w komędzie,
A choć ledwie dwadzieścia godzin był w urzędzie,
Już włożył mundur siny s Polskiemi wyłogi
I ciągnął krzywą szablę i dzwonił w ostrogi.
Obok poważnym krokiem szła jego kochanka
Ubrana bardzo strojnie, Tekla Hreczeszanka;
Bo Assesor już dawno Telimenę rzucił,
I aby tę kokietkę tém mocniéj zasmucił,
Ku Wojszczance affekty serdeczne obrócił.
Panna nie nadto młoda, już pono pół-wieczna,
Lecz gospodyni dobra, osoba stateczna
I posażna, bo oprócz swéj dziedzicznéj wioski
Sumką z daru Sędziego powiększała wnioski.

Trzeciéj pary daremnie czekają czas długi.
Sędzia niecierpliwi się, i wysyła sługi;
Wracają: powiadają że trzeci małżonek
Pan Rejent, szczując kota, zgubił swój pierścionek
Ślubny, szuka na łące; a Rejenta dama

Jeszcze u gotowalni, choć spieszy się sama
I choć jéj pomagają służebne kobiety,
Nie mogła w żaden sposób skończyć toalety:
Ledwie będzie gotowa na godzinę czwartą.

Księga dwunasta.

Księga dwunasta.

KOCHAJMY SIĘ.

TREŚĆ.

Ostatnia Uczta staropolska — Arcy-serwis — Objaśnienie jego figur — Jego ruchy — Dąbrowski udarowany — Jeszcze o Scyzoryku — Kniaziewicz udarowany — Pierwszy akt urzędowy Tadeusza przy objęciu dziedzictwa — Uwagi Gerwazego — Koncert nad koncertami — Polonez — Kochajmy się!

Nakoniec s trzaskiem, sali drzwi na wściąż otwarto.
Wchodzi Pan Wojski w czapce i z głową zadartą,
Nie wita się i miejsca za stołem nie bierze,
Bo Wojski występuje w nowym charakterze
Marszałka dworu; laskę ma na znak urzędu,
I tą laską s kolei jako mistrz obrzędu,
Wskazuje wszystkim miejsca i gości usadza.
Naprzód, jako najpierwsza Województwa władza,

Podkomorzy-Marszałek wziął miejsce zaszczytne,
Ze słoniowym poręczem krzesło aksamitne,
Obok na prawéj stronie Jenerał Dąbrowski,
Na lewéj siadł Kniaziewicz, Pac i Małachowski.
Śród nich Podkomorzyna, daléj inne panie,
Officerowie, Pany, szlachta i ziemianie,
Męszczyźni i kobiety na przemian po parze
Usiadają porządkiem gdzie Wojski ukaże.

Pan Sędzia skłoniwszy się opuścił biesiadę;
On na dziedzińcu włościan traktował gromadę,
Zebrawszy ich za stołem na dwa staje długim,
Sam siadł na jednym końcu, a Pleban na drugim.
Tadeusz i Zofia do stołu nie siedli,
Zajęci częstowaniem włościan, chodząc jedli.
Starożytny był zwyczaj, iż dziedzice nowi
Na pierwszéj uczcie sami służyli ludowi.

Tymczasem goście potraw czekający w sali,
Z zadziwieniem na wielki serwis poglądali,
Którego równie drogi kruszec jak robota.
Jest podanie, że Książe Radziwił-Sierota
Kazał ten sprzęt na urząd w Wenecyi zrobić,
I wedle własnych planów po polsku ozdobić.
Serwis potém zabrany czasu wojny szwedzkiéj

Przeszedł, niewiedzieć jaką drogą, w dom szlachecki,
Dziś ze skarbca dobyty zajął środek stoła
Ogromnym kręgiem, nakształt karetnego koła.

Serwis ten był nalany ode dna po brzegi
Piankami i cukrami białemi jak śniegi,
Udawał przewybornie krajobraz zimowy;
W środku czerniał ogromny bór konfiturowy,
Stronami domy, niby wioski i zaścianki,
Okryte zamiast śronu, cukrowemi pianki;
Na krawędziach naczynia, stoją dla ozdoby,
Niewielkie s porcelany wydęte osoby
W Polskich strojach; jakoby aktory na scenie,
Zdawały się przedstawiać jakoweś zdarzenie;
Gest ich sztucznie wydany, farby osobliwe,
Tylko głosu im braknie, z resztą gdyby żywe.

Cóż przedstawiają? goście pytali ciekawi,
Zaczém Wojski podnosi laskę i tak prawi:
(Tymczasem podawano wódkę przed jedzeniem)
— Za mych Wielce Mościwych Panów pozwoleniem:
Te persony których tu widzicie bez liku,
Przedstawiają Polskiego historyą sejmiku,
Narady, wotowanie, tryumfy i waśnie,
Sam tę scenę odgadłem i Państwu objaśnię.

Oto na prawo widać liczne szlachty grono:
Pewnie ich przed sèjmikiem na ucztę sproszono,
Czeka nakryty stolik; nikt gości nie sadza,
Stoją kupkami, każda kupka się naradza.
Patrzcie iż w każdéj kupce stoi w środku człowiek,
S którego ust otwartych, s podniesionych powiek,
Rąk niespokojnych, widać — mówca, cóś tłomaczy,
I palcem explikuje i na dłoni znaczy.
Ci mówcy zalecają swoich kandydatów
Z różnym skutkiem; jak widać z miny szlachty bratów.

W prawdzie tam w drugiéj kupie szlachta pilnie słucha,
Ten ręce za pas zatknął i przyłożył ucha,
Ów dłoń przy uchu trzyma, i milczkiem wąs kręci,
Zapewne słowa zbiera i niże w pamięci;
Cieszy się mowca widząc że są nawróceni,
Gładzi kieszeń, bo kreski ich już ma w kieszeni.

Lecz za to w trzeciém gronie dzieje się inaczéj:
Tu mówca musi łowić za pasy słuchaczy,
Patrzcie, wyrywają się i cofają uszy;
Patrzcie jako ten słuchacz od gniewu się puszy,
Wzniosł ręce, grozi mówcy, usta mu zatyka,
Pewnie słyszał pochwały swego przeciwnika;
Ten drugi pochyliwszy czoło nakształt byka,

Powiedziałbyś że mówcę pochwyci na rogi,
Ci biorą się do szabel, tamci poszli w nogi.

Jeden między kupkami szlachcic cichy stoi,
Widać że człek bezstronny, waha się i boi,
Za kim dać kreskę! nie wie i sam s sobą w walce,
Pyta losu, wzniosł ręce, wytknął wielkie palce,
Zmrużył oczy, paznokciem do paznokcia mierzy,
Widać że kreskę swoję kabale powierzy;
Jeśli palce trafią się, da affirmatiwę,
A jeżeli się chybią, rzuci negatiwę.

Na lewéj druga scena; refektarz klasztoru
Obrócony na salę szlacheckiego zboru.
Starsi rzędem na ławach siedzą, młodsi stają
I ciekawi przez głowy w środek zaglądają;
W środku Marszałek stoi, wazon w ręku trzyma,
Liczy gałki, szlachta je pożera oczyma,
Właśnie wytrząsł ostatnią; Woźni ręce wznoszą
I imie obranego urzędnika głoszą.

Jeden szlachcic na zgodę powszechną nie zważa,
Patrz, wytknął głowę oknem s kuchni refektarza,
Patrz jak oczy wytrzészczył, jak pogląda śmiało,
Usta otworzył, jakby chciał zjeść izbę całą;

Łatwo zgadnąć, że szlachcic ten zawołał: weto! —
Patrzcie jak za tą nagłą do kłótni podnietą,
Tłoczy się do drzwi ciżba, pewnie idą w kuchnię,
Dostali szable, pewnie krwawy bój wybuchnie.

Lecz tam na korytarzu, Państwo uważacie
Tego starego księdza co idzie w ornacie,
To Przeor, Sanktissimum z ołtarza wynosi,
A chłopiec w komży dzwoni i na ustęp prosi;
Szlachta wnet szable chowa, żegna się i klęka,
A ksiądz tam się obraca gdzie jeszcze broń szczęka,
Skoro przyjdzie, wnet wszystkich uciszy i zgodzi.

Ach! wy niepamiętacie tego Państwo młodzi!
Jak wśród naszéj burzliwéj szlachty samowładnéj,
Zbrojnéj, nietrzeba było policyi żadnéj;
Dopóki wiara kwitła, szanowano prawa,
Była wolność s porządkiem i z dostatkiem sława!
W innych krajach, jak słyszę, trzyma urząd drabów,
Policyantów różnych, żandarmów, konstabów.
Ale jeśli miecz tylko bespieczeństwa strzeże,
Żeby w tych krajach była wolność — nie uwierzę.

W tém dzwoniąc w tabakierę, rzekł Pan Podkomorzy:
Panie Wojski, niech Wasze na potém odłoży

Te historye, prawda że sejmik ciekawy,
Ale my głodni, każ Wać przynosić potrawy.

Na to Wojski, skłaniając aż do ziemi laskę:
Jaśnie Wielmożny Panie, zróbże mi tę łaskę,
Zaraz dokończę scenę ostatnią sejmików;
Oto nowy Marszałek na ręku stronników
Wyniesion z refektarza, patrz, jak szlachta braty,
Rzucają czapki, usta otwarli, — wiwaty!
A tam po drugiéj stronie Pan przekréskowany
Sam jeden, czapkę wcisnął na łeb zadumany,
Żona przed domem czeka, zgadła co się dzieje,
Biedna! oto na ręku pokojowéj mdleje,
Biedna! Jaśnie Wielmożnéj tytuł przybrać miała,
A znów tylko Wielmożną na lat trzy została!

Tu Wojski skończył opis, i laską znak daje,
I wnet zaczęli wchodzić parami lokaje
Roznoszący potrawy; barszcz królewskim zwany,
I rosoł staro-polski sztucznie gotowany,
Do którego Pan Wojski z dziwnemi sekrety
Wrzucił kilka perełek i sztukę monety,
Taki rosoł krew czyści i pokrzepia zdrowie —
Daléj inne potrawy, a któż je wypowie!
Kto zrozumie nieznane już za naszych czasów,

Te półmiski kontuzów, arkasów, blemasów,
Z ingredyencyami pomuchl, figatelów,
Cybetów, piżm, dragantów, pinelów, brunellów;
Owe ryby! łososie suche, dunajeckie,
Wyżyny, kawiary weneckie, tureckie,
Szczuki główne i szczuki podgłówne, łokietne,
Flądry, i karpie ćwiki i karpie szlachetne!
W końcu sekret kucharski: ryba nie krojona,
U głowy przysmażona, we środku pieczona,
A mająca potrawkę s sosem u ogona.

Goście ani pytali nazwiska potrawy,
Ani ich zastanowił ów sekret ciekawy,
Wszystko prędko z żołnierskim jedli apetytem,
Kieliszki napełniając węgrzynem obfitym.

Ale tymczasem, wielki serwis barwę zmienił,
I odarty ze śniegu już się zazielenił,
Bo lekka, ciepłem letniém powoli rozgrzana
Rostopiła się lodu cukrowego piana,
I dno odkryła, dotąd zatajone oku;
Więc krajobraz przedstawił nową porę roku,
Zabłysnąwszy zieloną, różnofarbną, wiosną.
Wychodzą różne zboża, jak na drożdżach rosną,
Pszenicy szafranowéj buja kłos złocisty,

Żyto ubrane w srebra malarskiego listy,
I gryka wyrabiana sztucznie s czokolady,
I kwitnące gruszkami i jabłkami sady.

Ledwie mają czas goście darów lata użyć
Darmo proszą Wojskiego żeby je przedłużyć,
Już serwis jak planeta koniecznym obrotem,
Zmienia porę, już zboża malowane złotem,
Nabrawszy ciepła w izbie powoli topnieją,
Już trawy pożółkniały, liścia czerwienieją,
Sypią się, rzekłbyś iż wiatr jesienny powiewa,
Nakoniec owe chwilę przedtym strojne drzewa,
Teraz jakby odarte od wichrów i śronu
Stoją nagie; cyły to laski cynamonu,
Lub udające sosnę gałąski wawrzynu,
Odziane zamiast kolców ziarenkami kminu —

Goście pijący wino, zaczęli gałąski
Pnie i korzenie zrywać i gryść dla zakąski.
Wojski obchodził serwis i pełen radości,
Tryumfujące oczy obracał na gości.

Henryk Dąbrowski udał wielkie zadziwienie
I rzekł: mój Panie Wojski, czy to Chińskie cienie?
Czy to Pinety Panu dał w służbę swe bisy?

Czy dotąd u was w Litwie są takie serwisy
I wszyscy takim starym ucztują zwyczajem?
Powiedz mi, bo ja życie strawiłem za krajem.

Wojski rzekł kłaniając się: Nie, Jaśnie Wielmożny
Jenerale, nie jest to żaden kunszt bezbożny!
Jest to pamiątka tylko owych biesiad sławnych,
Które dawano w domach panów starodawnych,
Gdy Polska używała szczęścia i potęgi!
Com zrobił, tom wyczytał s téj tu oto księgi.
Pytasz czy wszędzie w Litwie ten się zwyczai chowa,
Niestety! już i do nas włazi moda nowa.
Nie jeden Panicz krzyczy że nie cierpi zbytków,
Jje jak żyd, skąpi gościom potraw i napitków,
Węgrzyna pożałuje, a pije szatańskie
Fałszywe wino modne moskiewskie szampańskie;
Potém w wieczor na karty tyle złota straci,
Że za nie dałbyś ucztę na stu szlachty braci,
Nawet (bo co na sercu mam, dziś powiem szczerze,
Niech tego Podkomorzy za złe mi nie bierze)
Kiedym ten serwis cudny ze skarbca dobywał,
To nawet Podkomorzy i on mnie przedrwiwał!
Mówiąc że to machina zmudna, staroświecka,
Że to ma pozor niby zabawki dla dziecka
Nieprzyzwoitéj dla tak znakomitych ludzi!

Sędzio! i Sędzia mówił że to gości znudzi!
A przecież ile wnoszę s Panów zadziwienia,
Widzę iż ten kunszt piękny, godzien był widzenia!
Niewiém czy się podobna okazya zdarzy
Częstować w Soplicowie takich dignitarzy.
Widzę że Pan Jenerał na biesiadach zna się,
Niechaj przyjmie tę książkę, ona Panu zda się
Gdy będziesz dla monarchów zagranicznych grona
Dawał ucztę, ba nawet dla Napoleona.
Ale pozwól nim księgę tę Panu poświęcę,
Niech powiem jakim trafem wpadła w moje ręcę.

W tém szmer powstał za drzwiami, razem głosów wiele
Zawołało: niech żyje Kurek na kościele!
Ciżba tłoczy się w salę, a Maciej na czele.
Sędzia gościa za rękę do stołu prowadził,
I wysoko pomiędzy wodzami pasadził,
Mówiąc: Panie Macieju, niedobry sąsiedzie,
Przyjeżdżasz bardzo pożno, prawie po obiedzie.
— Jem wcześnie, rzekł Dobrzyński, ja tu nie dla jadła
Przybyłem, tylko że mnie ciekawość napadła,
Obejrzeć z bliska naszą armię narodową,
Wieleby gadać — jest to ani to ni owo!
Szlachta mnie obaczyła i gwałtem tu wiedzie,
A Waszeć za stół sadzasz — dziękuję sąsiedzie —

To wyrzekłszy, przewrócił talerz dnem do góry
Na znak że jeść niebędzie, i milczał ponury.

— Panie Dobrzyński, rzekł mu Jenerał Dąbrowski,
Tyż to jesteś ów sławny rębacz Kościuszkowski,
Ów Maciej, zwany Rózga! znam ciebie ze sławy.
I proszę, takiś dotąd czerstwy, taki żwawy!
Ileż to lat minęło! Patrz, jam się podstarzał,
Patrz i Kniaziewiczowi już się włos poszarzał,
A ty jeszcze z młodszymi mógłbyś pójść w zapasy.
I rózga twoja kwitnie pono jak przed czasy;
Słyszałem, żeś niedawno Moskalów oćwiczył.
Lecz gdzie są bracia twoi? Niezmierniebym życzył
Widzieć te scyzoryki i te wasze brzytwy,
Ostatnie exemplarze starodawnéj Litwy.
— Jenerale, rzekł Sędzia, po owém zwycięstwie,
Prawie wszyscy Dobrzyńscy schronili się w Księstwie,
Zapewne do którego weszli legionu.
— W istocie, odpowiedział młody Szef szwadronu,
Mam w drugiéj kompanii wąsate straszydło
Wachmistrza Dobrzyńskiego, co się zwie Kropidło,
A mazury zowią go Litewskim niedźwiedziem.
Jeśli Jenerał każe, to go tu przywiedziem.
— Jest, rzekł Porucznik, kilku innych rodem z Litwy,
Jeden żołnierz znajomy pod imieniem Brzytwy,

I drugi co s trombłonem jeździ na flankiery,
Są także w półku strzelców dwa grenadiery
Dobrzyńscy.

— Ale, ale o ich naczelniku,
Rzekł Jenerał, chcę wiedzieć o tym Scyzoryku,
O którym mnie Pan Wojski tyle prawił cudów,
Jakby o jednym z owych dawnych wielkoludów.
— Scyzoryk, rzecze Wojski, choć nie exulował,
Ale bojąc się śledztwa, przed Moskwą się schował,
Całą zimę nieborak tułał się po lasach,
Teraz dopiero wyszedł; w tych wojennych czasach
Mógłby się na co przydać, jest rycerskim człekiem,
Szkoda tylko, że trochę przyciśniony wiekiem.
Lecz owóż on!... Tu Wojski palcem wskazał w sieni
Gdzie czeladź i wieśniacy stali natłoczeni.
A nad wszystkich głowami łysina błyszcząca,
Ukazała się nagle jak pełnia miesiąca,
Trzykroć weszła i trzykroć znikła w głów obłoku,
Klucznik idąc kłaniał się, aż dobył się s tłoku,
I rzekł:

Jaśnie Wielmożny Koronny Hetmanie,
Czy Jenerale, mniejsza o tytułowanie,
Jam jest Rębajło, staję na twe zawołanie

S tym moim scyzorykiem, który nie z oprawy,
Ani z napisów, ale z hartu nabył sławy,
Że nawet o nim Jaśnie Wielmożny Pan wiedział.
Gdyby on gadać umiał, możeby powiedział
Cokolwiek na pochwałę i téj staréj ręki,
Która służyła długo, wiernie Bogu dzięki,
Ojczyźnie, tudzież Panów Horeszków rodzinie,
Czego pamięć dotychczas między ludźmi słynie.
Mopanku! rzadko który pisarz prowentowy
Tak zręcznie temperuje pióra jak on głowy,
Długo liczyć! A nosów i uszu bez liku!
A niema żadnéj szczerby na tym scyzoryku
I żaden go nie splamił zbojecki uczynek;
Tylko otwarta wojna, albo pojedynek.
Raz tylko! Panie daj mu wieczny odpoczynek,
Bezbronnego człowieka, niestety, sprzątniono!
A i to Bóg mi świadkiem, pro publico bono.

— Pokażno, rzekł śmiejąc się Jenerał Dąbrowski,
A to piękny scyzoryk, istny miecz katowski! —
I z zadziwieniem wielki rapier opatrywał
I innym officerom w kolej pokazywał;
Probowali go wszyscy, ale ledwie który
Z officerów, mógł podnieść ten rapier do góry.
Mówiono że Dembiński sławny ręki siłą

Podźwignąłby szablicę, lecz go tam niebyło.
Z obecnych zaś, tylko szef szwadronu Dwernicki
I dowódca plutonu Porucznik Różycki,
Potrafili obracać tym żelaznym drągiem:
I tak rapier na probę szedł z rąk do rąk ciągiem.

Lecz Jenerał Kniaziewicz wzrostem najsłuszniejszy
Pokazało się iż był w ręku najsilniejszy,
Ująwszy rapier lekko jakby szpadę dźwignął
I nad głowami gości błyskawicą mignął,
Przypominając Polskie fechtarskie wykręty,
Krzyżową sztukę, młyńca, cios krzywy, raz cięty,
Cios kradziony, i tempy **kontrpunktów, tercetow,**
Które też umiał, bo był ze szkoły kadetów.

Gdy śmiejąc się fechtował, Rębajło już klęczał,
Objął go za kolana i ze łzami jęczał;
Za każdym zwrotem miecza — pięknie! Jenerale
Czyś był konfederatem? pięknie, doskonale!
To sztych Puławskich! tak się Dzierżanowski składał,
To sztych Sawy! Któż Panu tak rękę układał,
Chyba Maciej Dobrzyński! a to? Jenerale
Mój wynalazek, dalbóg mój, ja się niechwalę,
To cięcie znane tylko w Rębajłów zaścianku,
Od mojego imienia zwane **Cios mopanku,**

Któż to Pana nauczył? to jest moje cięcie.
Moje! — Wstał, Jenerała porwawszy w objęcie.
— Teraz umrę spokojny! jest przecie na świecie
Człowiek, który przytuli moje drogie dziecie;
Bo wszak na tym oddawna dzień i noc boleję,
Czy po śmierci ten rapier mój nie zerdzewieje!
Otoż nie zerdzewieje! Mój Jaśnie Wielmożny
Jenerale, wybacz mi, porzućcie te rożny
Niemieckie szpadki, to wstyd szlacheckiemu dziecku
Nosić ten kijek; weźmij szablę po szlachecku,
Oto ten mój szyzoryk u nóg twoich składam,
To jest co najdroższego na świecie posiadam,
Niemiałem nigdy żony, niemiałem dziecięcia,
On był żoną i dzieckiem; z mojego objęcia
Nigdy on niewychodził; od rana do mroku
Pieściłem go, on w nocy sypiał przy mym boku!
A kiedym się zestarzał, nad łożkiem na ścianie
Wisiał, jako nad żydem boże przykazanie!
Myśliłem zakopać go razem z ręką w grobie,
Lecz znalazłem dziedzica — Niechaj służy Tobie!

Jenerał wpół śmiejąc się a na wpół wzruszony,
Kolego, rzekł, jeżeli ustąpisz mnie żony
I dziecka, to zostaniesz przez resztę żywota
Bardzo samotny, stary, wdowiec i sierota!

Powiedz, czém ci ten drogi dar mam wynagrodzić,
I czém twoje sieroctwo i wdowstwo osłodzić!
— Czy ja Cybulski? rzecze na to Klucznik z żalem,
Co żonę przegrał, grając w Maryasza z Moskalem,
Jak o tém pieśń powiada — Ja mam dosyć na tém
Że mój scyzoryk jeszcze zabłyśnie przed światem
W takim ręku — Niech tylko Jenerał pamięta,
Aby tasiemka była długa rozciągnięta,
Bo to długie; a zawsze od lewego ucha
Ciąć oburącz, to przetniesz od głowy do brzucha.

Jenerał wziął scyzoryk, lecz że bardzo długi,
Niemógł nosić, w furgonie schowały go sługi.
Co się z nim stało, różnie powiadają o tém,
Lecz nikt pewnie niewiedział ni wtenczas ni potém.

Dąbrowski rzekł do Maćka: A ty co Kolego?
Zdaje się że ty nie rad s przybycia naszego?
Milczysz kwaśny? i jakże serce ci nie skacze,
Gdy widzisz orły złote, srebne? gdy trębacze
Pobudkę Kościuszkowską trąbią ci nad uchem?
Maćku! myśliłem że ty większym jesteś zuchem;
Jeśli szabli nie weźmiesz i na koń niesiędziesz,
Przynajmniéj s kolegami wesoło pić będziesz
Zdrowie Napoleona i Polski nadzieje!

— Ha! rzekł Maciej, słyszałem, widzę co się dzieje!
Ale Panie dwóch orłów razem się nie gnieździ!
Łaska Pańska Hetmanie, na pstrym koniu jeździ!
Cesarz wielki bohater! gadać o tém wiele!
Pamiętam że Puławscy moi przyjaciele
Mawiali poglądając na Dymuriera,
Że dla Polski, Polskiego trzeba bohatera,
Nie Francuza ani też Włocha, ale Piasta,
Jana albo Józefa, lub Maćka — i basta.
Wojsko! mówią że polskie! lecz te fizyliery,
Sapery, grenadiery i kanoniery!
Więcéj słychać niemieckich tytułów w tym tłumie
Niżeli narodowych! Kto to już zrozumie!
A muszą też być z wami turki czy tartary
Czy syzmatyki, co ni Boga ani wiary:
Sam widziałem, kobiety w wioskach napastują,
Przechodniów ozierają, kościoły rabują!
Cesarz idzie do Moskwy! daleka to droga
Jeśli Cesarz Jegomość wybrał się bez Boga,
Słyszałem że już podpadł pod klątwy biskupie;
Wszystko to jest... Tu Maciej chleb umoczył w supie
I jedząc nie dokończył ostatniego słowa.

Nie w smak Podkomorzemu poszła Maćka mowa,

Młodzież zaczęła szemrać; Sędzia przerwał swary,
Głosząc przybycie trzeciéj narzeczonéj pary.

Był to Rejent, sam siebie Rejentem ogłosił,
Nikt go niepoznał; dotąd Polskie suknie nosił,
Lecz teraz Telimena, przyszła żona, zmusza
Warunkiem intercyzy, wyrzec się kontusza;
Więc się Rejent rad nie rad po francusku przebrał.
Widno że mu frak duszy połowę odebrał,
Stąpa jakby kij połknął, prosto, nie ruchawo,
Jak żóraw; nie śmie spójrzeć ni w lewo ni wprawo;
Mina gęsta, lecz z miny widać że jest w męce,
Nie wie jak się pokłonić, gdzie ma podziać ręce,
On co tak gesty lubił! ręce za pas sadził —
Nie masz pasa — tylko się po żołądku gładził;
Postrzegł omyłkę; bardzo zmięszał się, spiekł raka,
I ręce obie schował w jedną kieszeń fraka.
Idzie jakby przez rózgi śród szeptów i drwinek,
Wstydząc się za frak jakby za nieczny uczynek;
Aż spotkał oczy Maćka, i zadrżał z bojaźni.

Maciéj dotąd z Rejentem żył w wielkiéj przyjaźni,
Teraz wzrok nań obrócił tak ostry i dziki,
Że Rejent zbladnął, zaczął zapinać guziki,
Myśląc że Maciej wzrokiem suknie z niego złupi;

Dobrzyński tylko dwakroć wyrzekł głośno: głupi!
I tak strasznie zgorszył się z Rejenta przebrania,
Że zaraz wstał od stołu, i bez pożegnania
Wymknąwszy się, wsiadł na koń, wrócił do Zaścianka.

A tymczasem Rejenta nadobna kochanka,
Telimena, rostacza blaski swéj urody,
I ubior od stóp do głów co najświeższéj mody.
Jaką miała sukienkę, jaki strój na głowie,
Daremnie pisać, pióro tego nie wypowie,
Chyba pędzelby skryślił te tiule, ptyfenie,
Blondyny, kaszemiry, perły i kamienie
I oblicze różane i żywe wejrzenie.

Poznał ją zaraz Hrabia, z zadziwienia blady
Wstał od stołu i szukał koło siebie szpady,
— I tyżeś to! zawołał, czy mnie oczy łudzą?
Ty? w obecności mojéj? ściskasz rękę cudzą?
O niewierna istoto, o duszo zmiennicza!
I nie skryjesz ze wstydu pod ziemię oblicza?
Takeś twojéj tak świeżéj nie pomna przysięgi?
O łatwowierny! pocóż nosiłem te wstęgi!
Lecz biada rywalowi, co mię tak znieważa!
Po moim chyba trupie pójdzie do ołtarza!

Goście powstali, Rejent okropnie się zmieszał,
Podkomorzy rywalów zagodzić pośpieszał,
Lecz Telimena wziąwszy Hrabiego na stronę,
Jeszcze, szepnęła, Rejent nie wziął mię za żonę,
Jeżeli Pan przeszkadzasz, odpowiedzże na to,
A odpowiedz mi zaraz, krótko, węzłowato:
Czy mnie kochasz, czyś dotąd serca nie odmienił,
Czy gotów żebyś zemną zaraz się ożenił,
Zaraz, dziś? — jeśli zechcesz odstąpię Rejenta, —
— Hrabia rzekł: O kobieto dla mnie niepojęta!
Dawniéj w uczuciach twoich byłaś poetyczną,
A teraz mi się zdajesz całkiem prozaiczną,
Cóż są wasze małżeństwa, jeśli nie łańcuchy,
Które związują tylko ręce a nie duchy?
Wierzaj, są oświadczenia, nawet bez wyznania,
Są obowiąski nawet bez obowiązania!
Dwa serca pałające na dwóch końcach ziemi,
Rozmawiają jak gwiazdy promieńmi drżącemi,
Kto wie! może dla tego ziemia tak do słońca
Dąży, i tak jest zawsze miłą dla miesiąca,
Że wiecznie patrzą na się, i najkrótszą drogą
Biegą do siebie! ale zbliżyć się nie mogą!
— Dość już tego, przerwała, nie jestem planetą
Z łaski bożéj, dość Hrabio, ja jestem kobietą,
Już wiem resztę, przestań mi pleść ni to ni owo.

Teraz ostrzegam, jeśli piśniesz jedno słowo
Ażeby ślub mój zerwać, to jak Bóg na niebie
Że s temi paznokciami przyskoczę do ciebie
I... — Niebędę rzekł, Hrabia, szczęścia Pani kłócił —
I oczy pełne smutku i wzgardy odwrócił,
I ażeby ukarać niewierną kochankę,
Za przedmiot stałych ogniów wziął Podkomorzankę.

Wojski pragnął młodzieńców poróżnionych zgodzić
Przykładami mądremi, więc zaczął wywodzić
Historyą o dziku nalibockich lasów,
I o kłótni Rejtana s Książęciem Denassów,
Ale goście tymczasem skończyli jeść lody,
I z zamku na dziedziniec wyszli dla ochłody.

Tam włość już kończy ucztę, krążą miodu dzbany,
Muzyka już się stroi i wzywa na tany,
Szukają Tadeusza, który stał na stronie
I cóś pilnego szeptał swojéj przyszłéj żonie.

„Zosio! muszę ciebie w bardzo ważnéj rzeczy
Radzić się; już pytałem stryja, on nie przeczy.
Wiesz iż znaczna część wiosek które mam posiadać,
Wedle prawa na ciebie powinnaby spadać.
Ci chłopi są nie moi lecz twoi poddani,

Nie śmiałbym ich urządzić bez woli ich Pani.
Teraz kiedy już mamy Ojczyznę kochaną,
Czyliż wieśniacy zyszczą s tą szczęśliwą zmianą
Tyle tylko, że Pana innego dostaną?
Prawda że byli dotąd rządzeni łaskawie,
Lecz po méj śmierci Bóg wie komu ich zostawię;
Jestem żołnierz, jesteśmy śmiertelni oboje,
Jestem człowiek, sam własnych kaprysów się boję,
Bespieczniéj zrobię kiedy władzy się wyrzekę,
I oddam los włościanów pod prawa opiekę.
Sami wolni uczyńmy i włościan wolnemi,
Oddajmy im w dziedzictwo posiadanie ziemi,
Na któréj się zrodzili; którą krwawą pracą
Zdobyli, s któréj wszystkich żywią i bogacą.
Lecz muszę ciebie ostrzedz że tych ziem nadanie
Zmniejszy nasz dochód, w miernym musimy żyć stanie.
Ja przywykłem do życia oszczędnego z młodu,
Lecz ty Zofio jesteś z wysokiego rodu,
W stolicy przepędziłaś twoje młode lata,
Czyż zgodzisz się żyć na wsi? zdaleka od świata?
Jak ziemianka?

A na to Zosia rzekła skromnie:
Jestem kobiétą, rządy nie należą do mnie,
Wszakże Pan będziesz mężem; ja do rady młoda,

Co Pan urządzisz, na to całém sercem zgoda!
Jeśli włość uwalniając zostaniesz uboższy,
To Tadeuszu będziesz sercu memu droższy.
O moim rodzie mało wiem, i niedbam o to;
Tyle pomnę, że byłam ubogą, sierotą,
Że od Sopliców byłam za córkę przybrana,
W ich domu hodowana i za mąż wydana.
Wsi nielękam się; jeśli w wielkiém mieście żyłam,
To dawno; zapomniałam, wieś zawsze lubiłam;
I wierz mi, że mnie moje kogutki i kurki
Więcéj bawiły niżli owe Peterburki,
Jeśli czasem tęskniłam do zabaw, do ludzi,
To z dzieciństwa, wiem teraz że mnie miasto nudzi;
Przekonałam się zimą po krótkim pobycie
W Wilnie, że ja na wiejskie urodzona życie;
Pośród zabaw tęskniłam znów do Soplicowa.
Pracy też nie lękam się bom młoda i zdrowa,
Umiem chodzić około domu, nosić klucze;
Gospodarstwa, obaczysz, jak ja się wyuczę!

Gdy Zosia domawiała ostatnie wyrazy,
Podszedł ku niéj zdziwiony i kwaśny Gerwazy,
Już wiem! rzekł, Sędzia mówił już o téj wolności!
Lecz nie pojmuję co to ściąga się do włości!
Boję się żeby to coś niebyło z niemiecka!

Wszak wolność nie jest chłopska rzecz ale szlachecka!
Prawda że się wywodzim wszyscy od Adama,
Alem słyszał że chłopi pochodzą od Chama,
Żydowie od Jafeta, my szlachta od Sema,
A więc panujem jako starsi nad obiema.
Jużci Pleban inaczéj uczy na ambonie...
Powiada że to było tak w starym zakonie,
Ale skoro Chrystus Pan choć s królow pochodził
Między żydami w chłopskiéj stajni się urodził,
Odtąd więc wszystkie stany porównał i zgodził;
Niech i tak będzie, kiedy inaczéj nie można!
Zwłaszcza że jako słyszę, i Jaśnie Wielmożna
Pani moja Zosia na wszystko się zgadza,
Jéj rozkazać, mnie słuchać, jużci przy niéj władza.
Tylko ostrzegam byśmy wolności nie dali
Pustéj i słownéj tylko, jako za Moskali,
Kiedy Pan Karp' nieboszczyk włościan wyswobodził,
A Moskal ich podatkiem potrójnym ogłodził.
Radzę więc aby chłopów starym obyczajem
Uszlachcić i głosić że im herb nasz dajem.
Pani udzieli jednym wioskom Półkozica,
Drugim niech swą Leliwę nada Pan Soplica.
Natenczas i Rębajło uzna chłopa rownym,
Gdy go ujrzy szlachcicem Wielmożnym, herbownym.
Sejm potwierdzi.

A niech się mąż Pani nietrwoży,
Iż oddanie ziem, Państwo tak bardzo zuboży;
Nie da Bóg, abym rączki córy dygnitarskiéj
Widział umozolone w pracy gospodarskiéj.
Jest na to sposób; — w zamku wiem ja pewną skrzynię,
W któréj jest Horeszkowskie stołowe naczynie,
Przytém, różne sygnety, kanaki, manele,
Kity bogate, rzędne, cudne karabele,
Skarbczyk Stolnika, w ziemi skryty od grabieży;
Pani Zofii jako dziedziczce należy;
Pilnowałem go w zamku jako oka w głowie,
Od Moskalów i od was Państwo Soplicowie.
Mam także spory worek mych własnych talarów,
Uzbieranych z wysługi, tudzież s pańskich darów,
Myśliłem, gdy nam zamek wróconym zostanie,
Obrócić grosz na murów wyreperowanie;
Nowemu gospodarstwu dziś zda się w potrzebie; —
A więc Panie Soplico, wnoszę się do ciebie,
Będę żył u méj Pani na łaskawym chlebie,
I kołysząc Horeszków pokolenie trzecie,
Wprawiać do scyzoryka Pani mojéj dziecie,
Jeśli syn, a syn będzie, bo wojny nadchodzą,
A w czasie wojny zawżdy synowie się rodzą.

Ledwie ostatnie słowa domówił Gerwazy,

Gdy poważnemi kroki przystąpił Protazy,
Skłonił się, i wydobył z zanadrza kontusza
Panegiryk ogromny, w pół trzecia arkusza.
Skomponował go rymem podofficer młody,
Który niegdyś w stolicy sławne pisał ody
Potem wdział mundur, lecz i w wojsku belletrysta,
Wiersze rabiał — już Woźny przeczytał ich trzysta,
Aż gdy przyszedł do miejsca: **O ty któréj wdzięki!**
Budzą bolesną radość i roskoszne męki!
Która na szyk Bellony gdy zwrócisz twarz piękną,
Złamią się wnet oszczepy i tarcze rospękną,
Zwalcz dziś Marsa Hymenem; srogiéj niezgód hydrze
Niech dłoń twoja syczące s czoła zmije wydrze!
Tadeusz i Zofia ustawnie klaskali
Niby chwaląc, w istocie niechcąc słuchać daléj;
Już z rozkazu Sędziego Pleban stał na stole
I ogłaszał włościanom Tadeusza wolę.

Zaledwie usłyszeli nowinę poddani,
Skoczyli do Panicza, padli do nóg Pani,
Zdrowie Państwu naszemu! ze łzami krzyknęli,
Tadeusz krzyknął: Zdrowie Spółobywateli,
Wolnych, równych, Polaków! — Wnoszę Ludu zdrowie!
Rzekł Dąbrowski — lud krzyknął, niech żyją Wodzowie,

Wiwat Wojsko, wiwat Lud, wiwat wszystkie Stany!
Tysiącem głosów, zdrowia grzmiały na przemiany.

Tylko Buchman radości podzielać nie raczył,
Pochwalał projekt lecz go radby przeinaczył,
A naprzód, komissyą legalną wyznaczył
Któraby — Krótkość czasu była na zawadzie
Że nie stało się zadość Buchmanowéj radzie.

Bo na dziedzińcu zamku już stali parami,
Officery z damami, Wiara z wieśniaczkami:
Poloneza! krzyknęli wszyscy w jedno słowo.
Officerowie wiodą muzykę wojskową;
Ale Pan Sędzia w ucho rzekł do Jenerała:
Każ Pan, żeby się jeszcze kapela wstrzymała,
Wiesz że dzisiaj synowca mego zaręczyny,
A dawnym obyczajem jest naszéj rodziny,
Zaręczać się i żenić przy wiejskiéj muzyce.
Patrz stoi Cymbalista, Skrzypak i kozice;
Poczciwi muzykańci — już się Skrzypak zżyma,
A Kobeźnik kłania się i żebrze oczyma,
Jeżeli ich odprawię, biednie będą płakać;
Lud przy innéj muzyce nie potrafi skakać,
Niechaj ci zaczną, niech się i lud podweseli,
Potém będziem wybornéj twéj słuchać kapeli. —
Dał znak.

Skrzypak u sukni zakasał rękawek,
Scisnął gryf krzepko, oparł brodę o podstawek,
I smyk jak konia w zawód puścił po skrzypicy.
Na to hasło stojący obok Kobeźnicy
Jak gdyby w skrzydła bijąc, częstym ramion ruchem
Dmą w miechy i oblicza wypełniają duchem,
Myśliłbyś że ta para w powietrze uleci,
Podobna do pyzatych Boreasza dzieci:
Brakło Cymbałów.
Było Cymbalistów wielu,
Ale żaden z nich nieśmiał zagrać przy Jankielu;
(Jankiel przez całą zimę niewiedzeć gdzie bawił,
Teraz się nagle z głównym Sztabem Wojska zjawił).
Wiedzą wszyscy że mu nikt na tym instrumencie
Nie wyrówna w biegłości, w guście i w talencie.
Proszą ażeby zagrał, podają cymbały,
Żyd wzbrania się, powiada że ręce zgrabiały,
Odwykł od grania, nie śmie i panów się wstydzi;
Kłaniając się umyka; gdy to Zosia widzi,
Podbiega, i na białéj podaje mu dłoni
Drążki, któremi zwykle mistrz we strony dzwoni;
Drugą rączką po siwéj brodzie starca głaska,
I dygając, — Jankielu, mówi, jeśli łaska,
Wszak to me zaręczyny, zagrajże Jankielu,
Wszak nie raz przyrzekałeś grać na mém weselu?

Jankiel nieźmiernie Zosię lubił, kiwnął brodą
Na znak że nieodmawia; więc go w środek wiodą,
Podają krzesło, usiadł, cymbały przynoszą,
Kładą mu na kolanach, on patrzy z roskoszą
I z dumą; jak weteran w służbę powołany,
Gdy wnuki ciężki jego miecz ciągną ze ściany,
Dziad śmieje się, choć miecza dawno nie miał
w dłoni,
Lecz uczuł że dłoń jeszcze nie zawiedzie broni.

Tymczasem dwaj uczniowie przy cymbałach klęczą,
Stroją na nowo strony i probując brzęczą;
Jankiel s przymrużonemi na poły oczyma
Milczy i nieruchome drążki w palcach trzyma.

Spuścił je, zrazu bijąc taktem tryumfalnym,
Potém gęściéj siekł strony jak deszczem nawalnym,
Dziwią się wszyscy — lecz to była tylko proba,
Bo wnet przerwał, i w górę podniosł drążki oba.

Znowu gra: już drżą drążki tak lekkiemi ruchy,
Jak gdyby zadzwoniło w stronę skrzydło muchy,
Wydając ciche ledwie słyszalne brzęczenia.
Mistrz zawsze patrzył w niebo czekając natchnienia.
Spojrzał z góry, instrument dumnym okiem zmierzył,

Wzniosł ręce, spuścił razem, w dwa drążki uderzył,
Zdumieli się słuchacze —

Razem ze strón wiela
Buchnął dźwięk, jakby cała janczarska kapela
Ozwała się z dzwonkami z zelami z bębenki.
Brzmi **Polonez Trzeciego Maja?** — Skoczne dźwięki
Radością oddychają, radością słuch poją,
Dziewki chcą tańczyć, chłopcy w miejscu niedostoją—
Lecz starców myśli z dźwiękiem w przeszłość się
uniosły,
W owe lata szczęśliwe, gdy senat i posły,
Po dniu Trzeciego Maja, w ratuszowéj sali,
Zgodzonego z narodem króla fetowali;
Gdy przy tańcu śpiewano: **Wiwat Król kochany!**
Wiwat Sejm, wiwat Naród, wiwat wszystkie Stany!

Mistrz coraz takty nagli i tony natęża,
A w tém puścił fałszywy akord jak syk węża,
Jak zgrzyt żelaza po szkle — przejął wszystkich
dreszczem
I wesołość pomięszał przeczuciem złowieszczém.
Zasmuceni, strwożeni, słuchacze zwątpili,
Czy instrument niestrojny? czy się muzyk myli?
Nie zmylił się mistrz taki! on umyślnie trąca
Wciąż tę zdradziecką stronę, mellodyę zmąca,

Coraz głośniéj targając akkord rozdąsany,
Przeciwko zgodzie tonów skonfederowany;
Aż Klucznik pojął mistrza, zakrył ręką lica
I krzyknął: znam! znam głos ten! to jest *Targowica!*
I wnet pękła ze świstem strona złowróżąca;
Muzyk bieży do prymów, urywa takt, zmąca,
Porzuca prymy, bieży z drążkami do bassów.

Słychać tysiące coraz głośniejszych hałasów,
Takt marszu, wojna, attak, szturm, słychać wystrzały!
Jęk dzieci, płacze matek — Tak mistrz doskonały
Wydał okropność szturmu, że wieśniaczki drżały,
Przypominając sobie ze łzami boleści
Rzeź Pragi, którą znały s pieśni i powieści,
Rade że mistrz nakoniec, strónami wszystkiemi
Zagrzmiał, i głosy zdusił jakby wbił do ziemi.

Ledwie słuchacze mieli czas wyjść z zadziwienia,
Znowu muzyka inna — znów, zrazu brzęczenia
Lekkie i ciche, kilka cienkich strónek jęczy,
Jak kilka much gdy s siatki wyrwą się pajęczéj.
Lecz strón coraz przybywa, już rozpierzchłe tony
Łączą się i akordów wiążą legiony,
I już w takt postępują zgodzonemi dźwięki,
Tworząc nótę żałosną téj sławnéj piosenki
O żołnierzu, tułaczu, który borem, lasem

Idzie, z biedy i z głodu przymierając czasem,
Nakoniec pada u nóg konika wiernego,
A konik nogą grzebie mogiłę dla niego.
Piosenka stara, wojsku Polskiemu tak miła!
Poznali ją żołnierze, Wiara się skupiła
W koło mistrza; słuchają, wspominają sobie,
Ow czas okropny, kiedy na Ojczyzny grobie
Zanocili tę piosnkę i poszli w kraj świata;
Przywodzą na myśl długie swéj wędrówki lata,
Po lądach, morzach, piaskach gorących i mrozie,
Pośrodku obcych ludów, gdzie często w obozie,
Cieszył ich i rozrzewniał ten śpiew narodowy.
Tak rozmyślając smutnie pochylili głowy!

Ale je wnet podnieśli, bo mistrz tony wznosi,
Natęża, takty zmienia, cóś innego głosi,
I znowu spójrzał z góry, okiem strony zmierzył,
Złączył ręce, oburącz w dwa drążki uderzył:
Uderzenie tak sztuczne, tak było potężne,
Że strony zadzwoniły jak trąby mosiężne,
I s trąb znana piosenka ku niebu wionęła,
Marsz tryumfalny: **Jeszcze Polska nie zginęła.**
Marsz Dąbrowski do Polski! — I wszyscy klasnęli,
I wszyscy Marsz Dąbrowski, chorem okrzyknęli!

Muzyk jakby sam swojéj dziwił się piosence,

Upuścił drążki s palców, podniosł w górę ręce,
Czapka lisia spadła mu z głowy na ramiona
Powiewała poważnie broda podniesiona,
Na jagodach miał kręgi dziwnego rumieńca,
We wzroku ducha pełnym błyszczał żar młodzieńca,
Aż gdy na Dąbrowskiego starzec oczy zwrócił,
Zakrył rękami, s pod rąk łez potok się rzucił,
Jenerale, rzekł, ciebie długo Litwa nasza
Czekała — długo, jak my Żydzi Messyasza,
Ciebie prorokowali dawno między ludem
Spiewaki, ciebie niebo obwieściło cudem,
Żyj i wojuj, o ty nasz!... Mówiąc ciągle szlochał,
Żyd poczciwy Ojczyznę jako Polak kochał!
Dąbrowski mu podawał rękę i dziękował,
On czapkę zdjąwszy wodza rękę ucałował.

Poloneza czas zacząć — Podkomorzy rusza.
I z lekka zarzuciwszy wyloty Kontusza
I wąsa pokręcając, podał rękę Zosi,
I skłoniwszy się grzecznie w pierwszą parę prosi.
Za Podkomorzym szereg w pary się gromadzi,
Dano hasło, zaczęto taniec — on prowadzi.

Nad murawą czerwone połyskają buty,
Bije blask s karabeli, świeci się pas suty,
A on stąpa powoli, niby od niechcenia;

Ale s każdego kroku s każdego ruszenia,
Można tancerza czucia i myśli wyczytać: —
Oto stanął, jak gdyby chciał swą damę pytać,
Pochyla ku niéj głowę, chce szepnąć do ucha;
Dama głowę odwraca, wstydzi się, nie słucha,
On zdjął konfederatkę, kłania się pokornie,
Dama raczyła spojrzeć, lecz milczy upornie;
On krok zwalnia, oczyma jéj spojrzenia śledzi,
I zaśmiał się nakoniec — rad z jéj odpowiedzi
Stąpa prędzéj, pogląda na rywalów z góry,
I swą konfederatkę s czaplinemi pióry
To na czole zawiesza; to nad czołem wstrząsa,
Aż włożył ją na bakier i pokręcił wąsa —
Idzie, wszyscy zazdroszczą, biegą w jego ślady,
Onby rad ze swą damą wymknąć się z gromady;
Czasem staje na miejscu, rękę grzecznie wznosi,
I żeby mimo przeszli, pokornie ich prosi;
Czasem zamyśla zręcznie na bok się uchylić,
Odmienia drogę, radby towarzyszów zmylić,
Lecz go szybkiemi kroki ścigają natręty,
I zewsząd obwijają tanecznemi skręty;
Więc gniewa się, prawicę na rękojeść składa,
Jakby rzekł: niedbam o was, zazdrośnikom biada!
Zwraca się z dumą w czole i z wyzwaniem w oku,
Prosto w tłum; tłum tancerzy nieśmié dostać w kroku,

Ustępują mu z drogi, — i zmieniwszy szyki,
Puszczają się znów za nim —

Brzmią zewsząd okrzyki:
„Ach to może ostatni! patrzcie, patrzcie młodzi,
„Może ostatni co tak Poloneza wodzi!“ —
I szły pary po parach hucznie i wesoło,
Roskręcało się, znowu skręcało się koło!
Jak wąż olbrzymi w tysiąc łamiący się zwojów;
Mieni się cętkowata, różna barwa strojów
Damskich, pańskich, żołnierskich, jak łuska błyszcząca
Wyzłocona promieńmi zachodniego słońca
I odbita o ciemne murawy węzgłowia.
Wre taniec, brzmi muzyka, oklaski i zdrowia!

Tylko kapral Dobrzyński Sak, ani kapeli
Nie słucha, ani tańczy, ani się weseli,
Ręce w tył założywszy stoi zły, ponury,
Wspomina swe dawniejsze do Zosi konkury:
Jak lubił dla niéj nosić kwiaty, pleść koszyczki,
Wybierać gniazda ptasie, robić zauszniczki.
Niewdzięczna! chociaż tyle pięknych darów strwonił,
Choć przed nim uciekała, choć mu ojciec bronił!
On jeszcze! ile razy na parkanie siadał,
By ją dojrzeć przez okna; w konopie się wkradał
Żeby patrzeć jak ona pleła swe ogródki,

Rwała ogórki, albo karmiła kogutki.
Niewdzięczna! Spuścił głowę, i nakoniec świsnął
Mazurka; potém kaszkiet na uszy nacisnął,
I szedł w obóz gdzie stała przy armatach warta,
Tam dla rozerwania zaczął grać w drużbarta
Z wiarusami, kielichem osładzając żałość.
Taka była dla Zosi Dobrzyńskiego stałość.

Zosia tańczy wesoło: lecz choć w pierwszéj parze,
Ledwie widna z daleka; na wielkim obszarze
Zarosłego dziedzińca, w zielonéj sukieńce
Ustrojona w równianki i w kwieciste wieńce,
Sród traw i kwiatów krąży niewidzialnym lotem,
Rządząc tańcem, jak anioł nocnych gwiazd obrotem:
Zgadniesz gdzie jest, bo ku niéj obrócone oczy,
Wyciągnięte ramiona, ku niéj zgiełk się tłoczy.
Darmo się Podkomorzy zostać przy niéj sili,
Zazdrośnicy już s pierwszéj pary go odbili;
I szczęśliwy Dąbrowski nie długo się cieszył,
Ustąpił ją drugiemu, a już trzeci śpieszył,
I ten zaraz odbity, odszedł bez nadziei.
Aż Zosia już strudzona spotkała s kolei
Tadeusza, i dalszéj lękając się zmiany,
I chcąc przy nim pozostać, zakończyła tany.
Idzie do stołu gościom nalewać kielichy.

Słońce już gasło, wieczór był ciepły i cichy,
Okrąg niebios gdzie niegdzie chmurkami zasłany,
U góry błękitnawy, na zachód różany;
Chmurki wróżą pogodę, lekkie i świecące,
Tam jako trzody owiec na murawie śpiące,
Ówdzie nieco drobniéjsze jak stada cyranek.
Na zachód obłok nakształt rąbkowych firanek,
Przejrzysty, sfałdowany, po wierzchu perłowy,
Po brzegach pozłacany, w głębi purpurowy,
Jeszcze blaskiem zachodu tlił się i rozrzażał,
Aż powoli pożółkniał, zbladnął i poszarzał:
Słońce spuściło głowę, obłok zasunęło,
I raz ciepłym powiewem westchnąwszy — usnęło.

A szlachta ciągle pije i wiwaty wznosi
Napoleona, Wodzów, Tadeusza, Zosi,
Wreszcie s kolei wszystkich trzech par zaręczonych,
Wszystkich gości obecnych, wszystkich zaproszonych,
Wszystkich przyjaciół których kto żywych spamięta,
I których zmarłych pamięć pozostała święta!

I ja tam z gośćmi byłem, miód i wino piłem,
A com widział i słyszał w księgi umieściłem.

KONIEC.

Objaśnienia.

Objašnjenja.

Zaścianek. Nazywają w Litwie **Okolicą** lub **Zaściankiem** osadę szlachecką, dla różnicy od właściwych wsi czyli sioł, osad wiejskich.

Str. 14. w. 21. On Horeszkom dziesiąta woda na kisielu.

Kisiel, potrawa litewska, rodzaj galarety, która się robi z rozczynu owsianego, płócze się wodą aż póki nie oddzielą się wszystkie cząstki mączne; stąd przysłowie.

Str. 21, w. 21 ..... Wołodkowicz, pan dumny, zuchwały.

Po licznych burdach, pochwycony w Mińsku, i za dekretem Trybunału rozstrzelany.

Str. 24, w. 1. Obwołał pospolite ruszenie przez wici.

Kiedy król miał zgromadzić pospolite ruszenie, roskazywał zatykać w każdéj parafji drąg wysoki z

uwiązaną na wierzchu miotłą czyli wicią. I to się nazywało rozdać wici. Każdy człowiek dorosły, stanu rycerskiego, obowiązany był pod utratą szlachectwa, stawić się natychmiast pod chorągiew Wojewódzką.

Str. 25, w. 12. Brała również przydomki zwane imioniska.

Imioniska są właściwie sobrykety.

Str. 30, w. 5. Bronić Pana Pocieja.

Alexander Hrabia Pociej, wróciwszy po wojnie do Litwy, wspierał rodaków udających się za granicę, i znaczne summy przesłał do kassy Legionów.

Str. 69, w. 1. Nieco wyżéj Dawida Wóz, gotów do jazdy.

Wóz Dawida, konstellacya zwana u Astronomów Ursa major.

Str. 69, w. 21. Podobnie Pleban Mirski zawiesił w Kościele Wykopane olbrzymów żebra i piszczele.

Było zwyczajem zawieszać przy kościołach znajdowane zabytki kości kopalnych, które lud uważa za kości olbrzymów.

Str. 70, w. 10. Był to Kometa pierwszéj wielkości i mocy.

Pamiętny Kometa roku 1811.

Str. 71, w. 23. Ksiądz Poczobut, człek sławny, był Obserwatorem.

Ksiądz Poczobut, Ex-jezuita, sławny Astronom, wydał dzieło o Zodyaku w Denderach, i obserwacyami swemi pomógł Lalandowi do obrachowania biegów księżyca. Ob. żywot przez Jana Sniadeckiego.

Str. 75, w. 16. W świcie Księcia był Książe Niemiecki Denassów.

Właściwie Książe de Nassau-Siegen. Sławny podówczas wojownik i awanturnik. Był admirałem moskiewskim i pobił Turków na Lemanie, potém sam na głowę pobity od Szwedów. Bawił czas jakiś w Polszcze, gdzie otrzymał indygenat. Pojedynek Księcia de Nassau s tygrysem, brzmiał wówczas po wszystkich gazetach Europejskich.

Str. 111, w. 4. A czy Sędzia, rzekł Major, żółtą Księgę czytał.

Żółta Księga, od okładek tak nazwana, księga barbarzyńska praw wojennych rossyjskich. Nieraz w czasie pokoju, rząd ogłasza prowincye całe za będące w stanie wojny i na mocy żółtéj księgi oddaje dowódcy wojskowemu zupełną władzę nad majątkami i życiem obywateli. Wiadomo, że od roku 1812 aż do rewolu-

cji Litwa cała podlegała żołtéj księdze, któréj exekutorem był wielki książe Carewicz.

Str. 123, w. 23. Ciągnie za sobą długie sążniowate drzewo
Uzbrojone w krzemienie i w guzy i sęki.

Maczuga litewska robi się tym sposobem: wypatruje się młody dąb, i nacina się od dołu do góry siekierą tak, ażeby korę i miaskę rozerznąwszy drzewo z lekka poranić. W te karby wtykają się ostre krzemienie, które s czasem wrastają w drzewo i tworzą guzy twarde. Maczugi stanowiły za czasów pogańskich główną broń piechoty litewskiéj; dotąd używają się niekiedy i zowią się nasiekami.

Str. 124, w. 12. I jak jeden mieszczanin zwany Czarnobacki
Zabił Dejowa i zniosł cały pułk Kozacki.

Po powstaniu Jasińskiego, kiedy Wojska Litewskie ustępowały ku Warszawie, Moskale zbliżyli się do opuszczonego Wilna. Jenerał Dejow na czele sztabu wjeżdżał przez Ostrą Bramę. Ulice były puste, mieszkańcy zamknęli się w domach. Jeden mieszczanin spostrzegłszy armatę porzuconą w zaułku, kartaczami nabitą, wymierzył ją w bramę i zapalił. Ten jeden wystrzał ocalił wówczas Wilno; jenerał Dejów s kilku officerami zginął, reszta lękając się zasadzki odstąpiła

od miasta. Niewiem s pewnością nazwiska onego mieszczanina.

Str. 137, w. 8. Taki miał koniec zajazd ostatni na Litwie.

Bywały i poźniéj jeszcze zajazdy lubo nie tak sławne, dosyć jednak głośne i krwawe. Około roku 1817 Obywatel U....w Województwie Nowogródzkiém pobił na zajeździe cały garnizon Nowogrodzki i dowódców zabrał w niewolę.

Str. 146, w. 14. Ten za bitwę pod Nowi, ten za Preisiz-How.

Zapewne Preusisch-Eylau.

Str. 178, w. 12. Targowiczanie potém chcieli mię zaszczycić.

Zdaje się że Stolnik zabity został około roku 1791 za czasów pierwszéj wojny.

Str. 185.

Wróżby wiosenne. Jeden Historyk rossyjski w podobny sposób opisuje wróżby i przeczucia ludu moskiewskiego przed wojną 1812.

Str. 186, w. 5. Nie biegło na ruń.

Ruń jest to zieleniejąca się ozimina.

Str. 187, w. 13. Wszyscy na północ: rzekłbyś że w on czas z wyraju.

Wyraj w mowie gminnéj znaczy właściwie czas jesienny kiedy ptaki wędrowne odlatują; lecieć na wyraj jest to lecieć w kraje ciepłe. Stąd przenośnie nazywa lud wyrajem, kraje ciepłe i w ogólności jakieś kraje bajeczne szczęśliwe, za morzami leżące.

Str. 190, w. 23. Księga ta miała tytuł: Kucharz doskonały.

Książka teraz bardzo rzadka, przed stukilkudziesiąt laty wydana przez Stanisława Czernieckiego.

Str. 191, w 3. Którym się Ojciec święty Urban ósmy dziwił.

Opisywano wielekroć i malowano ową Legacyą Rzymską. Ob. Kucharz doskonały, przemowa: „Ta legacya wszystkiemu zachodniemu Państwu wielkiém będąc podziwieniem, ogłosiła w rozum nieprzebranego Pana jako i splendor domu i apparament stołu — że jeden s książąt Rzymskich rzekł: Dziś Rzym szczęśliwy mając takiego Posła.“ — NB. Czerniecki sam był kuchmistrzem Ossolińskiego.

Str. 195, w. 7. Zgodnie Konfederackim Maszałkiem obrany.

W Litwie za wkroczeniem wojsk francuskich i

polskich, zawiązano po Województwach Konfederacye i obrano Posłów na Seym.

Str. 196, w. 14. On to pod Hohenlinden,...?

Wiadomo, że pod Hohenlinden korpus polski pod dowództwem Jenerała Kniaziewicza zdecydował wygranę.

Str. 220, w. 20 Jest podanie że Książe Radziwił-Sierota.

Radziwił - Sierota odbył dalekie podróże i wydał opis peregrynacyi swojéj do ziemi swiętéj.

Str. 226, w. 15. A tymczasem wielki serwis barwę zmienił.

W szesnastym i na początku siedmnastego wieku, w epoce kwitnienia sztuk, uczty nawet były przez artystów urządzane, pełne symbolów i scen teatralnych. Na sławnéj uczcie danéj w Rzymie dla Leona X znajdował się serwis przedstawiający s kolei cztery pory roku, który służył zapewne za wzór Radziwiłowskiemu. Zwyczaje stołowe zmieniły się w Europie około połowy wieku ośmnastego, w Polszcze najdłużéj przetrwały.

Str. 227, w. 22. Czyto Pinety Panu dał w służbę swe bisy

Pinety, sławny na całą Polskę kuglarz, kiedy u nas gościł nie wiemy.

Str. 235, w. 3. Czy ja Cybulski? rzecze na to Klucznik z żalem,
Co żonę przegrał grając w maryasza z Moskalem.

Znajoma na Litwie pieśń żałośna o Pani Cybulskiéj, którą mąż w karty przegrał moskalom.

Str. 237, w. 6. Warunkiem intercyzy wyrzec się kontusza.

Moda przebiérania się w suknie francuskie grassowała na prowincyach od roku 1800 do 1812. Najwięcéj młodzieży przebrało się przed ożenieniem na żądanie narzeczonych.

Str. 240, w. 11. I o kłótni Rejtana s książęciem Denassów.

Historya sporu Rejtana s książęciem De Nassau, przez Wojskiego niedoprowadzona do końca, wiadoma jest s tradycyi. Umieszczamy koniec iéj kwoli ciekawemu czytelnikowi — Rejtan obruszony przechwałkami książęcia De Nassau, stanął okok niego na przesmyku: właśnie ogromny odyniec rozjuszony strzałami i szczwalnią, leciał na przesmyk. Rejtan wyrywa książęciu z rąk strzelbę, swoję ciska o ziemię, a ująwszy oszczep i podając drugi Niemcowi „Teraz, rzekł, obaczym kto lepiéj robi spisą. „Już odyniec wpadał, kiedy Wojski Hreczecha o podal stojący, trafnym strzałem zwierza powalił. Panowie z razu gniewali

się, potém pogodzili się i hojnie wynagrodzili Hreczechę.

Str. 243, w. 17. Kiedy nieboszczyk Pan Karp' chłopów wyswobodził.

Rząd Rossyjski nie uznaje ludzi wolnych prócz Szlachty. Włościanie przez właściciela uwolnieni, są zaraz zapisywani w skazki dóbr stołowych cesarskich, i zamiast pańszczyny muszą opłacać podatek zwiększony. Wiadomo, że w roku 1818 Obywatele gubernji Wileńskiéj uchwalili na sejmiku projekt uwolnienia wszystkich włościan, i wyznaczyli w tym celu delegacyą do Cesarza; ale Rząd roskazał projekt umorzyć i nigdy więcéj o nim nie wspominać. Nie ma innego sposobu uwolnić człowieka pod Rządem Rossyjskim, tylko przybrać go do familji. Jakoż wielu tym sposobem uszlachcono z łaski lub za pieniądze.

Spis Rzeczy.

strona

KSIĘGA SZOSTA. — **Zaścianek** 5
KSIĘGA SIODMA. — **Rada** 35
KSIĘGA OSMA. — **Zajazd** 63
KSIĘGA DZIEWIĄTA. **Bitwa** 101
KSIĘGA DZIESIĄTA. **Emigracya. Jacek** . 139
KSIĘGA JEDENASTA. **Rok 1812** 183
KSIĘGA DWUNASTA. **Kochajmy się** 217
OBJAŚNIENIA 257

Dzień Bydgoski (nr 4)

Kultura i sztuka

W stuletnią rocznicę

Najrzadsze wydanie Pana Tadeusza

W roku bieżącym przypada stuletnia rocznica pierwszego wydania Pana Tadeusza w r. 1834 w Paryżu nakładem Aleksandra Jełowickiego. W związku z tem nie od rzeczy będzie przypomnieć o najstarszem, nieznanem prawie zupełnie nawet najbardziej zamiłowanym zbieraczom pomorskiem wydaniu.

Edycja ta pojawiła się w Toruniu w r. 1858 na półkach księgarskich Ernesta Lambeka, Niemca, który posiadając dużą klientelę polską prowadził pierwszą w owych czasach w Toruniu polską wypożyczalnię książek. — Liczne żądania tej klijenteli były też prawdopodobnie pobudką do wykonania we własnej drukarni przedruku wydania paryskiego.

Przedruk toruński został powitany wrogo przez chełmińskiego „Nadwiślanina", który w specjalnym artykule wyraził obawę o poprawność wydawnictwa. Rzecz prosta w wydaniu tem nie brak było usterek wydawniczych, zaznaczyć jednak należy, że całość jak na czasy ówczesne. mimo obaw „Nadwiślanina" wypadła zupełnie poprawnie.

Wydanie toruńskie ma jednak jeszcze cechę specjalną, mianowicie tę, że było ono zarazem pierwszem na ziemiach polskich odrębnem wydaniem Mickiewiczowskiej epopei.

Na karcie tytułowej tego najrzadszego wydania został dodany napis: „Dosłowne wydanie Paryskiej edycji z roku 1834". I rzeczywiście mimo różnicy w wielkości czcionek, wpływ układu paryskiego daje się poznać na każdej niemal stronie.

Przedruk toruński został ukończony już w grudniu 1858 i został autidatowany.

Wydanie „Pana Tadeusza" nie przyniosło jednakże spodziewanych korzyści wydawcy, a to z powodu nieumiejętności rozpowszechnienia. W roku 1865 mając jeszcze znaczną część egemplarzy na składzie, sporządził Lambek fikcyjne „drugie, tanie wydanie", przedrukowując jedynie kartę przedtytułową i tytułową. Tak samo postąpił wydawca w r. 1878, odświeżając w podobny sposób pozostałe jeszcze egzemplarze. Według katalogu Lambeka egzemplarz wydania toruńskiego kosztował 3 mk.

Dziś to „nieidące" wydawnictwo należy do najrzadszych druków, zachowało się bowiem zaledwie w jednym egzemplarzu. Unikat ten jest własnością zbiorów Bibljoteki Rapperswilskiej (obecnie Centralnej Bibljoteki Wojskowej w Warszawie) i jest opatrzony interesującą dedykacją: „Do Bibljoteki Towarzystwa Polskiego w St. Gallen niniejszą (książkę) ofiarował ob. Ludwik Reynszyssel 16 czerwca 1863 r.

x) Wiadomość prawdziwa chociaż tu nieco inaczej, bowiem pol. zbiory Ossolineum posiadają egzemplarz wydania Lambeka przy którym wydawca „Pana Tadeusza" bezwiedny opublikował. — 1960 r.

Pan Tadeusz
Toruń, 1859

Druk cieszący się sławą największego unikatu wśród edycji narodowej epopei. Książka ukazała się bez wiedzy autora i została zbojkotowana przez polskich księgarzy.

A Mickiewicz Pan Tadeusz 1859
Druk Lambecka w Toruniu
(tablica pamiątkowa przy łuku cezara).
Wydrukował ją bez zgody spadkobier-
ców, za co zbojkotowali go księgarze
polscy (wtedy w zaborze pruskim
prawo autorskie nie było chronione